

MAX CZORNYJ



Tkwi we mnie gen zła.  
Nigdy go nie odpokutuję.

# CÓRKA NAZISTY

FILIA

MAX CZORNYJ

CÓRKA  
NAZISTY

FILIA

*Mamie, w podziękę za gen dobra*

*Jahwe, Jahwe, Bóg miłosierny i litościwy, cierpliwy, bogaty w łaskę  
i wierność, zachowujący swą łaskę w tysiączne pokolenia, przebaczący  
niegodziwość, niewierność, grzech, lecz nie pozostawiający go bez ukarania, ale  
zsyłający kary za niegodziwość ojców na synów i wnuków aż do trzeciego  
i czwartego pokolenia.*

*Wj 34, 6–7*

*Upływam w jesień mniejszy z każdym krokiem,  
w pola zasianych zjaw w kolumny ma[r]twych peanów,  
w obojętność – mijanych – okien  
Gdzie powóz drogą odpływa? Szelestem dymi bruk,  
O, najsmutniejsza jesieni, w zamęcie znaków i elips  
nad pieśnią kołujesz jak kruk.*

*Jak miłość powierzona dwóm życiom – rozdzielić?  
K. K. Baczyński, Ten wiersz jak śmierć jest smutny...*

## GRETA

Gen zła. Czy coś takiego w ogóle istnieje?

Przypuszczam, że poszukują go tysiące naukowców i hochsztaplerów. Przynajmniej powinni to robić. Jednak z perspektywy lat wiem, że jego odnalezienie to tylko część problemu. Gdyby można go usunąć i stworzyć człowieka zdolnego czynić jedynie dobro, świat stałby się rajem. Wystarczyłoby tak niewiele. Ledwie drobna modyfikacja genotypu, a potem nastalaby jasność. Nie potrzeba by Boga, modlitw ani Opatrzności. Nie potrzeba by uśmiechu losu.

Tyle że ponoć cała inżynieria genetyczna opiera się na wszczepianiu jednym organizmom fragmentów DNA innych. Nie pamiętam, gdzie o tym czytałam. Skoro nie mamy pojęcia, czy istnieje gen zła, nie możemy też wiedzieć, czy występuje gen dobra. Osobiście jestem przekonana, że mają go zwierzęta. Pies, który własnym ciałem osłania właściciela. Chory wilk ściągający na siebie nagonkę, byle ocalić watahę. Umierający samotnie słoń.

Geny dobra i zła.

Otwieram drzwi i wchodzę do zalanego słońcem gabinetu. Pachnie w nim kwiatami, bukiety stoją w niezliczonych flakonach. Na krytym czeczotą biurku, na czernionej etażerze i okrągłym stoliku kawowym. Na marmurowym parapecie oraz na pozłacanej konsolce. Przy sięgającej sufitu mahoniowej biblioteczce w doniczce rośnie drzewko cytrusowe. Ono również rozkwitło – dziesiątkami drobnych białych kwiatków. Zapach, który wypełnia gabinet, to woń najwspanialszej oranżerii.

Za biurkiem siedzi drobna, smukła kobieta. Ma trzydzieści kilka lat, sięgające ramion blond włosy i mocne kości policzkowe. Jej ciemne, bystre oczy oraz prosty nos nadają jej nieco ptasi wygląd. Wrażenie to podkreśla pochylona nad blatem sylwetka. Złożone w piramidkę dłonie zwieńczone są długimi, szponiastymi palcami. Kobieta podpira nimi

brodę, jakby bez tego jej głowa miała bezwładnie zsunąć się z karku. Mimo to jest w niej coś magnetyzującego, co zapewne przyciąga do niej tłumy adoratorów. Jak zwykle ma na sobie wzorzystą, lecz stonowaną sukienkę i czerwone buty na niewielkim obcasie.

Alicja Nowińska uśmiecha się do mnie. Unosi na powitanie dłoń i się wyprostowuje. Wskazuje na głęboki fotel przy stoliku kawowym. Kiedy do niego podchodzę, wyjeżdża na swoim obrotowym krześle zza biurka. Gdy rozmawiamy, nie może być pomiędzy nami barier. To jedna z zasad udanej terapii.

– Jak się czujesz? – pyta, odsuwając na bok pudełko chusteczek. Wie, że nie będą potrzebne.

Od pewnego czasu zwracamy się do siebie na „ty”. Jestem od niej blisko pół wieku starsza, ale w tym pokoju to żadna różnica. Poza tym Nowińska to moja jedyna przyjaciółka.

– Bez zmian. – Zapadam się w fotelu i głęboko wciągam aromat kwiatów. – Wczoraj zapomniałam, jak się nazywam. Głowiłam się nad tym kwadrans albo dłużej, aż w końcu dałam sobie spokój. I wiesz co? Bez imienia i nazwiska było mi całkiem dobrze.

– Czulaś się anonimowo? A może tak, jakby cię w ogóle nie było?

No tak – zaczynamy z grubej rury. Alicja delikatnie pochyła się w moją stronę. Na kolanach trzyma notes, ale go nie otwiera. W ogóle rzadko do niego sięga, bo mój przypadek zna zapewne na wylot. Operując komunałami, można powiedzieć, że czyta we mnie jak w otwartej księdze. Niech czyta. Poza tym chyba lubię komunały.

Przez chwilę zastanawiam się nad jej pytaniem, lecz nie znajduję konkretnej odpowiedzi.

– Nie wiem – mówię szczerze. – Czulałam się... Inaczej.

– Ale powiedziałaś, że było ci z tym całkiem dobrze. Użyłaś dokładnie tych słów.

– Może... Czulałam się, jakbym spoglądała na siebie z zewnątrz. Z jakiejś nowej perspektywy, z której wszystkie problemy wydawały się nieistotne, ale miałam ich świadomość. Nie oderwałam się od rzeczywistości. – Wzruszam ramionami i uśmiecham się zmieszana. Trudno mi mówić o tym uczuciu. – Przede wszystkim miałam wrażenie, że w tej krótkiej chwili mogę umrzeć zupełnie spokojnie. Bez nieustannej gonitwy myśli, wspomnień i... I...

Milknę. Chyba zgubiłam wątek. Przenoszę wzrok w stronę okna i nerwowo zaciskam dłonie. Chciałabym, aby słońce padało mi dzisiaj na twarz. Kiedyś bardzo lubiłam siadać w wiklinowym fotelu na podwórzu i przymykać oczy, pozwalając, by formowały się przed nimi kolorowe plamki. To przyjemne wspomnienie, choć nie jestem pewna, czy dotyczy wydarzeń sprzed pięciu, czy pięćdziesięciu pięciu lat. Przyzwyczyłam się do tej drobnej niedogodności.

Gdzieś z oddali dolatuje rżenie kosiarki.

– I? – dopytuje terapeutka.

– W każdym razie cieszę się, że możemy o tym porozmawiać.

Alicja uśmiecha się znacząco. Kręci głową z przyganą.

– Znowu nie pamiętasz, o czym mówiłaś, i starasz się to ukryć. Obiecałaś mi, że nigdy więcej tego nie zrobisz.

Owszem, coś takiego rzeczywiście miało miejsce. Ale mogłam przecież o tym zapomnieć, prawda?

– Przepraszam.

– Mówiliśmy o tym, że wczoraj uleciało ci z pamięci twoje imię i było ci z tym całkiem dobrze. Tak to nazwałaś.

– Możliwe...

– O czym teraz myślisz?

– O dymie z kominów i panoramie Lublina. – Nie wiem, dlaczego akurat te wspomnienia pojawiły mi się w głowie. Zaraz po wiklinowym fotelu oraz padających na twarz promieniach słońca. – Opowiadałam ci o tym, że razem z ojcem jadałam obiady na piętrze naszego domu? Było z niego widać kominy obozu, ale denerwowało mnie coś całkiem innego. Kiedy z kominów leciał dym, widok się nagle pogarszał. Nawet w pogodny dzień wydawało się, że okolicę spowija mgła. Wtedy złościłam się i nie chciałam jeść. Pamiętam to. Ojciec siadał koło mnie, brał ode mnie sztucce i karmił mnie kęs po kęsie.

Alicja nie przerywa mi. Zastygła w swojej bocianiej pozie, uważnie słucha. Prawą dłoń trzyma na długim udzie, a lewą – na okładce notatnika. Jest lekko pochylona. Ma surowy wyraz twarzy albo tylko ja go tak oceniam. Chciałabym, aby spoglądała na mnie surowo i z pogardą.

– Mów dalej – nakłania mnie po kilku sekundach ciszy. – Słucham cię bardzo uważnie.

Dla podkreślenia swoich słów otwiera notatnik i wyciąga zza okładki długopis. Coś zapisuje. Zawsze jestem ciekawa, jakie spostrzeżenia nasuwają się jej w trakcie słuchania moich historii, ale nigdy mi tego nie mówi. Czasem myślę, że chodzi tylko o wzbudzenie mojej ciekawości.

Wspomnienia są tak silne, że mimowolnie wracam do opowiadania.

– Któregoś dnia podjechałam z ojcem pod bramę obozu. Myślisz pewnie o tablicach „Arbeit macht frei”, ale tam niczego takiego nie było... Albo nie pamiętam. – Wzruszam ramionami. Mówię coraz szybciej i coraz mniej składnie. – Lubiłam jeździć kabrioletem, a szofer miał zabrać mnie z powrotem do domu. W pewnym momencie przy wieżycze strażniczej zobaczyłam zarys postaci. Kręciła się jak marionetka albo kukielka.. – Zataczam w powietrzu kółka palcem i wymownie wydymam wargi. Ten obraz często staje mi przed oczami. Być może dlatego nigdy nie poszłam do teatru lalek. – Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że to powieszony mężczyzna. Słońce oświetliło jego nabrzmiałą, siną twarz i rozwarte usta z wypchniętym językiem. To zostało we mnie na zawsze...

Stukam palcem w głowę, gdzie siedzi to przekłete wspomnienie. Akurat je potrafię ulokować w czasie całkiem poprawnie. Alicja pochyła się jeszcze mocniej w moją stronę. Wiem, o co teraz zapyta, i się nie myślę. Odgrywałyśmy tę scenę już wiele razy.

– Wiesz, kim był?

– Chciał uciec.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Osądzasz go z perspektywy tego, co zrobił, i pozbawiasz go przez to człowieczeństwa.

– To nie jest osądzanie. Stwierdzam fakt.

Alicja głośno wypuszcza powietrze. Nie ma pojęcia, że doskonale pamiętam nasze rozmowy na ten temat. Przyglądam spódnice i przymykam oczy.

– Wiesz, co zrobił mój ojciec?

Nie odzywa się, więc zaraz dodaję:

– Kazał mi na niego patrzeć. Powiedział, że ten, przepraszam za słowo, sukinsyn mógł wylecieć kominem, ale to byłoby zbyt łatwe. Pamiętam te słowa i to, że dopiero wtedy powiązałam więźniów obozu i dym z kominów. To było pokrętne dziecięce rozumowanie i nie dostrzegałam



w nim nic złego. Polegało na intuicji, bez analizowania faktów. – Milknę, lecz zaraz dodaję tonem usprawiedliwienia: – Zdaję sobie z tego sprawę.

– Rozmawialiście później o tym... zajściu?

– Tak.

– To znaczy?

Uśmiecham się nerwowo.

– Ojciec wspomniał, że tamten mężczyzna wisiał nad bramą tak długo, aż zgnił i odpadła mu głowa. Nie widziałam tego, ale nie wahał się mi o tym opowiedzieć.

– Tak jak i ty teraz nie wahasz się o tym mówić.

Przez twarz Alicji przemyka grymas, którego nie widziałam nigdy wcześniej. Trwa to tylko sekundę, ale zdołałam go odnotować. Odkłada notes oraz długopis. Przez chwilę spogląda na kwitnący cytrus, wreszcie przenosi wzrok na mnie. Jej ptasie oczy świdrują mnie pilnym spojrzeniem.

– Od jedenastu lat rozmawiamy o tym samym – stwierdza zmęczonym głosem. – W kółko i w kółko. Te same historie, te same wspomnienia, te same emocje. Chciałabym, abyś się zastanowiła, czy nasze spotkania naprawdę w czymś ci pomagają. Czy mają jakikolwiek sens...

Wzbiera we mnie złość, ale natychmiast ją opanowuję. Fala paniki rozlewa się po moim ciele. Nie mogłabym skończyć tych rozmów, tej terapii. Nie mogłabym przestać. Tylko w tym gabinecie czuję się komfortowo. Nie w swoim domu, nie wśród znajomych z kółka geriatrycznych przyjaciół demencji, ale właśnie tu i teraz.

– Żałuję, że nie mówię o tym od siedemdziesięciu jeden lat – odzywam się nieco nerwowo. – Może wtedy czułabym się lepiej. W końcu mam wiele do przekazania, prawda? Pozwól mi opowiedzieć o tym wszystkim raz jeszcze. Dobrze? Proszę.

Alicja ostrożnie kiwa głową.

## KRZYSZTOF

Jest. Od razu ją poznaję. Wygląda dokładnie tak, jak na zdjęciu. Szczupła sylwetka, krótkie blond włosy i ledwie zarysowany pod bluzką biust. Bez wątpienia jest w niej coś pociągającego. Porusza się szybko i z gracją. Stawia długie, pewne kroki. Rozwiewa wokół siebie aurę kobiety sukcesu.

Ruszam ku niej. Jeszcze raz staram się odtworzyć wszelkie opracowane przeze mnie scenariusze naszej rozmowy. Myślałem o niej setki razy. Mimo to teraz mam w głowie pustkę. Totalną żalną pustkę przyszatego nastolatka, który chce zagadać do najfajniejszej dziewczyny w klasie.

Zbliżam się do niej i macham jak ostatni frajer. Alicja Nowińska zwalnia, ale się nie zatrzymuje. Zaszczyca mnie jedynie przelotnym spojrzeniem. Zapewne myśli, kim jestem i jak powinna zareagować. Mam wrażenie, jakby zaraz miała przyśpieszyć kroku. Być może nachodzą ją rozmaici pacjenci. Albo ich rodziny. A może po prostu nachodzą ją demony własnego zawodu, poznanych sekretów i traum.

Przesuwam się, stając jej na drodze. Wiem, że zmierza do któregoś z aut, i wiem, że może być w miarę spokojna, bo parking jest monitorowany.

– Mam na imię Krzysztof – przedstawiam się. – Mój ojciec to Stanisław Kossowski.

Kobieta zatrzymuje się jakieś dwa metry przede mną i spogląda na mnie z konsternacją. Jednak nie należy do tych płochliwych dziewcząt, gotowych rzucić się do ucieczki. Widzę, że moje nazwisko nic jej nie mówi.

– Tata jest przyjacielem pani pacjentki, Greta Rott.

– Ach tak?

– Tak. Nic pani o nim nie opowiadała?

Terapeutka uśmiecha się wymownie.

– Nie mogę rozmawiać o tym, o czym opowiadają mi pacjenci. – Ścisła torebkę i chce mnie wyminąć. – Przepraszam, śpieszę się.

Tak, właśnie tego się spodziewałem. „Śpieszę się”, „Jestem umówiona”, „Mam pana w dupie”. Dlaczego w tak elementarnych sprawach zawsze mam rację?

Wypuszczam powietrze i przechodzę do sedna.

– Możemy porozmawiać? Proszę jedynie o kilka minut przy kawie.

– Chce się pan ze mną umówić?

Oficjalne początki nie wróżą niczego dobrego. Pomyślałem o tym, przygotowując się do tej rozmowy. Przeczytałem o tym w jakimś biznesowym poradniku. *Trzydzieści kroków, by zostać milionerem* czy coś takiego. Mam długą historię edukowania się w nieprzydatnych do niczego dziedzinach. W dzieciństwie chciałem być telegrafistą.

– Proszę mi mówić po imieniu. – Uśmiecham się głupkowato.

– A więc, Krzysztofie, wybacz mi, lecz bardzo się śpieszę.

– Ale...

– Przepraszam.

Mija mnie i ściskając pilot do auta, przecina parking.

– Hej, zaczekaj!

– Proszę mnie zostawić.

Jest stanowcza i nie ma najmniejszej ochoty ze mną rozmawiać. Tego również się spodziewałem. Aby zrozumieć mowę jej ciała, nie potrzeba żadnych poradników. Podbiegam za nią kilka kroków, lecz nie na tyle szybko, by ją wystraszyć.

– Trafiłem na to! – Macham w rękę znaleźnikiem. – Mam błagać o kilka minut? Mogę doczołgać się na kolanach albo opowiedzieć kilka żartów!

Nic. Alicja podchodzi do białej mazdy i odblokowuje drzwi.

– Nie macie w swoich kodeksach etycznych czy jak to tam nazywacie obowiązku działania dla dobra pacjentów? Nawet poza godzinami pracy?

Ta ostateczna broń wreszcie przykuwa jej uwagę. Terapeutka zatrzymuje się i odwraca w moją stronę. Opiera się o drzwi auta.

– Czego pan chce?

– Krzysztof – powtarzam z naciskiem.

– Czego chcesz?

Podchodzę do niej i wyciągam zawiniątko.

– Zobacz, proszę.

– Co to?

– Czy każdy terapeuta wszystkiego chce się dowiedzieć z rozmowy? Zerknij, a wszystkiego się dowiesz.

Alicja niechętnie sięga po zaplamiony brulion. Otwiera go i powoli przerzuca jego strony. Na jej twarzy z sekundy na sekundę odmalowuje się rosnące zaciekawienie. Przez parkingową uliczkę z rykiem silnika przejeżdża motocykl, ale nie zwraca na niego uwagi. Lektura całkowicie ją pochłonęła.

Dokładnie tak, jak sądziłem. Wreszcie wszystko toczy się po mojej myśli. Mógłbym zacisnąć pięści i odtańczyć taniec zwycięstwa. Mógłbym, ale przy pierwszym spotkaniu wolę nie robić z siebie pajaca.

Terapeutka zerka na mnie i marszczy czoło.

– Czy to...

Kiwam głową.

– Tak, właśnie tak.

– I...

Pewnie rzadko się zdarza, by terapeutcie zabrakło języka w gębie. Właśnie doświadczam prawdziwego cudu natury.

– Chciałbym go dać pani Rott.

– Skąd pan... go masz?

Wiem, że mi nie ufa. To nic dziwnego.

– Przez czysty przypadek. Wierzysz w przypadki?

– Nie. Nie wierzę też w zbiegi okoliczności.

– A jest między nimi jakaś różnica?

Alicja zbywa moje pytanie machnięciem ręki. Jeszcze raz zerka na brulion. Jej oczy się skrzą i wydaje się jeszcze bardziej interesująca.

– Hmm... – Zabawnie przygryza usta. Jest w niej coś uroczonego. Coś, co każe mi sprawdzić, czy nie ma obrączki. Nie ma.

– Wiesz co? – mówi po chwili. – To nie jest zły pomysł. Choć chyba powinnam to przemyśleć...

– Chwilę temu nie chciałaś ze mną rozmawiać.

– Bo...

Milknie, jakby wstydziła się swojej nieufności sprzed kilku minut. Albo to tylko wyćwiczona poza, abym właśnie tak myślał.

– Czyli mogę go jej wręczyć?

Alicja kręci głową. Przeczesuje palcami włosy i głośno wypuszcza powietrze.

– Nie – odzywa się zdecydowanie. – Myślę, że powinien zrobić to ktoś inny. Pani Rott wyjątkowo ciężko nawiązuje nowe relacje. Podarunek od obcego może ją wystraszyć. Nie sądzę, by w ogóle do niego zajrzała.

– A jeżeli wręczy go jej mój tata? Albo ty?

– Ja nie mogę tego zrobić. To byłoby nieetyczne.

– Czyli zostaje tylko mój pierdołowaty ojciec, który każdą scenkę odegra z lekkością Johna Wayne'a?

Terapeutka kiwa głową.

– To chyba jedyne wyjście. Nie wiem, czy dobre, ale zrobmy to.

Uśmiecham się.

## GRETA

Zaletą alzheimera jest możliwość śmiania się z tych samych żartów bez końca. Usłyszałam to od pewnego lekarza i nie do końca byłam przekonana, czy jego słowa to właśnie jeden z tych ponurych żartów, czy gorzka prawda. Okazało się, że prawda. Po pewnym czasie zaakceptowałam ją i powtarzam jako żart za każdym razem, gdy spotykam tego sympatycznego człowieka. A widzimy się naprawdę często. Chyba zaczął żałować swojej wesołkowatości.

Siedzę w dolnej sali zachodniego skrzydła mojej rezydencji. Mam osiemdziesiąt cztery lata. Albo osiemdziesiąt siedem. Pewnych faktów już nigdy nie ustalę. Wymagałyby wyprawy na drugi koniec domostwa i odnalezienia dowodu osobistego, w którym, swoją drogą, mogą tkwić kłamstwa.

Jestem złym człowiekiem. Mimo że zrobiłam sporo dobrego, odziedziczyłam gen zła i nic nie mogę na to poradzić.

Kiedyś nosiciela genu zła nazywano po imieniu: hitlerowskim dzieckiem, niemrą lub tak, jak nie wypada mi nawet myśleć. Lista epitetów była długa i każdy z nich w pełni zasłużony. Dzięki temu, w jaki sposób się do mnie zwracano, nauczyłam się kłąć.

Alzheimer rzeczywiście pozwala mi czasem na chwilę zapomnienia. Ulatują mi z głowy imiona, daty i fragmenty wspomnień. Potem jednak znów powraca świadomość, a wraz z nią przekonanie o tym, że zostałam naznaczona. I nie tylko ja.

Niklas Frank, syn Hansa Franka, generalnego gubernatora i ministra Rzeszy, rozliczył się ze swoim ojcem w pełnym popłuczyn dzienniku. Gudrun, córka Heinricha Himmlera, do swoich ostatnich dni nie zaakceptowała prawdy i broniła pamięci o ojcu. Podobnie zachowały się również dzieci Mengelego oraz Hessa. Natomiast kilkoro potomków

Hermann Göring poddało się sterylizacji, by nie przekazać genów marszałka Rzeszy. Takie same kroki mieli też podjąć krewni Hitlera.

Żałuję, że nie zrobiłam tego samego. Że nie przecięłam linii, którą płynęła krew SS-Hauptsturmführera Martina Rotta.

Tyle że ja go naprawdę kochałam. Pamiętam zapach jego wody kolońskiej oraz wygłupy, gdy biegał po domu, udając konia i nucąc *Marsz Radetzkiego*. Pamiętam prezenty oraz czułe słowa na dobranoc. Pamiętam, jak gładził mi włosy.

– Przejedziesz się ze mną? Masz dzisiaj ochotę na krótką przejażdżkę?

– Oczywiście! Jak się cieszę!

– Wiesz dokąd?

– Dokąd?

– Może niedługo będziemy musieli stąd wyjechać. Tylko my dwoje. Aż do Rzeszy, ale nie na długo. Do samego domu. Pewnie już prawie nie pamiętasz Bawarii?

Nie pamiętałam, dlatego interesowało mnie, kiedy w końcu wyjedziemy.

– Już dziś?

– Nie, moja droga. – Ręka ojca łąduje na mojej głowie. Gładzi mnie i delikatnie rozczesuje palcami włosy. – Jeszcze nie dzisiaj. Dziś przejedziemy się po okolicy. Żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wiem, co mam robić. Przebrać się, założyć kapelusz z łamanym rondem i jedwabną apaszkę. Po chwili jestem gotowa.

– Karl! – krzyczy ojciec, idąc do drzwi. Stukot jego obcasów niesie się po całym domu. – Karl, do cholery, gdzie jesteś?

Karl otwiera drzwi i wybiega na schody. Samochód już czeka na podjeździe. To lśniący czarny mercedes ze złożonym brezentowym dachem. Zawsze urzekają mnie chromowane reflektory oraz koła, w których można się przejrzyć jak w lustrze. Lubię zapach nagrzanym słońcem skórzanych foteli i cichy klekot silnika.

Dwóch żołnierzy salutuje ojcu, a on bierze mnie na ręce i wsiada do auta. Karl usadawia się przed nami na miejscu kierowcy.

– Dokąd, Herr Hauptsturmführer?

– Prosto. Nie potrzebuję niczego więcej.

Ojciec obejmuje mnie ramieniem i odwraca twarz do słońca (sądzę, że lubiłam to właśnie dlatego, że i on to lubił). Jego ostre rysy nagle się

rozluźniają. Delikatnie rozchyła wąskie wargi, a z wysokiego czoła znika głęboka bruzda, która pojawia się, gdy jest strapiony – czyli ostatnio całymi dniami. Zaczesane do tyłu jasne włosy smaga wiatr. Na skroniach dostrzegam siwiznę. Na prawym, gładko ogolonym policzku widać niewielkie zacięcie. Gdy na nie patrzę i wyobrażam sobie wypływającą krew, przebiega mnie nieprzyjemny dreszcz.

Choć nie jest ciepło, na niebie nie ma ani jednej chmurki. Ojciec duma z przymkniętymi oczami. Zaciska długie palce na trzymanej na kolanach czapce z orłem oraz srebrną trupią główką na czarnym otoku. Wiatr muska nam twarze i czuję się zupełnie szczęśliwa. Tak bardzo szczęśliwa, że mam ochotę krzyczeć. Nie istnieje nic prócz nas oraz czarnego kabrioletu.

Jesteśmy tak cudownie wolni.

– Ale pięknie... – szepczę, choć podekscytowana nie zwracam żadnej uwagi na krajobraz. Kominy obozu przesuwają się na horyzoncie. Stanowią jedynie mało ciekawe tło.

– Karl, przyspiesz, do cholery. – Zdenerwowany ojciec ponagla adiutanta. Na jego czole znów pojawia się bruzda.

– Tak jest.

– A ty, moja droga, przytrzymuj kapelusz. Osłaniaj oczy przed pyłem.

Posłusznie dociskam go do głowy i nie mogę powstrzymać uśmiechu. Ot, tak. Bez powodu.

– Ślicznie ci w nim.

Ojciec szczypie mnie w policzek, a ja uśmiecham się jeszcze szerzej. Nagle Karl gwałtownie przyhamowuje. Opony chrzęszczą na żwirze i kamieniach.

– Przepraszam...

Mrugam i zdaję sobie sprawę, że wzdłuż drogi, którą jedziemy, maszeruje długa kolumna więźniów. Są zabiedzeni i nie potrafią nawet utrzymać się w szyku. Słaniają się na nogach. Tylko niektórzy mają dość odwagi, by przelotnie na mnie zerknąć. Zawsze nienawistnie. Nie rozumiem tych groźnych, wrogich spojrzeń. Odpowiadam na nie uśmiechem. A mój uśmiech wzbudza jeszcze większą nienawiść.

– Co się tu dzieje? – Ojciec wychyla się z auta i zagaduje do spoconego podoficera.



– Więźniowie nie dają rady utrzymać tempa, panie Hauptsturmführer. Przepraszam, ale...

– Maszerują jak bydło! Zajmujecie całą cholerną drogę.

– Proszę wybaczyć, panie Ha...

Ojciec nie pozwala podoficerowi skończyć.

– Jazda, ruszać się! – krzyczy na więźniów. – Won na pobocze! Cholerne bydło!

Jego twarz znów przybiera grymas, który utrzymuje się potem jeszcze jakiś czas, gdy wraca do domu. Już nie tylko bruzda szpeci jego czoło, lecz także na skroniach pojawiają się nabrzmiałe żyły. Pomiędzy wargą i nosem zbierają się krople potu.

Wysoki, potwornie chudy więzień upada tuż przed autem. Wychylam się, aby go lepiej zobaczyć. Podpiera się na łokciach, a jego ciało drży. Nie ma siły się podnieść. Wspiera się na dłoniach, jego mięśnie pulsują jak u głaskanego po kręgosłupie kota. Z powrotem pada na ziemię.

– Jedź, Karl – nakazuje ojciec.

– Ale...

– Jedź, mówię.

Karl odwraca się i dodaje gazu. Ojciec gniewnie nasuwa na głowę czapkę. Na jego oczy pada cień.

– Dodaj gazu!

Więźniowie po naszej prawej odwracają głowy albo spuszczaają oczy. Teraz w ich spojrzeniach nie ma wrogości, jest jedynie pustka. Podoficer zatrzymał się i rozgląda się zaniepokojony. Trzyma dłoń na kolbie karabinu.

Nagle auto delikatnie podskakuje, a następnie rozlega się ciche plaśnięcie. Coś zaplątuje się w koła i tłucze o błotniki. Wydaje mi się, że słyszę stłumiony krzyk. Silnik rzezi na wysokich obrotach.

Ojciec wyciąga z kabury pistolet i wychyla się ponad drzwiami. Zaciska usta. Wychyla się jeszcze mocniej, po czym strzela. Dwukrotnie. Samochód zeskakuje z przeszkody i toczy się dalej.

Słyszę pukanie.

Ojciec przeładowuje i strzela raz jeszcze.

I znów.

Pukanie jest coraz intensywniejsze. Przypomina odgłos kolejnych wystrzałów.

Zaciskam dłonie na drewnianych poręczach fotela i zwracam się w stronę drzwi. Ktoś przybył do dolnej sali zachodniego skrzydła mojej stuletniej rezydencji.

– Proszę – zachęcam. – Proszę wejść.

Jestem wdzięczna, że wyrwano mnie ze świata wspomnień. Nie wiem tylko, który świat jest prawdziwy.

W progu staje Stanisław. Przez chwilę przypatruje się mi, jakby oczekiwał na kolejne zaproszenie. Uśmiecham się do niego i to wystarcza. Wchodzi do pokoju, po czym cicho zamyka za sobą drzwi. Zawsze sprawia wrażenie zakłopotanego.

Porusza się powoli i niezgrabnie. Prawą dłoń zaciska na rzeźbionej rękojeści bambusowej laski. Idąc, rozstawia nogi, jakby całe życie spędził, jeżdżąc konno. Wiem, że to nieprawda, choć teraz nie pamiętam, czym się zajmował. Lubię go, bo wygląda jak starcy w moich najdawniejszych wspomnieniach.

Mija zastawioną bibelotami komódkę i podchodzi do masywnego, eklektycznego stołu. Ociężale siada na jednym z krzeseł. Wzdycha, po czym jedwabną chusteczką ociera pot z czoła.

– Jak się czujesz? – pyta zachrypniętym, ale ciepłym głosem.

– Może być. Tak samo jak sto lat temu.

Stanisław się uśmiecha. Zaciska rękę na srebrnej rękojeści i obraca ją zgrabiałymi palcami.

– Masz ochotę na spacer? – pyta z nieśmiałością uczniaka.

Zerkam w stronę okna. Jest już późne popołudnie i słońce rzuca pomarańczowe światło. Wiatr świszczy w lufciku. O tej porze najbardziej lubię patrzeć w niebo i popijać herbatę. Najlepiej jedząc przy tym miętowe ciastka. Albo pomarańczowe. Tak dawno nie jadłam już pomarańczowych ciastek...

– Byłeś u mojego syna?

Nagle przypominam sobie, że Eryk od bardzo dawna mnie nie odwiedził. Chciałabym z nim porozmawiać. Chciałabym, żeby siedział obok mnie i po prostu się uśmiechał. Moglibyśmy milczeć.

Stanisław na moment odwraca wzrok. Nerwowo splata dłonie na lasce i znów na mnie zerka. Tylko przez chwilę. Przeczesuje palcami

nieuczesaane siwe włosy.

– Twój syn nie żyje – stwierdza i zaciska usta.

– Co takiego?!

Mój Boże. Kręci mi się w głowie i oblewa mnie pot. Chcę poderwać się z fotela, lecz Stanisław podchodzi, po czym z trudem się pochyla. Delikatnie chwyta moją dłoń. Przez moment mam wrażenie, że chce ją pocałować, lecz się rozmyśla.

– On nie żyje od ponad trzydziestu lat. Przez tę chorobę czasem o tym zapominasz.

– Co ty pleciesz?

Mam ochotę zdzielić go w twarz. To cholerny żart, a z takich rzeczy się nie żartuje. Przecież kilka tygodni temu rozmawiałam z Erykiem. Był tu. Siedział na krześle przy ścianie i zaśmiewał się, opowiadając mi jakąś historię.

– Wyjdź! – krzyczę. – Wynocha stąd!

Stanisław spuszcza głowę i czołem dotyka mojej ręki. Chcę wstać, lecz czuję, że ugięłyby się pode mną nogi. Z trudem łapię oddech. Zabieram dłoń i zaciskam palce na skórzanym podłokietniku.

Stanisław podnosi się i wspiera na lasce. Pochyla głowę, a jego twarz wydaje mi się potwornie blada. Tak blada, jak blade są twarze na upiornych obrazach tego... Zapomniałam, jak się nazywał twórca tych szkaradziejstw. Ojciec obiecywał, że w naszym bawarskim domu jego dzieła zawiesimy nad kominkiem.

– Greta... Proszę. Uspokój się.

– Czego ty chcesz? Wygadujesz takie rzeczy o moim synu, a potem chcesz, żebym była spokojna! Ja jestem spokojna! Kurewsko spokojna! Nie chcę cię, kurwa, znać!

Przekleństwo mnie razi, ale nie potrafiłam go powstrzymać. Podobnie jak potoku kolejnych. Podnoszę się z fotela i wspieram na oparciu. Dyszę.

Stanisław cofa się i spuszcza głowę. W oczach ma łzy. Przygryza wargi, jakby zaraz miał się rozplakać. Zaczyna się cały trząść, co przyprawia mnie o jeszcze większą furję.

– Wynocha! – krzyczę i nagle braknie mi tchu. Nie wiem, co więcej miałabym powiedzieć. Nie wiem, dlaczego krzyczę.

Mrugam i dostrzegam przed sobą starca. Skądś go kojarzę, lecz nie wiem, co robi w moim domu. Chwytam szal i szczelniej się nim okrywam.

– Kim pan jest?

Starzec uśmiecha się ponuro. Z zaczerwienionych oczu ciekną mu łzy. Robi krok w moją stronę, ale nagle się zatrzymuje. Pochyla głowę, po czym cicho wzdycha. Ciężarem całego ciała wspiera się na bambusowej lasce tak, że boję się, że ta zaraz się złamie.

W ogóle w piersi dusi mnie strach. O siebie, o niego, o...

– Stanisław – odzywa się, znów na mnie patrząc. – Nazywam się Stanisław i jestem twoim przyjacielem.

– Przyjacielem? Ledwie pana pamiętam.

– To się zdarza...

– Słucham? Co niby się zdarza?

To jakiś obłąd.

– Proszę stąd wyjść, nim wezwę policję. Jak się pan tu w ogóle dostał? Czego pan chce?! – Mimowolnie podnoszę głos. Boję się, że ten mężczyzna coś mi zrobi. Nie wiem, dlaczego czuję z jego strony zagrożenie. Jest mi bardzo nieswojo i chciałabym uciec. Nie powinien tu wchodzić bez pozwolenia. To mój dom. Mój. – Proszę natychmiast iść!

Starzec kiwa głową i stara się wyprostować.

– Przepraszam – odzywa się. – Przepraszam, że cię wystraszyłem.

Nie jesteśmy na ty, ale już nic nie mówię. Chcę, żeby jak najszybciej wyszedł z tego pokoju. Jeżeli kiedyś byliśmy przyjaciółmi, teraz to zupełnie nieważne. Zapomniałam o nim. Nieistotni ludzie ulatują z naszej pamięci. Gdy starzec podchodzi do drzwi, robię kilka kroków w jego stronę.

– Nie chcę odświeżać dawnych znajomości – stwierdzam. – Stoję nad grobem i nie chcę stać nad innymi. Mam dość pogrzebów. – Taka jest prawda.

Starzec otwiera drzwi i z powrotem wspiera się na lasce. Drugą dłonią ukradkiem ociera łzę. Staje w progu i sięga do wewnętrznej kieszeni znoszonej marynarki.

– Mam coś dla ciebie.

Podaje mi gruby, zniszczony zeszyt w twardej oprawie.

– Niczego od pana nie chcę.

– Proszę, weź go.

– Co to? – Nieufnie zerkam na okładkę, ale nie widzę, co na niej zapisano. – Nie mam okularów...

– Spodoba ci się. Zobaczysz. Wystarczy, że zaczniesz czytać.

– Nie chcę go. – Wzbraniam się i unoszę dłonie. – Proszę już iść!

Starzec rozgląda się wokół i kładzie zeszyt na stojącym przy ścianie niciaku. Boję się go. Naprawdę chcę, żeby już poszedł.

Mężczyzna kłania mi się i przez chwilę zatrzymuje wzrok na mojej twarzy. Jest tak bardzo smutny. Nigdy nie widziałam równie smutnego człowieka. Boję się jego smutku.

– Do widzenia – szepcze, po czym zamyka za sobą drzwi.

W pomieszczeniu pozostał po nim delikatny zapach kosmetyków do golenia. Powinnam otworzyć szerzej okna, ale boję się przeziębienia.

Moje spojrzenie pada na pozostawiony przez niego zeszyt. Może lepiej by było, gdybym mu go oddała? Albo natychmiast wyrzuciła?

Nie wiem, dlaczego go biorę i otwieram na pierwszej stronie. Wygładzam dłonią kartki. Na palcu mam złoty pierścień z małym rubinem, którego nie kojarzę. Nie wiem, od kogo go dostałam. Nie wiem, co obok niego robi obrączka.

Nie chcę wiedzieć.

Boże, myśli tak bardzo mi się płaczą...

Znowu ktoś puka do moich drzwi.

## ANNA

Nigdy wcześniej nie słyszałam tak głośnego pukania. Nie przypominało stukania, a łoskotanie, jakby ktoś chciał wyważyć drzwi. Jakby walił w nie czymś metalowym.

Raz za razem.

Łup-łup.

Sam ten odgłos potrafi przerazić.

Łup-łup.

Nie potrafię go właściwie opisać, choć moje opowiadania ponoć są całkiem dobre i niektórym się podobają. Mama lubi je czytać. Tata też lubił, ale od dwóch i pół roku nie mamy od niego żadnej wieści. Podobno zabrali go sowietci, ale w odpowiedzi na setki pism poinformowali nas, że ojciec nie figuruje w żadnym z ich rejestrów. Nie pojмали go, nie aresztowali ani nie znaleźli na polu żadnej z bitew. Zniknął razem ze wszystkimi ludźmi, którzy ruszyli z nim na front. Z panem Rosowskim, z kuzynem Danielem i z wujem Tomaszem. Wuj Tomasz w połowie września trzydziestego dziewiątego przysłał list, że razem z jednostką znajdują się w okolicach Brześcia.

Potem nie miałyśmy już od nikogo z nich żadnej wieści.

Nie, chyba nie tak powinnam prowadzić narrację. Dobrze wiem, do kogo kieruję te słowa.

Dlaczego do nas nie napisałeś, Tato? Nie mam nawet listu, który mogłabym czytać i dotykać papieru, który dotykała Twoja dłoń. Nie pamiętam Twojego charakteru pisma. Wszystkie dokumenty, które podpisywałeś, już dawno zniknęły...

Tato. Chciałabym, żebyś kiedyś przeczytał to, co teraz piszę. Czasem może będę zbyt szczerą, a czasem wyrażę się niejasno, ale przecież nikt nie zna mnie tak dobrze jak Ty. Poza tym to będzie trochę jak bajka, a trochę jak dziennik. Wolałabym, żebyś nigdy nie dowiedział się całej

prawdy. Prawda zawsze była zbyt smutna. Nawet w baśniach Andersena czy braci Grimm.

Zacznę choćby od tego, że mam dwanaście, a może szesnaście lat. Pamiętasz, jak kiedyś się pomyliłeś przy składaniu mi życzeń? Potem mama wypominała Ci to przez wiele dni. Sądzę, że zrobiłeś to specjalnie, żebyśmy mieli kolejny powód do śmiechu. Tak było, czyż nie? Lubię myśleć, że mam dwadzieścia jeden lat, bo w tym wieku mamusia wyszła za Ciebie za męża. Co ze mną będzie, gdy będę miała dwadzieścia jeden lat? Czy w ogóle świat będzie wtedy jeszcze istniał? „Pokolenia przychodzą i pokolenia odchodzą, a Ziemia trwa po wsze czasy”. Tylko czy ja będę istniała?

Gdybyś czytał te słowa, chciałabym, żeby sprawiły Ci ulgę. Mam dość zła, okropieństw i potworności. Ale... Myślę, że chciałabym napisać coś, co po mnie zostanie. Chcę zostawić ślad tego, że kiedyś istniałam, czułam i kochałam. Nie wstydzę się tego. Chcę zostawić ślad po nas, Tato.

Pisząc, wyobrażam sobie, że zaraz podam Ci te kartki. Że zapalisz fajkę i puszczając dym, zaczniesz czytać. I że czytając, swoim zwyczajem, będziesz się delikatnie uśmiechał. Uwielbiam ten Twój pobłażliwy uśmiech, w którym zawsze widziałam, jak bardzo mnie kochasz.

Jeśli nigdy tego nie przeczytasz...

Wiesz, na to też mam wytłumaczenie.

Wierzę, że w jakiś sposób nasze myśli się łączą. Jestem przekonana, że teraz mnie słuchasz, choćbyś był na drugim końcu świata. Opowiem Ci, co się wydarzyło, ale proszę, nie martw się. Z nami wszystko w porządku. Tylko bardzo nam Ciebie brakuje. Chcę, żebyś o wszystkim wiedział, bo my to przecież też Twoje życie. Pani Zaniewska pewnie skrytykowałaby mnie za to pokracczne zdanie.

Łup-łup.

Tak najlepiej opisać ten dźwięk. Zebrałyśmy się wszystkie w pokoju, a łoskot się powtórzył. Dobięły nas krzyki. Na podwórze przed domem zajechała wojskowa ciężarówka.

– Boże... – wyszeptała mama. – Otwórz im.

– Ale...

– Zaraz wybiją kolbami dziurę albo zaczną strzelać. Otwórz im, mówię.

A więc to podkute metalem kolby karabinów tak dudniły. Dopiero wtedy o tym pomyślałam i nogi ugięły się pode mną ze strachu.

Stało się. To, o czym tak wiele razy rozmawialiśmy.

Lusia zbladła (o ile w jej przypadku to w ogóle możliwe!), lecz powlekła się do drzwi. Mama pośpiesznie poprawiła fryzurę, wygładziła spódnicę i położyła dłonie na moich ramionach. Czułam, że wstrzymuje oddech.

Gdy Lusia przekreśliła zamek w drzwiach, ktoś z zewnątrz natychmiast je pchnął. Rąbnęły o wieszak, z którego spadł Twój kapelusz. Czy to mógł być znak? Czy w ten sposób próbowałeś pokazać, że nie chcesz tych ludzi w naszym domu? Nie mogłeś jednak zrobić nic więcej.

Na ganku stało trzech żołnierzy z karabinami w rękach.

– *Frau Dunajewska?* – zapytał najstarszy z nich, postawny Prusak z kwadratową szczęką i wydatnym podbródkiem.

Mama skinęła głową. Minęła mnie i wyszła naprzeciw żołnierzom. Miała na sobie tę granatową sukienkę, którą tak bardzo lubisz.

– Co się stało? – zapytała po niemiecku.

Zobaczyłam, że na podwórzu jest kilku innych hitlerowców. Zagnali tu gospodarzy z chat w głębi wsi. Widziałam pana Nowaka i starego Lipskiego. Wzięli nawet naszego proboszcza, który kulał, odkąd ktoś go napadł i pobił.

Muszę się do czegoś przyznać, Tato. Wiele razy się modliłam, żebyś wrócił, a potem wściekałam się na Boga, że wciąż Cię nie ma. Ksiądz Wojciech w trakcie spowiedzi zawsze mnie pocieszał, lecz chyba straciłam wiarę. Przecież ona nie ma sensu. Wydaje mi się, że...

Dość o mnie.

Prusak odsunął Lusię i podszedł do mamy. Zerknął na mnie, ale zaraz rozejrzał się po wnętrzu domu. Tuż za nim weszło dwóch pozostałych żołnierzy.

Ten najstarszy wyciągnął dłoń i rozcapierzył palce.

– *Fünf Minuten!* – krzyknął, po czym dodał łamaną polszczyzną: – Macie pięć minut.

Wiele razy rozmawialiśmy o tym, że w pięć minut będziemy musiały spakować całe nasze życie. Byłyśmy na to przygotowane, a mimo to mama stała jak zamurowana. Dopiero po chwili odezwała się po



niemiecku, lecz Prusak już jej nie słuchał. Ostentacyjnie odwrócił się do nas plecami.

Na jej twarzy dostrzegłam przerażenie. Chyba nigdy nie widziałam jej tak bezradnej i zrobiło mi się przez to bardzo smutno. Była bezradna, bo nie mogła nam pomóc. Wstydziła się nawet na mnie spojrzeć. Wiesz, Tato, jaka ona jest.

Lusia osunęła się na podłogę i zaczęła spazmatycznie płakać. Ja również byłam całkowicie skołowana. Chciałam się obudzić. Nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę. Czułam się, jakbym się znalazła na krawędzi koszmarnego snu i jawy. W tym stanie, gdy już otworzyło się oczy, lecz wciąż się śni.

Nagle mama delikatnie pchnęła mnie w stronę schodów.

– Pakuj rzeczy – nakazała stanowczo, choć łagodnie. – Wiesz które.

Nim zdążyłam się ruszyć, Niemiec odwrócił się i stuknął kolbą o podłogę.

– *Die Zeit ist um* – obwieścił.

Pięć minut minęło.

*Die Zeit ist um.*

## GRETA

Przez ostatnie lata poświęciłam się czynieniu dobra. To komunał, ale po raz kolejny powtórzę, że lubię komunały. Niemal wszystkie pieniądze przeznaczyłam na datki dla byłych więźniów obozów koncentracyjnych, upamiętnienie ofiar wojny i walkę z uprzedzeniami. Wielokrotnie wyznałam grzechy i prosiłam o wybaczenie. Co więcej, nie zależało mi na wybaczeniu dla samej siebie, ale takim, by dzięki niemu to wybaczący mógł się poczuć lepiej. Mnie już nic nie może pomóc.

Nie jestem dobra.

Noszę w sobie gen zła.

Mimo to po półwieczu marazmu i samoobwiniania postanowiłam coś zrobić. Ogromna w tym zasługa mojej terapeutki. Kiedy poznałam ją kilkanaście lat temu, od razu wiedziałam, że trafiłam na właściwą osobę. Choć nie miała wtedy wszystkich uprawnień do prowadzenia terapii, zaczęłyśmy rozmawiać i kontynuujemy naszą rozmowę do dzisiaj.

Siedzę w jej gabinecie i wdycham zapach kwiatów. Na biurku leży stos książek, których wcześniej nie widziałam. Zdaje się, że przed moim wejściem Alicja czegoś w nich szukała. Światło słoneczne załamuje się w kuli z miodowego rżniętego szkła. Tęczowe rozbłyski padają na ścianę obok biblioteczki, a koronę cytrusa pokrywa jeszcze więcej białych kwiatów niż ostatnio. Mogłabym tu siedzieć godzinami. Czuję się spokojna i odprężona. Czuję się lepiej niż w domu, pośród duchów i tajemnic przeszłości.

Alicja zakłada włosy za uszy i pochyla się w moją stronę. Ma zmęczone, przekrwione oczy.

– Mało snu? – pytam.

Delikatnie się odsuwa, jakby się zawstydziała, że to dostrzegłam. Uśmiecha się wymownie i wzrusza ramionami.

– Aż tak to widać? Kawa postawiła mnie na nogi, ale nie miałam kropli do oczu.

– Dobra zabawa z chłopakiem? – dopytuję wścibsko, co przecież można usprawiedliwić moim wiekiem.

Alicja kręci głową. Przybiera swoją sztandarową, ptasią pozę i lekko się pochyla. Palcami prawej dłoni stuka o położony na kolanach zeszyt.

– Nie traćmy czasu na mnie – odzywa się rezolutnie. – To nic ciekawego. Znacznie bardziej interesuje mnie to, jak ty się czujesz.

W sumie po to tu jesteśmy. I choć jakiś czas temu przekroczyliśmy cienką granicę między terapią i znajomością, nie miałam prawa o nic jej wypytywać. Mogę nazywać ją swoją przyjaciółką, lecz dla niej zapewne na zawsze pozostanę jedynie „przypadkiem”, numerem lub ewentualnie fragmentem statystyki niezbędnej do dokończenia doktoratu. Choć w tej chwili oceniam ją chyba zbyt surowo.

Gładzę poręczę głębokiego fotela i zastanawiam się, co powiedzieć. Czasem też wolałabym zostawić pewne rzeczy tylko dla siebie. Ale...

– Wczoraj miałam gorszy dzień – wyznaję. – Nie do końca pamiętam, co się ze mną działo. Chyba odwiedził mnie Stanisław, ale równie dobrze mogłam to sobie wymyślić. Poszczególne wspomnienia są poszarpane, jakbym wypięła cały gąsior wódki. A wiesz, że po naparstku alkoholu mam odruch wymiotny.

– Jak długo mogła trwać twoja nieświadomość?

Nie wiem.

– Pewnie kilka godzin. Patrzyłam na zachodzące słońce i myślałam, że mam ochotę na ciasteczko miętowe. To żałosne, że zapamiętuje się właśnie takie rzeczy. – Wzdycham i spuszczam wzrok. – Choć bardziej żałosne jest to, że zapomina się wszystko inne.

– Nie ma w tym nic żałosnego. To choroba, która może spotkać każdego.

– A może to kara? Kuksaniec od losu albo od Boga?

Słyszę, że Alicja nerwowo porusza się na swoim obrotowym krześle. Zauważyłam, że robi to niemal za każdym razem, gdy zbaczam na sprawy wiary. Pomiędzy psychologią a wiarą jest chyba cienka, przerywana linia. Lepiej nie nastąpić na nią choćby palcami.

– Kiedy odzyskałaś świadomość? – pyta, zmieniając temat.

– W nocy. Ocknęłam się tuż po dwudziestej drugiej z książką, której nigdy wcześniej nie widziałam. Mam przebłysk, że dostałam ją od Stanisława, ale ukrzyżuj mnie, a nie przypomnę sobie, czy tak było w rzeczywistości.

– Co to za książka? Możesz sobie przypomnieć jej treść?

Staram się odświeżyć poplątane wspomnienia.

– To dziennik... Mam wrażenie, jakbym czytała go wieki temu. Jestem stara, ale bez przesady.

– Dziennik?

– Pamiętnik, memuar, zwał jak zwał. Z czasów wojny. Właściwie nie wiem, dlaczego Stanisław lub ktoś inny go u mnie zostawił.

– Czy w trakcie lektury nie poczułaś się lepiej?

Macham ręką.

– Nie, to nie tak – szepczę. – Nie potrafię opisać tego stanu. Mam pojedyncze przebłyski, ale wszystko zlewa mi się i miesza. Pamiętam, że Niemcy zabrali tę dziewczynę z domu... Niemcy, tacy jak mój ojciec.

– Wywołało to w tobie dodatkowe emocje?

– Te same, które są we mnie od lat.

– Ale chociaż nie pamiętasz momentu, w którym zaczęłaś czytać, przypominasz sobie treść dziennika.

Alicja patrzy mi prosto w oczy. Oskarżycielsko? Z zaciekawieniem? Rzeczywiście to całkiem ciekawe, że pamiętam, o czym czytałam. I muszę przyznać, że dość wyjątkowe.

Odwracam głowę i przenoszę wzrok na kulę z miodowego szkła. Słońce zaszło za chmurę, więc tęcza rozszczepionego światła znikła ze ściany.

– Czytając podobne relacje lub słuchając ich, czuję się, jakbym była na sali rozpraw. – To chyba najszczerze wyznanie, na jakie mogę się zdobyć. – Ale chcę na niej być i czekam na ostateczny wyrok. Od Boga.

Czasem zdarza mi się pleść w ten sposób, bo wydaje mi się to pompatyczne i ładne, a chwilę później uzmysławiam sobie, że po prostu bredzę jak nawiedzona. Stare baby tak mają.

Alicja znów porusza się na krześle. Stuka długopisem w okładkę notesu.

– Bóg nie będzie cię sądził za grzechy ojca. Zdaje się, że to tak nie działa.

Uśmiecham się ponuro. O tym akurat myślałam wiele razy, więc mam gotową odpowiedź.

– „Jestem Bóg karzący nieprawość ojców na dzieciach w trzecim i czwartym pokoleniu” – cytuję z pamięci, po czym dodaję: – Księga Powtórzonego Prawa, rozdział piąty, werset dziewiąty. Przynajmniej tak mi się zdaje.

– To Stary Testament.

– I co z tego? Bóg zsyła kary za grzechy ojców, a czy mogłaby być wymowniejsza kara niż moja choroba?

Alicja przygryza wargi. Otwiera notes, lecz zaraz go zamyka. Przekłada długopis z ręki do ręki i lekko przechyla głowę.

– Właśnie. Co do choroby... – odzywa się zmienionym głosem. Nerwowo zakłada kosmyk włosów za ucho.

– Tak?

– Ze względu na twojego alzheimera nie jestem przekonana, czy możemy kontynuować naszą terapię.

Naszą? Od kiedy moja terapia zrobiła się naszą? Alzheimer jest mój, ale terapia nasza, pięknie. Po raz kolejny wywołuje ten temat.

– Czy możemy kontynuować? – Zaczynają drżeć mi dłonie. – Naprawdę chcesz mnie zostawić na lodzie?

Alicja ponownie patrzy mi prosto w oczy. Na jej twarzy dostrzegam autentyczny smutek. Zdaje się, że przygotowała się do tej rozmowy.

– Spotykałyśmy się codziennie. Czasem mamy kilka dni przerwy, ale nigdy więcej niż tydzień.

– Zgadza się. To za często?

– Chodzi o to, że nie widzę efektu. Chciałabym przekazać cię komuś innemu, kto może spojrzeć na wszystko z nowej perspektywy. Zależy mi, żebyś trafiła w jak najlepsze ręce.

– Bez efektu? Oczywiście, że jest efekt – protestuję. – Wciąż żyję i nie myślę już w każdej minucie, jak się zabić. Nie chcę z premedytacją skazać się na piekło. To chyba można nazwać efektem?

Żałuję, że nie pamiętam, czy pożegnałam się ze Stanisławem. Jest mi zwyczajnie wstyd, choć terapeutka powtarza, że swojej choroby nie

powinnam się wstydić. Nie chodzi o chorobę. Chodzi o jej skutki. Jest mi nie tylko wstyd, lecz także głupio.

Chciałabym podziękować Stanisławowi za odwiedzin i za lekturę. Chciałabym go przeprosić, jeśli powiedziałam coś niewłaściwego, bo mam przeczucie, że właśnie tak było. Choć może wcale nie powinnam przeproszać. Przeprosiny nigdy nic nie zmieniają. Jeśli coś zrobiliśmy, może nam to zostać wybaczone lub nie. Trzecią opcją jest: puszczone w niepamięć przez alzheimera, ale to skrajny przypadek. Poza tym nie ma w tym nic śmiesznego.

Gładzę pobrudzoną okładkę dziennika i zastanawiam się, czy zmiana terapeuty może mi pomóc. Moje myśli przeskakują z tematu na temat. Od wielu tygodni nie potrafię się skupić na jednej kwestii dłużej niż kilka minut.

Z oddali dolatują mnie takty *Sarabande* Haendla. Lubię ten utwór, więc być może odtworzyłam płytę na gramofonie w głębi domu. A może dźwięki dobiegają zza okna. Delikatny przeciąg zasysa frankę ku lufcikowi. Jest leniwie i sennie. Słońce mozolnie przesuwają się nad horyzontem.

Myśli znów mi ulatują, muszę się podnieść. Robię kilka kroków do stolika, na którym stoi telefon. W szufladzie znajduje się notes. Tyle że stolik nie ma szuflady...

Boże.

Znów coś pomieszałam. Nie wiem, gdzie mogłam zapisać numer telefonu Stanisława. Nie wiem, czy on w ogóle ma telefon, czy kontaktuję się z nim listownie lub tylko osobiście. Czy kiedykolwiek go odwiedziłam? Gdzie on w ogóle mieszka?

Czy on w ogóle...

O czym ja...

Bieg moich myśli przerywa dzwonek telefonu. Metaliczny i głośny. Natychmiast sięgam po słuchawkę.

– Halo?

– Dzień dobry, z tej strony Teresa Feldman. Powiedziano mi, że mogę się z panią skontaktować pod tym numerem.

– Ze mną?

– Pani Rott, zgadza się?

– Tak.

Akurat o tym pamiętam.

– Dzwonię z Towarzystwa Pamięci Ofiar Ludobójstwa i...

Nazwa jest tak długa, że przestaję słuchać. A może raczej nie chcę słuchać. Każde z tych słów kłuje mnie w sumienie.

– Halo? Pani Rott?

– Tak?

– Po pierwsze, chciałabym podziękować za ostatni datek, który przekazała pani na nasze konto. To dla nas prawdziwy zaszczyt, że od tak wielu lat wspiera pani działalność naszego Towarzystwa.

Nie wiem, jak powinnam zareagować. Na pewno nigdy nie oczekiwałam podziękowań. Robi mi się głupio i przykro. Nie mam pojęcia dlaczego. Dobiegają mnie kolejne słowa kobiety.

– ...tablicę pamiątkową. Tak jak powiedziałam, odbędzie się jej odsłonięcie, co też jest powodem, dla którego dzwonię. Chciałabym przesłać pani oficjalne za...

– Nie, nie, nie! – wybucham niespodziewanie. – Absolutnie się na to nie zgadzam!

Po drugiej strony słuchawki zapada cisza. Trwa jednak tylko przez chwilę.

– Nie chce pani uczestniczyć w uroczystości?

– Nie chcę być na żadnej tablicy. Nie chcę, aby moje nazwisko zostało wyryte obok nazwisk dzieci ofiar. Po prostu nie i już.

– Ale...

– Jak dla mnie temat jest skończony.

Chcę się rozłączyć, ale kobieta mówi coś, co zwraca moją uwagę.

– Zawsze myślałam, że jest pani córką ofiar... – Wzdycha. – Rozumiem. Proszę mi jednak uwierzyć, że wśród darczyńców jest wielu Niemców. Właściwie ponad połowa to osoby...

– Czy nie wyraziłam się dość jasno?

– Tak. Tyle że...

– Do widzenia.

Odkładam słuchawkę i wpatruję się w kartkę, na której nabazgrałam adres. Nie mam pojęcia, kiedy ta kobieta mi go podyktowała. Pamięć znów robi mi dowcip.

Tablica z podziękowaniem za pieniądze, które nikomu nie zwrócą życia? Być może robię to wszystko, aby poczuć się lepiej. Albo

przynajmniej spróbować się tak poczuć. Nie zasługuję nawet na kilka sekund rozmowy, nie wspominając o marmurach i pozłacanych literach.

Czasem myślę, że Goebbelsowie byli naprawdę dobrymi rodzicami. Razem ze sobą zabrali ze świata gromadkę dzieci. Zastanawiam się, czy to poświęcenie, czy obłąd. Może jedno i drugie. Może wiara, że czeka nas lepsze życie, a może przezorność i chęć uchronienia potomstwa przed tym, co przytrafiło się mnie.

Chciałabym nienawidzić ojca, lecz nie potrafię. Kochał mnie i nie umiał się ze mną rozstać. W pewnym momencie zrozumiał, że przy nim nie będę miała dobrego życia. Pojął, że wszystko skończone, ale nie miał serca zachować się jak Goebbelsowie. Chociaż zdaje mi się, że właśnie taki miał plan. Równie dobrze mogę dorabiać do swoich wspomnień drugie dno. Cóż, chyba jestem usprawiedliwiona.

Pamiętam spacer, na który ojciec kiedyś mnie zabrał. Karl został przy samochodzie, a on poprowadził mnie polną ścieżką. Nie wiem, gdzie wtedy byliśmy. Wcześniej przez kilka godzin jechaliśmy za kolumną ciężarówek. Twarz ojca była szara i zmęczona. Miał podkrążone oczy, a bruzda na czole nie zniknęła już od wielu dni, niczym blizna na stałe wpisała się w jego rysy.

Ojciec trzyma mnie za rękę i stawia długie kroki. Po obu stronach ciągną się nagie pola. Na horyzoncie snuje się gęsty dym, a swąd spalenizny oblepia mi gardło. Co chwilę odkasłuję.

Z oddali słysząc dudnienie i choć tata tłumaczył, że gdzieś krąży burza, wiem, że to nieprawda. Dudnienie oznacza śmierć. Zawsze tak było.

W pewnym momencie ojciec zatrzymuje się i zerka przez ramię. Oddaliliśmy się na tyle, że już nie widać jadących drogą pojazdów. Nagle zapanowała całkowita cisza. Nawet dym jakby się nas wystraszył i ulotnił.

Ojciec z poważną miną kuca i zdejmuje rękawiczki. Zsuwa je powoli, palec po palcu. Wreszcie sięga do skórzanej aktówki, a następnie wyciąga z niej metalowy kubek z zamkniętym wieczkiem. Spogląda mi prosto w oczy. Pamiętam to głębokie, przesywające spojrzenie. Pamiętam zaciśnięte usta i drżenie nerwu na policzku. Mimo że jest chłodno, ojciec wierzchem dłoni ociera pot z czoła. Odkręca wieczko i podaje mi kubek. Nie spuszcza ze mnie oczu, lecz jego myśli wędrują



gdzieś daleko. Wiem o tym. Jego spojrzenie jest całkowicie nieobecne, a on wydaje mi się kimś obcym.

– Wypij to – nakazuje.

– Ale...

– Wypij.

Gładzi mnie po policzku i się prostuje. Jest wysoki, dużo wyższy ode mnie. Pod szyją na wstążce ma Żelazny Krzyż. Mój wzrok zatrzymuje się na chwilę na lśniącej sprzączce jego pasa. Pod orłem widnieje dewiza: „Mój honor nazywa się wierność”.

A mój?

Czy mój honor również nazywa się wierność?

– Gretchen – ponagla mnie.

Boże. Doskonale wiem, co jest w kubku. Wiem, że jeżeli wypiję jego zawartość, nie będzie już jutra, burzy ani lepszego świata. Już nic się nie zacznie ani nie skończy. Dym nie załaskocze mnie w gardło.

– Proszę cię... – Ojcu łamie się głos. Przykłada dłoń do ust i powoli nabiera powietrza. Rozgląda się spłoszony.

– Jutro. Zrobię to jutro, dobrze?

Nie odpowiada. Zaciska zęby i ponownie wbija we mnie wzrok. Po jego doskonale wygolonym policzku ścieka kropla potu. A może to łza? Dlaczego ogolił się tuż przed wyjazdem? Te pytania nie znajdują swoich odpowiedzi.

Zaciskam dłonie na metalowym kubku i cała drzę. Robi mi się niedobrze. Nie mogę zawieść ojca. Nie mogę pozwolić, by przeze mnie dłużej zwlekał. Wiem, że na jego rozkazy czeka wielu ludzi. Ja jedna jestem mu nieposłuszna.

Gdzieś w oddali słychać łoskot nadjeżdżających czołgów. Przez ostatnie godziny zdołałam przyzwyczać się do tego dźwięku. Wszystkie tryby maszyny muszą się kręcić we właściwym rytmie. Te słowa co chwilę padały z radia, wznęły mi się w mózg. Jedna uszkodzona zębátka powoduje, że...

Rozchyłam usta i przechylałam kubek.

W tym samym momencie ojciec uderza mnie w dłoń. Mocno i wściekle. Wypuszczam kubek, a ten pada na pole, po czym brzęczy, pchany przez wiatr.

Nie rozumiem nic z tego, co się stało. Boję się nawet zerknąć na ojca. A on odwraca się i kieruje się w stronę drogi. Odgłos nadjeżdżających czołgów jest coraz głośniejszy. Mimo że ojciec jest odwrócony do mnie plecami, widzę, że ociera oczy. Maszeruje lekko zgarbiony, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzyło. Zawsze szedł wyprostowany jak struna.

Internat znajdował się w dawnych zabudowaniach dworskich. Główny gmach został spalony przez Rosjan, którzy obozowali w nim pod koniec wojny. Ponoć nie mieli pojęcia, jak korzystać z toalet na piętrze, więc granatami zrobili dziury w podłodze, by móc załatwiać się na parter. To był tylko pierwszy etap dewastacji budynku, który Niemcy – o dziwo – zostawili w spokoju. Zabrali ze sobą jedynie nieco dzieł sztuki, w tym kolekcję obrazów niderlandzkich mistrzów, oraz sforę psów gończych, która wyjątkowa pasowała do ich charakterów. Najgorszy czas przyszedł wraz z sowietami.

Te kilka lat po przejściu frontu pozostawiło na ścianach zabudowań pęknięcia i ślady kul. W spoiny między cegłami wsiąkły westchnienia oraz przyciszone rozmowy kilkuset dziewcząt. Za obłazującym tynkiem można było trafić na najgłębsze sekrety, a przez dziurawy dach codziennie ulatywały modlitwy.

Pamiętam poczciwego sprzątacza Jana, pamiętam dyrektora Inkubaturę, jak ją nazywano, pamiętam też kilka nauczycielek.

Na lekcjach zazwyczaj siadałam w jednej z tylnych ławek, sama i zła na cały świat. Nie miałam przyjaciół. Dla wszystkich byłam „niemrą” lub „hitlerką”. Godzinami mówiłam do lustra, aby pozbyć się akcentu, i godzinami przysłuchiwałam się temu, jak mówię. Nie wychwytywałam nawet śladu obcej naleciałości. Wydawało mi się, że po polsku mówię całkiem dobrze. Znacznie trudniej było zrozumieć dziewczęta z dawnej Rusi, zaciągające tak mocno, że można odnieść wrażenie, iż bez przerwy śpiewają. Do nich nikt nie miał pretensji.

Życie w internacie poddane było ścisłym regułom. Pobudka, toaleta, lekcje, w międzyczasie przerwy na posiłki i ochłapy wolnego czasu. Nie narzekałam, bo nie wiedziałam, czy jeszcze istnieje jakikolwiek inny świat. Tak po prostu musiało być. Nie wymykałam się z innymi

dziewczętami do kina, nie włączyłam się po nocach ani nie robiłam dowcipów nauczycielom.

Moim jedynym buntem były poranne spacerunki. Od lat miałam problemy ze snem i budziłam się na długo przed świtem. Ubierałam się, a następnie wymykałam na przechadzkę po okolicy. Chodziłam bez celu. Przypatrywałam się przełamującemu ciemność świtowi, wsłuchiwałam w szum lasu i poranne nawoływanie zwierzyny.

Czasem zachodziłam do wsi. Zimą zawistnie obserwowałam ciepło i jasność wypełniające skromne chałupy. W cieplejsze dni równoległe z moim pojawieniem się przed świtem zaczynało się życie. Ruszały wozy, słychać było muczenie krów i nerwowe parskanie koni. Na podwórzach gospodynie wysypywały ziarno dla kur, dzieci ganiały się, a mężczyźni gotowali do ciężkiej roboty.

Któregoś ciepłego kwietniowego poranka przy plebanii, gdy słońce już rozświetliło złociście powietrze, zobaczyłam wysokiego, rozczochranego chłopaka. Był bardzo chudy i wydawało się, że połamie się pod ciężarem przenoszonych skrzynek. Nie wiem, co w nich było, lecz on zachowywał się tak, jakby przynosił porcelanowe zastawy. Miał wysunięty do przodu język, cicho mruczał i stawiał szeroko stopy. Gdy zdał sobie sprawę, że na niego patrzę, natychmiast się wyprostował. Jednocześnie przydepnął postrzępioną nogawkę przydługich spodni. W ostatniej chwili uratował się przed upadkiem, lecz jedna ze skrzyń się mu wymknęła. Po krótkiej i nierównej walce z siłą ciężenia rozległ się głuchy łomot. Wieko spadło, a na drogę wypadły świeżo porąbane drwa. Chłopak się zaczerwienił, po czym natychmiast zaczął je podnosić. W jego nieskoordynowanych ruchach było coś niezwykłego. Zachowywał się jak cyrkowiec, który balansuje na linie i to, że się zachwieje, jest tylko jego starannie wyreżyserowanym gestem. Jednak w tym nie było nic zaplanowanego.

Udałam, że nic się nie stało, i poszłam dalej. Tamtego dnia sporo myślałam o spotkanym rano chłopaku. Wydawało mi się, że to wszystko mogło mi się po prostu przyśnić. Że nie rozbudziłam się jeszcze i po prostu majaczyłam. Uśmiechałam się do siebie na wspomnienie jego chaotycznych ruchów. Starłam się odtworzyć wygląd jego twarzy. Rysowałam ją i zamazywałam.

Kolejnego ranka zerwałam się po bezsennej nocy i popędziłam do wsi. Z ogromną ulgą zobaczyłam, że chłopak jest prawdziwy. Był w tym

samym miejscu co poprzedniego dnia i prznosił takie same skrzynie. Zobaczył mnie już z daleka, drgnął, jakby chciał mi pomachać, po czym uświadomił sobie, że takie manewry z kilkudziesięcioma kilogramami drewna na rękach są niemożliwe.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Chłopak puścił mi oko, po czym dumnie zadarł głowę. Słońce oświetliło jego pozbawioną zarostu, nastoletnią twarz. Wiatr muskał mu przydługie, potargane od snu włosy. Nagle jego mięśnie napięły się, a sylwetka – przygarbiła. Z podwórza przy plebanii usłyszałam chrząknięcie. Dopiero po chwili zobaczyłam stojącego w półmroku księdza, który ćmił fajkę, patrząc na mnie spode łba. Wiatr co rusz rozwiewał pomarańczowe iskierki żaru.

Przyśpieszyłam kroku i czym prędzej schowałam się za murem pokrytym obłazącą farbą. Jakby na zakończenie snu w tym samym momencie rozległo się bicie dzwonu. Mimo to nie obudziłam się, lecz jeszcze mocniej uświadomiłam sobie, że to wszystko dzieje się naprawdę. Że z jakiegoś głupiego powodu moje serce również zabiło mocniej, a po ciele rozlała się fala przyjemnego ciepła.

Przez kolejne dni codziennie przychodziłam w okolice plebanii. Staralam się unikać księdza, lecz ten niezmiennie stał na straży pracowitości swojego pomocnika. Chłopiec zerkał na mnie, jednak nie odważył się powiedzieć ani słowa. W kącikach jego kształtnych ust krył się tajemniczy uśmiech. Wiatr rozwiewał żar z fajki proboszcza i niósł magiczny zapach wydmuchiwanego dymu.

Zastanawiałam się, jak może mieć na imię. Nazywałam go na setki sposobów, które zamykały się w jednym słowie: ukochany. Nastolatki są cklive i naiwne. Przynajmniej takie były te setki lat temu, kiedy wydarzyła się ta historia.

Którejś soboty (w soboty zaczynałyśmy zajęcia nieco później) wróciłam do pokoju, gdy moje towarzyszki już nie spały. Wydawały się wyjątkowo rozbudzone. Już z korytarza usłyszałam ich szczebioty i chichy.

– Zakochała się, zakochała! – Honora, szczupła, pryszczata blondynka, wymierzyła we mnie palec. Od razu domyśliłam się, że byłam szpiegowana. Od jakiegoś czasu widziałam ukradkowe uśmiechy i spojrzenia, lecz tego ranka zasłona tajemnicy spadła. Podglądanie nie było już śmieszne. Nadszedł czas linczu. – Myślisz, że nie wiemy, gdzie łazisz codziennie rano?

– Nieprawda. – Spłonęłam rumieńcem, odpierając niepostawiony zarzut. – Głupie. Chodzę się przejść i tyle.

– A potem gapicie się na siebie i romantycznie puszczacie sobie oczka?

– Niemry nie zakochują się w Polaczkach – dołączyła się przypominająca beczkę na kiszonkę Kaśka. – Prawda? Gardzą nimi.

– Przestańcie.

– Zakochana niemra!

– Przestańcie proszę!

– Zakochana, zakochana, zakochana!

Postanowiłam, że nie mogę zaniechać porannych wędrówek. Jednak nie chodziłam już w okolice plebanii, a robiłam wielkie kółko przez pola, moczary oraz las. Wracałam zmęczona i zła. Spacerzy straciły jakikolwiek urok. Stawiając każdy krok, przysłuchiwałam się, czy nie dobiegnie mnie gdzieś z tyłu dźwięk łamanej gałązki lub złośliwy chichot. Bałam się dziewcząt. Zawsze byłam tą inną, lecz teraz czułam to jeszcze wyraźniej. Sama przeciw wszystkim.

Wmawiałam sobie, że pomocnik proboszcza to anioł zesłany, by mnie strzec. Bujna wyobraźnia podsuwa rozmaite pomysły, a ten, choć wyjątkowo zuchwały, sprawiał, że czułam się lepiej.

Po kilkunastu dniach znów go zobaczyłam.

W trakcie mszy, gdy większość dziewcząt skupiała się na tym, by nie dać się przyłapać na plotkowaniu, stałam obok ławy. Nigdy nie zostałam dopuszczona do sekretów, więc było to moje stałe miejsce. Nagle poczułam delikatne szturchnięcie i zobaczyłam, że tuż obok idzie mój anioł. Nie zatrzymując się, spojrzał na mnie tęsknie. Dotknął mojej dłoni, a mnie przeszedł dreszcz.

Rozwarł usta, wypowiadając nieme polecenie.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że podał mi zmiętą karteczkę. Szybko ją pochwyciłam i natychmiast spuściłam wzrok. Reszta dziewcząt zobaczyła go dopiero po chwili. Ich chichot ściągnął na nie karcący wzrok wychowawczyni, ale mnie już nic nie obchodziło.

Przez kolejne godziny ścisnęłam zmięty liścik jak cudowny amulet. Bałam się go odczytać, jakby wraz z rozprostowaniem rogów kartki miał prysnąć jego czar. Zerkałam na niego i opierałam się pokusie. Wreszcie, gdy jako pierwsza wróciłam ze stołówki, padłam na łóżko. Zasłoniłam się

kocem, bo o tej tajemnicy nie mógł się dowiedzieć zupełnie nikt. Skrzętnie zatrzymywałam ją tylko dla siebie.

Drżącymi dłońmi rozwinęłam karteczkę. Przez cienką wełnę wpadało nieco światła. Odwróciłam się, by mieć okno za sobą, i zmrużyłam oczy.

Łapczywie przeczytałam kilka słów nakreślonych koślawym pismem.

*Dziś, północ, park dworski – złamany dąb. Błagam, przyjdź.*

Kolejne godziny minęły jak zaczarowane. Nie zwracałam uwagi na docinki dziewcząt, nie odzywałam się, lecz raz po raz gładziłam pomietą karteczkę. Nie musiałam na nią zerkać, słowa krótkiego listu same stawały mi przed oczami. Po raz pierwszy serce waliło mi jak oszalałe. Czulałam się najszczęśliwszą istotą na świecie. Nic nie mogło mnie powstrzymać.

Cisza nocna rozpoczynała się o dziewiątej. Do dziewiątej trzydzieści mogłyśmy mieć zapalone światła, a potem należało kłaść się do łóżek. Zazwyczaj jeszcze przez jakiś czas dziewczęta rozmawiały, wreszcie ich głosy cichły, a szczebiot zaczynał się rwać. Znałam to bardzo dobrze. Przysłuchiwałam się im od wielu miesięcy, zwykle gapiąc się w sufit lub z przymkniętymi oczami zatapiając się w marzeniach.

Tego wieczoru błagałam, by rozmowy umilkły jak najszybciej. Mimo to gdy stojący w dyrektorskim gabinecie zegar wybił dziesiątą, szepty trwały w najlepsze. Byłam wściekła. Na szczęście pół godziny później Kaśka ziewnęła i odwróciła się w stronę ściany. Po paru minutach Honora i Gośka pożyczły sobie dobrych snów. Wreszcie usłyszałam ich spowolnione, głębokie oddechy.

Odczekałam do wpół do dwunastej i najciszej, jak potrafiłam, wyslizgnęłam się z łóżka. Na palcach ruszyłam do swojej szafki. Drzwiczki przeraźliwie skrzypnęły. Serce podeszło mi do gardła.

Odczekałam kilka sekund, lecz nikt się nie obudził. Wyciągnęłam z szafki przygotowane już wcześniej płaszcz oraz pantofle. Nie miałam możliwości wziąć nic innego. Ubrałam się już na korytarzu i drżąc ze strachu, zesłam po schodach. Każde jęknięcie starych desek przyprawiało mnie o rozpacz. Byłam pewna, że lada moment ktoś mnie dostrzeże i zatrzyma w internacie. Nie mogłam dać się złapać. Po prostu nie mogłam.

Gdy dotarłam na parter, gdzieś z głębi budynku dobiegło mnie kilka głosów. Wydawało mi się, że rozpoznaję skrzekliwy ton polonistki – panny Tuckiej – oraz wesoły sopranowy śmiech nauczycielki muzyki.

Nagle drzwi się otworzyły i ktoś wyszedł na korytarz. Natychmiast przywarłam do ściany. Uklęłam, kryjąc się za niewielką szafką, w której przechowywano klucze do sal. Modliłam się, żeby nie zapaliło się światło w korytarzu. Kilka miesięcy wcześniej budynek zelektryfikowano, lecz z przyzwyczajenia większość nauczycieli o tym zapominała. Szczególnie gdy noce były jasne jak ta i z łatwością można było rozróżnić kontury przedmiotów.

Wstrzymałam oddech. Spuściłam głowę, wbijając sobie brodę w pierś, i zamknęłam oczy.

– Tym zajmę się jutro – odezwała się panna Tucka.

Odpowiedział jej zdławiony chichot, drzwi trzasnęły, a następnie polonistka ruszyła w przeciwną stronę korytarza. Usłyszałam jej oddalające się kroki. Po moim ciele rozlała się gorąca fala ulgi. Nogi trzęsły mi się z emocji. Wreszcie gdzieś daleko skrzypnęły kolejne drzwi, a ja po cichu się podniosłam. Odczekałam jeszcze dwie lub trzy minuty, po czym rzuciłam się w stronę okien. Na parterze znajdowało się ich kilkadziesiąt, a większość z nich miała szyby tak brudne, że w ciągu dnia ledwie widziało się podwórze.

Drżącą dłonią rozpięłam haczyk. Delikatnie pchnęłam skrzydło i twarz natychmiast musnęło mi ożywcze, nocne powietrze. Nie miałam czasu się zastanawiać. Rozgorączkowana nie zwróciłam uwagi na zimno ani wicher, przełożyłam nogi nad parapetem i po chwili znalazłam się po drugiej stronie. Porachowałam okna, licząc od drzwi, aby zapamiętać, przez które wyszłam. Następnie rzuciłam się pędem w kierunku parku.

Rosa oblepiała mi buty i kostki, wiatr podwiewał poły płaszcza, lecz nie przeszkadzało mi to. Pędziłam na przełaj przez nieskoszony trawnik. W końcu znalazłam się na skraju parku. Nigdy nie wchodziłam do niego w nocy. Dawne alejki były ledwie widoczne nawet za dnia, więc teraz poruszałam się niemal kompletnie po omacku. Przez korony pogiętych dębów wpadało niewiele księżycowego światła. Co rusz potykałam się o kłaczka i gęste chwasty. Wijące się na tle nieba gałęzie sprawiały upiorne wrażenie. Ze wszystkich stron dobiegały mnie dziwne odgłosy. Słyszałam szurania, piski i pohukiwania.

– To tylko wiatr. To tylko zwierzęta – powtarzałam sobie.

Zgubiłam się. Mimo że park nie był wielki, zdałam sobie sprawę, że zamiast kierować się do jego środka, chodzę w kółko. Dwukrotnie minęłam ścięty dąb oraz połamaną, skierowaną z pretensją ku niebu wskazówkę zegara słonecznego.

– Tsss.... – Usłyszałam nagle.

Podskoczyłam przestraszona i serce zadudniło mi w piersi. Stłumiłam krzyk. Odwróciłam się, próbując przeniknąć mrok. Po chwili rozpoznałam wynurzającą się spomiędzy drzew sylwetkę pomocnika proboszcza. Nikt nie poruszał się w podobny nieskoordynowany sposób. Jakby każda jego kończyna żyła własnym życiem.

Uśmiechnęłam się i jednocześnie poczułam niepokój. Po co właściwie tu przyszłam? Czego oczekiwałam?

– Nie bój się... – Usłyszałam spokojny głos młodego mężczyzny. Właśnie tak go sobie wyobrażałam. – Mam na imię Jakub, a ty?

– Gretch... Greta – przedstawiłam się.

Jakub zatrzymał się kilka kroków ode mnie i uważnie się mi przypatrywał. Stałam w niewielkiej plamie światła księżyca pomiędzy drzewami oraz tarczą zegara słonecznego. Poruszyłam się nerwowo. Miałam zbyt słaby wzrok, by wyraźnie rozpoznać rysy jego twarzy.

– Myślałem, że nie przyjdiesz... – wyszeptał.

– Ja też myślałam, że robisz sobie ze mnie żarty.

– Wyciągając cię w środku nocy na spacer? – Jakub podszedł do mnie, a ja poczułam przyjemny dreszcz. Był wyższy, niż sądziłam. Miał, jak zwykle, nastroszone, rozczochrane włosy. Wyciągnął ku mnie długą rękę, lecz mnie nie dotknął. Przebrał jedynie palcami w powietrzu tuż przed moją twarzą. – A jednak przyszłaś.

– Tak... – szepnęłam przez ściśnięte gardło.

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, wzajemnie się obserwując. Nagle Jakub drgnął i cicho się zaśmiał.

– Co cię bawi?

– Cała ta sytuacja. Stoimy tu drętwi jak kołki, jakbyśmy byli elementem jakiejś teatralnej dekoracji.

– Przynajmniej to ładny park – powiedziałam, żeby coś powiedzieć.



– To był ładny park. Teraz to zaniedbane śmietnisko, którym brzydzą się nawet duchy.

Pisnęłam. Mimowolnie, a może z premedytacją.

– Nie mów o duchach!

– Jesteś wierząca? Zapewniam cię, że lata temu były tu całe chmary duchów, ale podczas wojny wyniosły się stąd na dobre. Nie bój się.

Nieoczekiwanie objął mnie ramieniem i zamilkł. Ten poryw odwagi kosztował go wiele nerwów. Wtulona w niego, poczułam przyspieszone bicie jego serca oraz nierówny oddech. Przez kilka minut prowadził mnie niewidoczną gołym okiem ścieżką. Wiedział, gdzie leży każde zwalone drzewko, każdy kamień i gdzie znajdują się nierówności.

– Znasz to miejsce jak własną kieszeń – zauważyłam, gdy cisza zaczęła mi ciążyć.

– Tak.

Jakub nieco przyspieszył kroku, jakby to, co miał powiedzieć, musiało zostać powiedziane, lecz nie sprawiało mu przyjemności.

– Wychowałem się tu – odezwał się przyciszonym głosem. – Odkąd miałem cztery czy pięć lat, niemal codziennie spacerowałem po tym parku. Dawniej był znacznie większy, ale w czterdziestym pierwszym częściowo go wykarczowano. W zachodniej części znajdowała się kaplica, którą zburzono, a kamienia użyto do budowy grobli. Dziś w jej miejscu zostało kilka omszałych głazów, rozpadająca się podmurówka oraz cynowe trumny dawnych dziedziców.

Przebiegł mnie zimny dreszcz. Po raz pierwszy od wyjścia z internatu poczułam chłód.

– Trumny dziedziców?

– Aha. To właśnie z nimi wiązały się opowieści o duchach, ale nie będę cię nimi zadręczał. – Jakub urwał, czekając, że może zaprotestuję, lecz milczałam. – W każdym razie dawni właściciele dworu mieli na pieńku z Niemcami i kiedy ci zorientowali się, z kim mają do czynienia, z premedytacją wywlekli nawet trumny ich przodków. Żyjący poszli pod ścianę albo do obozów. Chodziło o jakieś głupoty sprzed lat, ktoś obraził kogoś, kto był teraz ważny, i tak się to potoczyło... Mówię chyba strasznie nieskładnie.

– Nie, nie. Nadażam.

– Nigdy nikomu o tym nie opowiadałem. Ksiądz proboszcz w ogóle nie chce o tym słuchać, a kiedy mu mówię, że powinniśmy ich ponownie pochować, bo to przecież nie godzi się, żeby katolicy leżeli na dworze, zbywa mnie milczeniem. Pyka tę swoją fajkę i tyle.

– Nie robi miłego wrażenia – mruknęłam.

– Ojciec Julian? To wyjątkowo poczciwy człowiek, ale sprowadzony tu z całkowicie innego świata i zupełnie nie potrafi się odnaleźć. To rodowity lwowianin. Bez setek parafian i zastępu pomocników nie wie, co robić. Każe mi nad ranem podbierać drewno, którego przecież tu nikt nie pilnuje. Wszyscy mają gdzieś, czy się wycina las, park albo zagajnik. A on zachowuje się, jakbyśmy dokonywali rozboju. Poza tym boi się komukolwiek podpaść, a skoro trumny już raz wyciągnięto, mogą rdzewieć tak, jak rdzewiałyby pod ziemią. W końcu nikt ich nie widzi.

Nagle Jakub przystanął i zaczął nasłuchiwać.

– Co się stało? – szepnęłam zdenerwowana.

– Ciii...

Po kilku sekundach wyprostował się i westchnął.

– Zegar wybił trzy kwadransy na pierwszą. Muszę już wracać... Ojciec Julian punkt pierwsza wstaje, żeby odmówić modlitwę.

– Ale...

– Niedługo znów się spotkamy. Obiecuję.

Wtedy stało się coś, czego się nie spodziewałam. W niemal całkowitej ciemności poczułam na wargach ciepło warg Jakuba. Był to krótki, skradziony nocy pocałunek, ale i tak ugięły się pode mną kolana. Nim zdążyłam się opanować, chłopiec, który okazał się znacznie bardziej namacalny niż anioły, oddalił się.

– Żeby wrócić, idź cały czas przed siebie, a za kilkadziesiąt metrów wyjdiesz z parku – obwieścił tonem, który doskonale współgrał z innymi odgłosami tej chwili. – Droga jest prosta, nie ma żadnych przeszkód. To dawna aleja.

„Aleja, którą poruszały się duchy” – pomyślałam.

Chwilę później rzuciłam się biegiem we wskazanym kierunku. Wszystko, włącznie z pocałunkiem i naszą rozmową, wydawało mi się teraz całkowicie nierealne. Rano nie byłam pewna, czy po prostu nie śniłam. Przeczyło temu błoto oklejające upchnięte do szafki pantofle.

Zdaję sobie sprawę, że od dłuższego czasu trzymam na kolanach przybrudzony brulion. Gładzę okładkę, wahając się, czy przerzucać kolejne strony. Wspomnienia to moja ucieczka. Uciekam w czasy własnego dzieciństwa, choć przypomina to samobiczowanie. Nigdy nie znalazłam w nich nic pocieszającego, mimo że obraz Jakuba nie zatarł się w mojej pamięci.

– Czytaj, czytaj – kusi mnie jego dźwięczny głos. – Nie bój się.

Skostniałą dłonią otwieram pamiętnik.

## ANNA

Mama każe mi pisać, żebym się czymś zajęła. Ma nadzieję, że w ten sposób uda mi się oderwać myśli od tego, co dzieje się wokół. Od tłumu ludzi, smrodu potu i wydzielin. Od przyciszonych, pełnych rozpaczyszeptów i płaczu. Od modlitw.

„Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie” – tylko to przychodzi mi do głowy... A może: „wieczne odpoczywanie racz mi dać, Panie”. To byłoby prostsze. Choć teraz wstydzę się, że to napisałam i że taka myśl w ogóle się pojawiła.

Nie pamiętam już słów pacierza. Kiedyś każdego wieczoru zmawialiśmy go razem. Klęczeliśmy przed srebrnym ryngrafem zawieszonym nad kilimem w sypialni na piętrze i modliliśmy się na głos. Wtedy chyba naprawdę wierzyłam w Boga. Nie dlatego, że czułam jego obecność, ale dlatego, że Ty, Tato, modliłeś się obok mnie. Przecież nie mogłeś udawać. Jeśli wierzyłeś, że gdzieś tam jest Pan Bóg, ja też w niego wierzyłam.

„Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie...”

Ktoś obok mnie zmarł. Mężczyźni krzyczą, aby usunięto ciało, lecz nikt nie przychodzi. Drzwi wagonu są wciąż zamknięte. Stoimy na boczniczy już chyba od kilku godzin. A może to kilka minut ciągnie się tak długo?

– Pisz. – Mama nerwowo gładzi mnie po głowie. – Skup się na pisaniu i staraj się nie słuchać. Pisz, proszę.

Wiesz, skąd mam zeszyt i ołówek? Pomyślałam, że to najważniejsze, co mogę ze sobą zabrać. Wzięłam Twoją fotografię, kilka ubrań, a prócz nich właśnie zeszyt i ołówek. To wszystko. Mama miała przygotowany tobołek oraz wielką skórzaną walizkę. Tę, z którą kiedyś pojechaliśmy do Zakopanego. Boże, jak ja bym chciała tam wrócić! Ty, mama, Lusia i ja. Ewentualnie jeszcze wujek Klemens z cioteczką, jeżeli przestaliby się

ciągle kłócić. Teraz spędziłabym nieco czasu z kuzynem Andrzejem. Widziałam się z nim na początku roku i tak dobrze się nam rozmawiało!

Piszę, żeby zagłuszyć gwar wokół. Martwy mężczyzna został nakryty ubraniami innych osób i przesunięty pod samą ścianę. Przez chwilę ludzie cisnęli się, byle być z dala od niego (więc musiałam odłożyć ołówkę), ale zaraz stało się im to obojętne. Zdaje się, że na nieboszczyku stoi już kilkoro dzieci. Ścisk jest tak wielki, że liczy się każdy centymetr. Gdybym nie znajdowała się w samiuśkim kącie, nie miałabym jak rozłożyć brulionu. I tak jest mi potwornie duszno i słabo. Jednak myślę o Tobie, Tato, i to dodaje mi siły. Wiem, jak wiele przeszedłeś i nigdy nie narzekałeś. Chciałabym, żebyś był ze mnie dumny.

Poza tym nie skarzę się. Ja Ci po prostu opowiadam.

Z domu prowadzono nas pieszo w stronę Strumiłowa i Zakrętu. Tyle razy chodziliśmy tam na spacer, ale tym razem okolica wydała mi się zupełnie obca. Nie poznałam nawet kapliczki, przy której się kiedyś schowaliśmy, gdy rozpętała się burza. Dopiero po kilku minutach szukania w pamięci przypomniało mi się tamto przedpołudnie. Byłeś zły, że na przejażdżkę nie wybraliśmy się konno, bo namówiłam Cię na spacer. Dałeś mi swój płaszcz, a i tak deszcz przemoczył mnie do suchej nitki.

Wybacz mi chaos, ale co chwilę coś odrywa mnie od pisania. Tyle że mama każe mi pisać...

Szliśmy tak długo, że niektóre dzieci nie mogły zrobić już nawet kroku. Przewracały się lub po prostu siadały na drodze. Wtedy Niemcy poganiali pozostałych. Wiem, że kilkoro malców zostało na poboczu bez rodzin, które w ogólnym rozgardiaszu zmuszono karabinami do dalszego marszu. To było coś okropnego. Widok, który rozrywał serce i którego nigdy nie zapomnę. Na samo wspomnienie chce mi się płakać. Przepraszam...

Ci, którzy mogli, brali dzieci na ręce lub na barana. Silniejsi mężczyźni nieśli po dwoje lub troje kilkulatków. Nikt nie wiedział, jak długo będziemy szli. Na początku niektórzy rozmawiali, lecz z czasem poruszaliśmy się w całkowitej ciszy. Przerywało ją szuranie lasek, jęki starców i płacz dzieci.

Sama również pomagałam paru niemowlętom. Niosłam je na tyle długo, by ich matki nabrały mocy, aby iść z nimi choć przez kwadrans.

Potem brałam je znowu i znowu. Sama nie miałam dość siły, żeby pomóc tak bardzo, jak bym chciała. Obwiniam się o to. Trochę mi wstyd.

But obtarł mnie tak, że spuchła mi cała kostka i ciekła krew. Do tej pory przez to kuleję. Nie pokazuję jednak po sobie bólu, żeby nie martwić mamy. Wszystko będzie dobrze.

Wszystko będzie dobrze.

Jak te słowa dziwnie brzmią. Złości mnie ich sam widok na kartce papieru. Złości mnie, że mogłabym o tym pomyśleć. Ale w końcu przecież nie jest też tak bardzo, bardzo źle...

Szliśmy całą noc, a temperatura spadła prawie do zera. Pola okrył srebrzysty szron. Byliśmy skostniali z zimna. Poruszaliśmy się jak duchy albo jak... Jak ci napoleońscy żołnierze z obrazu w Twoim gabinecie. Szliśmy tak długo, aż zaczęło świtać. Zawsze uwielbiałam tę porę, ale teraz budziła we mnie odrazę. Tak wiele razy równocześnie z brzaskiem wyjeżdżaliśmy do kuzynostwa lub na przejażdżkę. Ta jedna noc niszczyła wszystkie te piękne wspomnienia.

Słońce podświetliło chmury od dołu. Niebo nabrało czerwono-fioletowej barwy i zobaczyliśmy stację, która znajdowała się pośrodku niczego. Nie mam pojęcia, gdzie byliśmy. Na peronie kłębiło się już mnóstwo ludzi. Wśród zrezygnowanych więźniów przechadzali się uzbrojeni strażnicy. Po okolicy poruszały się patrole z psami, które z daleka ujadały na nasz widok. Byłam zbyt zmęczona, by się bać. Ucichły już nawet płaczące przed paroma godzinami dzieci. Niosący je szli sztywnym krokiem, jakby ich wszystkie myśli skupiły się na pokonaniu tych kilkuset metrów. W końcu dziesiątki półżywych ludzi zważyło się na ziemię.

Mama zbliżyła się do mnie. Szła przygarbiona, również trzymając na rękach dziewczynkę niewiele młodszą ode mnie. Nasze spojrzenia spotkały się tylko na chwilę.

– Kocham cię – wyznała. Nie powiedziała mi tego od wielu miesięcy. Gdy byłam mała, oboje powtarzaliście to do znudzenia, lecz od wielu miesięcy już tego nie słyszałam. Wiedziałam, że mnie kocha, ale chyba uznała, że bez Ciebie w pobliżu jej miłość jest zbyt wybrakowana. Nie wiem, czy to dość zrozumiałe sformułowanie. Zdaje się, że sama go nie rozumiem.

– Ja ciebie też, mamo – odpowiedziałam i natychmiast poczułam, że do oczu napływają mi łzy. Zmęczenie oraz świadomość tego, co się zaraz

stanie, niemal mnie sparaliżowały. Musiałam się skupić na tym, by nie wypuścić niemowlęcia, które miałam na rękach.

– To koniec – stwierdził ledwie wlekący się obok mnie mężczyzna. Miał około siedemdziesięciu lat i poruszał się o lasce. Chwilę później upadł, a Niemcy zabronili mu pomagać.

– Nie, to nie może być koniec – załkała jakaś kobieta. – Nie teraz...

W kolumnie rozległy się szmery. Strażnicy pokrzykiwali, by nas uciszyć, lecz ich wściekłość zagłuszył wrzask wtaczającej się na stację lokomotywy. Zaraz za nią zobaczyliśmy kilkadziesiąt drewnianych wagonów, w jakich przewozi się bydło.

Wokół ponownie rozległ się płacz.

– Pisz, pisz, pisz... – powtarza mama.

Co chwilę opieram głowę o ścianę wagonu. Choć stoję, zdaje mi się, że w każdej chwili mogłabym zasnąć. Wokół jest tylu ludzi, że nie groziłoby mi to upadkiem.

Smród był nie do zniesienia tylko przez krótki czas. Potem przestałam go czuć. Bardziej przeszkadza mi duszność. Przepuściłam mamę bliżej szczeliny, przez którą wpada nieco świeżego powietrza. Gdyby nie te dziury, pewnie już dawno byśmy się podusili.

Już nikt nie zwraca uwagi na zmarłego mężczyznę. Nawet nie wiem, gdzie jest ciało. Tłum gęsto wypełnia całą powierzchnię wagonu. Kilka zemdlonych kobiet cucono, część z nich odzyskała przytomność. Nie wiem, czy na pewno tego chciały.

W wagonie znajduje się kilka wiader na potrzeby fizjologiczne. Najpierw, gdy korzystała z nich kobieta lub dziewczyna, stojący obok się odwracali. Teraz nikt już nie zwraca na to uwagi. Fekalia wylewają się z wiader i poniewierają po podłodze, ale naprawdę nie czuję już smrodu. Nikt go nie czuje.

Nie wiem, gdzie jest Lusia. W trakcie załadunku skierowano ją do innego wagonu i mimo błagań mamy nie pozwolono jej zawrócić do naszej kolumny. Mam nadzieję, że trafiło się jej więcej miejsca niż nam. Że udało się jej uciec lub ktoś zdał sobie sprawę, że to kompletne nieporozumienie. Przecież ona niczym nikomu nie zawiniła.

Niczym nie zawinił nikt z nas.

– Co piszesz? – zapytał mnie przed chwilą kilkuletni chłopiec z wielkimi czarnymi oczami.

Drgnąłam, bo od dłuższego czasu nie zamieniłam słowa z nikim poza mamą. W wagonie panowała niemal kompletna cisza. Niekiedy przerywał ją płacz lub modlitwa, innym razem – przekleństwa przeciwko światu i Bogu. Nie tylko ja się z Nim poprzytykałam, choć swoje pretensje przedstawiłam Mu jedynie w myślach.

Chłopiec pociągnął mnie za rękę, oczekując odpowiedzi na pytanie. Musiałam się chwilę zastanowić, nim sobie je przypomniałam.

– List do taty – odparłam.

– Będiesz chciała go wysłać?

– Mhm.

– Jak?

– Może po prostu wysunę go przez szparę i wypuszczę? Wiatr zawsze doręcza przesyłki od dobrych ludzi.

Chłopiec wydał policzki. Zmrużył skrzące się oczy, a chwilę później z niedowierzaniem pokręcił głową. Miał zmierzwione czarne włosy i zaróżowione policzki. Wyglądał na chorego.

– Jeżeli tak zrobisz, twój tata na pewno go nie znajdzie.

– Tego nie możesz wiedzieć.

– A ty wiesz?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam i uśmiechnęliśmy się do siebie. – Ale lepsze to, niż trzymać ten list w kieszeni.

Nasze uśmiechy wśród przerażonych szarych twarzy wydawały się grymasem szaleństwa. Natychmiast zrobiło mi się głupio, że śmiałam przerwać śmiertelną powagę chwili. Chłopiec również spoważniał i ponownie chwycił mnie za rękę. Popatrzył na mnie błagalnie.

– Też chciałbym napisać list. Pozwolisz mi?

Wyrwałam z zeszytu kartkę i podałam mu ołówek.

– Proszę. Tylko zastanów się, w jaki sposób go wyślesz. Myślę, że mogą być problemy z dostarczeniem do adresata.

– Nie będzie – bąknął chłopiec.

W tym momencie mój wzrok napotkał smutne spojrzenie mamy. Uśmiechnęła się do mnie blado i zrozumiałam, że cieszy się, że rozmawiam z tym chłopcem. Była ze mnie dumna, jakby ta chwila rozmowy stanowiła w ogóle jakąkolwiek moją zasługę.



– Już. – Malec podał mi kartkę i oddał ołówek. – Wyślesz go?  
– Jasne. Poleconym? – zapytałam nieco zbyt głośno i kilka stojących w pobliżu osób łypnęło na mnie z niechęcią. Jakby je drażniło to, że staram się nie załamać. Że mogę silić się na normalny ton.

Przysunęłam się do ściany i wsunęłam papier w szczelinę. Mimo że nie chciałam podglądać, mój wzrok mimowolnie padł na nagryzmołone koślawym pismem słowa.

*KOCHAM CIĘ MAMO*

*ZAWSZE*

*ARON*

Wypchnęłam list na zewnątrz, a emocje nagle ścisnęły mi gardło. Pogłaskałam chłopca po głowie i z trudem powstrzymałam płacz.

– Dziękuję – odezwał się i zaczął z powrotem przepychać się do kąta, z którego przyszedł. Był tak drobny i mały, że niektórym przechodził pomiędzy nogami. A może tylko mi się to wydawało? W końcu zniknął mi z oczu.

Wiedziałam, że nie zobaczę go już nigdy więcej.

Za wszelką cenę starałam się nie rozplakać, żeby mama niczego nie poznała. Chciałam być silna dla niej. Ale to było zbyt trudne... Zresztą w jej oczach również widziałam łzy. Łzy to żaden wstyd.

Nogi i kręgosłup bolały mnie tak mocno, że z trudem stałam. Ludzie opierali się o siebie. Po kolejnych godzinach podróży byłam cała zdętwiała. W końcu ból gdzieś odpłynął, a w jego miejscu pojawiła się obojętność na wszystko. Byłam gotowa zemdleć i już nigdy się nie obudzić.

W wagonie zrobiło się piekielnie gorąco. Chusteczką ocierałam pot ciekącą po twarzy mamy. Robiłam to mechanicznie, jakbym ścierała kurz z lalki. W końcu chusteczka stała się cała mokra. Mama miała półprzymknięte oczy i zaczerwienioną skórę. Oddychała powoli, jakby nabieranie powietrza sprawiało jej ogromną trudność.

– Odwróć się do ściany – powiedziałam. – Tam jest trochę cugu.

– To bez znaczenia.

– Nie mów tak.

Mama powiodła wokół pustym spojrzeniem i złapała mnie za dłoń. Przymknęła oczy. Zachwiała się, lecz nie upadła.

– Jeżeli... – odezwała się tak cicho, że musiałam przysunąć ucho niemal do jej ust. Głowa opadała jej na pierś. Nigdy nie wydawała mi się stara, ale teraz miałam wrażenie, że w nocy przybyło jej dziesięć albo dwadzieścia lat.

– Mamo...

Zamrugła. Ze wszystkich sił starała się skoncentrować na tym, co mówi. Otworzyła usta, lecz przerwał jej ostry gwizd lokomotywy.

– Jeżeli nas rozłączą... – powtórzyła, gdy ustał. Nabrała powietrza i oblizwała suche wargi.

Nie powiedziała nic więcej. Jeszcze mocniej zacisnęła palce na mojej dłoni i żałośnie pokręciła głową. Nie chciała sobie wyobrazić, co będzie, gdy nas rozłączą. Ja też nie chciałam o tym myśleć. Choć nie miałyśmy pojęcia, dokąd jedziemy, czekało nas tylko jedno.

– Kocham cię – odezwałam się, ledwie obracając językiem.

Mama nie odpowiedziała. Zamknęła oczy i bezwładnie na mnie opadła. Chwyciłam ją, ale nie miałam siły trzymać jej ani chwili dłużej. We dwie poddałyśmy się bezwładnemu ściskowi.

W tym samym momencie rozległ się kolejny gwizd lokomotywy i pociąg zaczął zwalniać. Stukot kół stawał się coraz bardziej miarowy, aż w końcu przemienił się w pisk hamulców.

Dotarliśmy do celu.

Tym razem się rozplakałam, tak jak wielu innych.

Nie miałam siły na nic więcej.

## KRZYSZTOF

– Hej! – Macham do niej z daleka.

Podbiegam i szeroko się uśmiecham.

– Odwiedzałem ojca – odzywam się tonem usprawiedliwienia.

Tym razem Alicja Nowińska przede mną nie ucieka. Odwraca się i wymownie kręci głową. Odruchowo zaczesuje włosy za uszy. Zdaje mi się, że przygryza usta, tłumiąc śmiech.

– Wypijemy kawę? – pytam, przechodząc pomiędzy autami.

Znowu znajdujemy się na parkingu przed ośrodkiem. Jest słoneczne popołudnie, choć od zachodu nadciągają chmury. Porywy wiatry unoszą tumany pyłu. Rusztowania na bocznym skrzydle budynku jęczą, popędzając przechodzących.

– Znów znalazłeś jakieś dokumenty? – Terapeutka patrzy na mnie rozbawiona. To dobry znak.

– Nie. Tym razem postanowiłem po prostu zaprosić cię na kawę. Podejrzewam, że po słuchaniu przez kilka godzin o milionach problemów trochę kofeiny może się przydać.

– Przydałyby się raczej amfetamina i kroplówka z red bullem. Ewentualnie prozak. I wcale nie chodzi o miliony problemów.

– Tak, wiem, że nie możesz o tym mówić.

Uśmiechamy się do siebie.

– To jak? Dasz się zaprosić?

– W sumie... – Alicja wrzuca pilot z logo mazdy do torebki. – I tak miałam cię zapytać o kilka rzeczy.

– Gdy pochylimy się nad filiżanką kawy, zamienię się w słuch – zapewniam. – Będę cały twój.

Pięć minut później siedzimy w niewielkiej cukierni na tyłach ośrodka. Poza słodyczami sprzedają tu najrozmaitsze kawy oraz herbaty. Do tego

na kilku półkach wyeksponowane są leki medycyny ludowej, domowe napary i mikstury, których przeznaczenia nawet nie chcę się domyślać.

Alicja zamówiła kawę z syropem waniliowym, ja poprosiłem o podwójne espresso. Nie wiem, dlaczego w Polsce dostanie ristretto graniczy z cudem.

– Jednak nie jesteś tak zmęczona, jak sądziłem – odzywam się, rozrywając opakowanie cukru. – To dobrze.

– A ty tak wypoczęty, na jakiego wyglądasz.

– Staram się wysypiać, ale czasem...

Alicja stuka łyżeczką o brzeg filiżanki. Nie zamierza czekać na to, jak rozwinię się mój banalny wywód.

– O czym chciałeś porozmawiać? – pyta i nagle unosi palec. – Jeżeli zaczniesz mi prawić komplementy albo mówić o pogodzie, ta kawa skończy na twojej pięknej koszuli. A ostrzegam, że syrop waniliowy zostawia ślady.

– Piękna koszula – podchwytyję. – W takim razie ty możesz mi prawić komplementy, a ja...

Zerka na mnie krzywo, więc spolegliwie unoszę dłonie.

– Dobrze, dobrze, pani doktor. Wiem, że mój ojciec przekazał pani Rott ten pamiętnik. Wiem też, że obowiązuje panią tajemnica, ale... – Milknę i przygryzam wargę. – Zastanawiam się, czy to może jej w czymś pomóc?

– Masz na myśli walkę z alzheimerem?

– Tak.

– Jestem psychologiem, a nie neurologiem czy psychiatrą.

– Ale gdybyś miała oceniać całkowicie prywatnie... Między nami. – Uśmiecham się szczerze. – Na pewno stykasz się z wieloma chorymi i masz o tym pojęcie o niebo większe niż ja. Dla mnie „alzheimer” to słowo tak samo tajemnicze jak „irrelevantny” albo „koherencja krystalograficzna”, cokolwiek to znaczy.

Terapeutka patrzy na mnie z zaciekawieniem. Upija łyk kawy i oblizuje piankę z ust. Przybrała wystudiowaną przez lata praktyki pozę osoby, która uważnie słucha, lecz sama rzadko się wypowiada.

– Prywatnie uważam, że warto spróbować – stwierdza. – Wielu badaczy wiąże sprawność pamięci bliższej z tak zwaną zdolnością pamięci dalszej. Jeśli tłumimy wspomnienia z dzieciństwa lub filtrujemy

je w związku z jakąś traumą, możemy mieć przez całe życie problemy z koncentracją albo umiejętnością zapamiętywania.

– A w następstwie tego objawy podobne do alzheimera?

– Sądzę, że to możliwe.

– Tyle że nie możemy tego sprawdzić. O ile się orientuję, alzheimera diagnozuje się przy pomocy rozmaitych testów, między innymi testu zegara. Poza tym wykonuje się szereg badań wykluczających inne choroby, które jednocześnie nie potwierdzają w stu procentach, z czym mamy do czynienia?

Alicja kiwa głową.

– To pytania do neurologów...

Tym razem nie daję sobie przerwać.

– Ale leczy się go objawowo. Dlatego możemy obserwować wpływ lektury na zdolności percepcyjne i funkcjonowanie pani Rott. A nikt nie jest w stanie zrobić tego tak dobrze jak ty. Zdaje się, że tylko z tobą szczerze rozmawia, prawda?

– A z twoim ojcem? – odpowiada mi pytaniem.

– Obawiam się, że wciska mu tyle samo bujdy, ile prawd. A on łyka wszystko jak kilkulatek słuchający bajki o Babie Jadze. Jej świat ogranicza się do samoudręczania i pokutowania za to, co stało się siedemdziesiąt lat temu.

– Okej. – Alicja dopija kawę i z brzęknięciem odstawia filiżankę na spodeczek. – Teraz ty mi odpowiedz na kilka pytań.

– *Quid pro quo*<sup>1</sup>?

Kiwa głową.

– Jeżeli mamy grać w otwarte karty, muszę wiedzieć, na czym stoję. – Dotyka palcami skroni i delikatnie je rozmasowuje. – Choć podoba mi się twoja fascynacja nią, kompletnie cię nie rozumiem. Jesteś synem człowieka, który czasem prowadzi, za przeproszeniem, zdemenciałe rozmowy z moją pacjentką. Łączy cię z nią coś więcej? Dlaczego tak zależy ci na pobudzeniu jej pamięci?

– Chyba nie ma w tym nic złego?

– To nie jest odpowiedź.

Również dopijam kawę i odsuwam filiżankę na bok. Na stoliku pomiędzy nami jest jedynie serwetnik. Jego również przesuwam.

Splatam dłonie i opieram się na pomalowanym na biało blacie. Wciągam aromat świeżo zmielonej kawy i słodkich syropów.

Byłem gotów na to pytanie. Mimo to odpowiadam dopiero po chwili.

– Uznajmy, że po prostu jestem dobry i nie chcę, aby starsza kobieta odeszła z tego świata z przeświadczeniem, że jest odpowiedzialna za całe zło, które spotkało...

Alicja wchodzi mi w słowo.

– Po pierwsze, nie wiem, czy ta lektura poprawi jej humor. Po drugie, wymyśl coś, co mnie bardziej przekona.

– Prawda czasem brzmi mało wiarygodnie...

– Tym razem aż za bardzo.

Bezradnie rozkładam ręce i wzruszam ramionami.

– Co mam ci powiedzieć? Wiem, że pani Rott obwinia się o wszystko od wielu, wielu lat i to cholernie smutna historia. Gdy o niej usłyszałem, sumienie mnie ruszyło. Jest jedną z tych osób, które uważają, że noszą w sobie gen zła, a ja naczytałem się o nim wystarczająco dużo, żeby się zainteresować. – Wzdycham. To dobry czas, żeby nieco zmienić temat. – Swoją drogą, myślisz, że coś takiego w ogóle istnieje?

– Masz na myśli gen zła?

– Aha.

Alicja po raz pierwszy wydaje się autentycznie zafascynowana naszą rozmową. Jej oczy błyszczą i co chwilę zerka na mnie z zaciekawieniem.

– Może. Znalazłabym kilka argumentów za, ale... – Przeczesuje palcami włosy. – Cesare Lombroso, włoski psychiatra sprzed ponad stu lat, klasyfikował przestępców ze względu na cechy wskazujące na skłonność do łamania prawa. Chodziło między innymi o ponadprzeciętne owłosienie, duże usta, leworęczność... Dziś go wyśmiewamy, lecz wtedy był traktowany całkowicie poważnie. Może za sto lat ludzie będą wyśmiewać tę całą naszą genetykę... Zresztą nikt nie stwierdził istnienia genu odpowiedzialnego za skłonność do popełniania przestępstw. Wierzę, że to sprawa warunków środowiskowych, wychowania...

– A ja wierzę, że gen zła istnieje – zapewniam. – To naukowa forma predestynacji, bo każdy z nas może w sobie nosić tchnienie Boga lub piętno szatana. Przynajmniej w jakimś metaforycznym sensie.

Alicja kręci głową.

– Jesteś pokrecony – mówi z uśmiechem. – Naprawdę pokrecony.

– Potraktuję to jako komplement i propozycję, bym zjawił się na twojej kozetce.

– Raczej nie. Na kozetce mógłbyś być znacznie bardziej niedostępny. Przy kawie nie kontrolujesz się tak, jak diagnozowany pacjent.

Uśmiecha się i zerka na mnie wymownie. Po plecach spływa mi dreszcz obawy, że mnie przejrzała. Jest inteligentna i zapewne starannie lustruje moją mowę ciała. Staram się rozluźnić, lecz wiem, że teraz to mi się nie uda.

– Przepraszam. I dziękuję za tę wspaniałą chwilę przy kawie.

Wstaję od stolika i kładę na nim swoją wizytówkę. Alicja na nią zerka.

– Już idziesz? – pyta niby kompletnie od niechcienia.

– Nie będę zabierać ci czasu. Poza tym sam mam dziś urwanie głowy. Ale liczę, że wkrótce znów się spotkamy. Do następnego...

– Hej! – krzyczy za mną. Odwracam się i zmuszam, by spojrzeć jej w oczy. – Czymś cię uraziłam? Tylko żartowałam z tą kontrolą.

– Nie, co ty...

– Wyglądasz, jakbyś się czegoś wystraszył.

Czuję, że się rumienię.

– Powiedz mi jeszcze jedno.

– Tak?

– Skąd masz ten dziennik?

Uśmiecham się nieco rozluźniony. Rozmawiamy niemal przez całą długość kawiarni i zwracamy uwagę klientów, w większości starszków przygarbionych nad ciastkami maczanymi w ziołowych naparach. Kelnerka spogląda na nas z przyganą.

– Kiedyś może ci wszystko wyjaśnię – odpowiadam, kładąc dłoń na kłamce. – To skomplikowane. Na razie najważniejsze jest to, aby udało się nam jej pomóc. Bez względu na to, czy ten cholerny gen zła istnieje.

## ANNA

Byliśmy niemal nieprzytomni i tak zdrętwiali, że niektórzy z nas, wychodząc z wagonów, szli na czworaka. Dwie osoby podczas drogi umarły. Ponoć zwłoki były zdeptane, lecz mama zasłoniła mi oczy, więc tego nie widziałam.

Jeden ze zmarłych to mężczyzna z naszego wagonu, drugi to kilkuletnia dziewczynka. Zadusiła się, bo nikt nie pomyślał, że leżąc zwinięta na podłodze, nie miała tlenu. Jej rodzice byli zajęci modlitwą i doglądaniem dwójki niemowląt.

Jest czarna, pochmurna noc. W świetle kilkunastu lamp przesuwiają się kłęby pary z przestawianych lokomotyw. Wieje zimny wiatr, a większość ludzi nie ma ciepłych ubrań. Nie było czasu, by o wszystkim pomyśleć. Liczyły się przecież złote bibeloty, pieniądze i jedzenie. Gdy je nam odbiorą, wszyscy zostaniemy z niczym. Myślę, że właśnie w ten sposób najwymowniej pokazujemy, czym jest człowiek. Stworzeniem omamionym pragnieniem posiadania tego, co nie pozwala mu przeżyć ani nie czyni jego życia choćby odrobinę lepszym.

To strasznie ponure.

W ogóle chciałabym napisać coś optymistycznego, lecz nie potrafię. Zapomniałam wszystkie dowcipy, którymi mogłabym rozbawić mamę lub samą siebie. Nawet nie chcę o nich myśleć.

Myślę o Tobie, Tato.

Przysnęłam z wyobrażeniem Twojej twarzy przed oczami. Spałam przez kilkadziesiąt minut, może nawet dłużej. Zdaje się, że nie miałam żadnych snów.

Potwornie boli mnie głowa i chyba mam gorączkę. Drzę, dlatego te litery są tak koślawe. Wciąż jest noc, lecz od wschodu niebo zdaje się przejaśniać. Mimo że w wagonach byliśmy piekielnie ściśnięci, w ten



nocny ziąb ludzie znów garną się do siebie. Przytulają się i obejmują. Niektórzy nadal śpią.

Ja nie potrafię.

Mama zasnęła, siedząc w kucki tuż obok mnie. Patrząc, jak równomiernie oddycha, i sprawia mi to ulgę. Równomierność i spokój w tym szalonym świecie to coś wyjątkowego. Nigdy nie sądziłam, że zwrócę na to uwagę. Pragnę się do niej przytulić, lecz nie chcę jej obudzić.

Gdzieś z oddali dobiegają pokrzykiwania Niemców. Ich szorstkie głosy przeszywają ciszę nocy jak uderzane o siebie krzemienie. Chyba zaraz coś się będzie działo, ale nawet nie chcę myśleć co. W ogóle mnie to nie interesuje.

Wciąż nie wiemy, gdzie jest Lusia. Nie miałam siły jej szukać, lecz nie widziałam jej wśród przewalającego się po boczniczy tłum. Mam nadzieję, że śpi gdzieś niedaleko, równie spokojnie jak mama. Co chwilę o niej myślę. Była z nami, odkąd pamiętam, i kocham ją jak siostrę. Wiele razy chciałam jej o tym powiedzieć, ale się wstydziłam. Nikt nie robi tak dobrej jajecznicy jak ona. Poza tym gdybyście znali choćby część naszych sekretów... Pewnie gdybym je teraz powiedziała, byłaby kupa śmiechu i uznalibyście z mamą, że to zwykłe głupstwa.

Na przykład to, jak Lusia wynosiła na podwórze wiklinowe kosze z wypraną pościelą oraz bielizną. Wiesz, Tato, stawiała je pod oknem mojej sypialni. Za pierwszym razem bałam się skoczyć, a wysokość wydawała mi się zabójcza. Wtedy Lusia wbiegła na górę i żeby dodać mi otuchy, skoczyła sama. Nie masz pojęcia, jak się przy tym zaśmiewała. Nawet teraz potrafię sobie wyobrazić ten jej niepohamowany, beztroski śmiech. Zarażała nim wszystkich. Nawet ty, choć wiele razy, gdy śmiała się na cały głos, zerkałeś na nią z przyganą, po chwili również się uśmiechałeś. Widziałam to! Nawet nie próbuj się wypierać, bo mama potwierdzi moje słowa.

Czy w głowie słyszysz teraz swoje słowa, czy Twoje odpowiedzi?

Drży mi ręka i co rusz muszę rozcierać zeszywniałe z zimna palce. Wkrótce jednak robi się cieplej. Przed kilkunastoma godzinami siedziałam przecież w ogrodzie, ubrana jedynie w podomkę. Czytałam *Ojca Goriot*. Żałuję, że nie zabrałam książki ze sobą. Zamiast pisać, mogłabym przenieść się w tamten świat brudnego, ale fascynującego

Paryża. W świat pragnień i żądz, które nie zmieniły się, odkąd istnieje ludzkość. W świat owiniętego w piękny papier zła. Poza tym...

Ktoś przed chwilą powiedział, że jesteśmy w Lublinie. Nigdy wcześniej nie byłam w tym mieście. To ponoć nie najlepsza informacja, lecz nikt nie chce powiedzieć dlaczego. Robi się jasno. Ci, którzy nie śpią, szepczą, by nie pobudzić pozostałych. Właśnie dlatego zrobił się ogólny rozgardiasz. Mama się obudziła, ale nie chcę jej mówić, gdzie jesteśmy. Nie chcę, by zaczęła dzień od złej wiadomości.

– A Lusია?

Mama rozejrzała się wokół, jakby nie wiedziała, gdzie się znajduje. Wciąż tkwiła w sennym oszołomieniu. Położyłam głowę na jej kolanach i obróciłam się na bok.

– *Achtung, achtung!* – krzyczy Niemiec, który sztywnym krokiem przechodzi obok nas. Z całej siły gwizdże i zaraz dołączają do niego kolejni w innych częściach bocznic. – *Raus!* Wstawać, wstawać! – woła. – *Schneller!*

Zewsząd odzywają się upiorne gwizdy.

## GRETA

Odkładam dziennik i ciężko oddycham. Nie wiem, czy powinnam go czytać. Jest mi niedobrze, jakbym zjadła coś diabelnie tłustego. Budzi się we mnie poczucie winy. Wyrzuty sumienia niczym tłuszcz spływają po przełyku.

Gładzę dłonią okładkę i czuję, jakby moje palce splatały się z palcami Anny. Chciałabym poprowadzić ją przez życie aż tutaj, by przeżyła tyle lat co ja.

A może jest gdzieś tam, kilkaset kilometrów stąd, i wciąż wspomina tamte dni?

Otwieram dziennik i gładzę jego strony. Muszę czytać dalej. Robię to dla niej i w ramach własnej pokuty. Z oczu płyną mi łzy. Uważam, by nie skapnęły na pożółkłe kartki. Łzy są gorsze niż plamy czarnego atramentu.

## ANNA

Szliśmy w niemal kompletnej ciszy. Nawet małe dzieci przestały płakać.

I tak przez dwie, może dwie i pół godziny. Bez żadnej przerwy. Ci, którzy nie dawali rady, zostali oddzieleni od naszej kolumny i zniknęli w półmroku brzasku. Słyszałam kilka strzałów. Nie chcę o nich myśleć ani pisać.

Mama szła z trudem, lecz starała się nie dać tego po sobie poznać. Oddychała chrapliwie i co kilka minut przystawała, choćby na parę sekund, aby nabrać powietrza. Mimo że stopy mi spuchły, a z otarć znów zaczęła ciec krew, przez długi czas niosłam jakieś dziecko, kilkumiesięczną dziewczynkę o kręconych blond włoskach. Nie wiem, co stało się z jej matką. Ludzie podawali sobie tę małą, jakby była dzieckiem nas wszystkich, i mówili do niej słowa weselsze od jakichkolwiek myśli. Ten marsz nas jednoczył i jednocześnie na zawsze od siebie oddzielał. Staliśmy się ponurą, udręczoną rodziną, przestaliśmy nawet na siebie patrzeć.

Na horyzoncie już rozblęzło słońce. Narzucone przez Niemców tempo nieco nas rozgrzało, poza tym chyba zrobiło się cieplej. Szron zamienił się w rosę.

Po wyjściu z bocznic kolejowej szliśmy pomiędzy budynkami przypominającymi opuszczone fabryki. Nie było tam niemal żadnych kamienic ani domów. Po kilometry lub dwóch wyszliśmy na otwartą przestrzeń i poprowadzono nas bezdrożami. Ślady na nich świadczyły, że przed nami musiały iść nimi tysiące ludzi.

Poza zabudowaniami żołnierze stali się głośniejsi, a ich ponaglenia – ostrzejsze i częstsze. Znów rozległy się trzaski wystrzałów. Przypomniały mi czasy, gdy z wujem Klemensem jeździłeś do lasu na polowanie. Potrafiłam wtedy rozpoznać dźwięk Twojej dubeltówki.

Przed chwilą się modliłam. Właściwie to mechanicznie i bezgłośnie odmawiałam słowa modlitwy. „Wieczne odpoczywanie racz nam dać, Panie...” Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć pacierza? Raz, gdy zdało mi się, że już go pamiętam, przed oczami stanął mi właśnie Ty.

Czy wierzysz w Boga, Tato? Czy modliłeś się ze mną tylko po to, by dbać o moją duszę? Dlaczego Bóg na to wszystko pozwala? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Nie wiem, czy chcę poznać odpowiedź na którekolwiek z tych pytań. Zadaję je, patrząc na druty kolczaste, drewniane wieżyczki i rzędy baraków. Jeszcze jesteśmy na wolności, lecz już niedługo.

Kazano nam się ustawiać w długich szeregach, a żołnierze dzielą nas na mniejsze grupy. Znowu słyszę płacz. Mam nadzieję, że nie po raz ostatni.

Delikatny swąd dymu gryzie mnie w gardło.

## GRETA

Od rana czuję się naprawdę nieźle. Obudziłam się wyspana i chętna do życia, co od dawna mi się nie zdarzyło. Zapomniałam zasłonić okno, więc po przebudzeniu słońce padało mi prosto na twarz. To dobrze. Nie to, że zapomniałam o zasłonach, ale że obudziło mnie słońce. Staram się wbić sobie do głowy, aby dziś również nie zasłonić okien.

Na łóżku obok mnie leżał dziennik. W nocy czytałam go tak długo, aż zasnęłam. Na wspomnienie Anny przebiega mnie dreszcz. Przez chwilę znów czuję potrzebę czytania. Jakbym poznając historię tej dziewczynki, mogła czemuś zadośćuczynić.

Jednak jeżeli... Boję się sformułować tę myśl, lecz to mój obowiązek. Jeżeli Anna zginęła, umarła tak jak miliony innych, ta historia musi żyć dalej. Będzie we mnie. Przekażę dziennik komuś innemu i zadbam, aby również go przeczytał. Potem niech ku pamięci zawsze go ktoś czyta aż do końca świata. I dłużej, bo przecież świat już raz się skończył.

Już raz chciałam umrzeć.

Wraz z tą myślą nachodzą mnie inne, coraz mroczniejsze. Patrząc na skąpane słońcem podwórze i wiem, że to samo słońce, te same drzewa i ten sam wiatr będą tu, gdy po mnie nie będzie już śladu. Nic się nie zmieni. Po niebie nadal będą przemykać obłoki, a ziemia wchłonie tyle deszczu, ile da radę. Nie wiem nawet, czy to, że się urodziłam, ma jakiegokolwiek znaczenie. Czy beze mnie świat byłby choć odrobinę inny? A nawet jeżeli różnica byłaby całkiem dostrzegalna, to co z tego? Normalna kolej rzeczy pcha nas mimowolnie przez życie. Bezwiednie oddychamy i nie mamy wpływu na bicie serca. Towarzyszy nam złudne poczucie kontroli, lecz przychodzi moment, w którym okazuje się, że nie potrafimy kontrolować nawet własnych zwieraczy. A mimo to świat kręci się dalej i po jego drugiej stronie nikogo nie interesuje nasze istnienie. Wzbudzamy nieco emocji u najbliższych, trwamy dla nich, ale w końcu

i tak zostajemy sami. Zapadamy się jak czarne dziury na firmamencie własnej świadomości. Pochłaniamy ją, zasysamy i znikamy na zawsze.

Mając osiemdziesiąt kilka lat, trudno jest nie wierzyć w Boga. Chyba że żyje się jeszcze siłą rozpędu, którą widzę u niektórych spotykanych osób. Ich spojrzenia nie są skierowane do przodu, lecz w głąb. Wciąż trwają, bo trwali przez dziesiątki lat, kochali, nienawidzili i każdego dnia robili parę kroków naprzód. Ja też nie chcę się zatrzymywać. Najlepiej byłoby wejść w nicość z marszu i bez zastanowienia. Jednak przecież były tysiące takich, którzy nie chcieli robić już nawet kroku. Zapierali się, bo wiedzieli, że centymetry przed nimi rozpościera się pustka, tyle że w jej obliczu bezsensownym staje się zapieranie i wszystkie te kilometry, które przeszliśmy przez lata. W perspektywie lat świetlnych nie jesteśmy nawet pyłem. Mając osiemdziesiąt kilka lat, równie trudno jak nie wierzyć w Boga, jest w Niego wierzyć. Ufać Mu i zawierzyć ostatni krok.

Myśląc o tym, wchodzę do gabinetu Alicji. Siedzi w swoim fotelu, ale najwyraźniej czeka na mnie, bo na biurku nie ma żadnych dokumentów. Uśmiecha się.

Cytrus w doniczce koło biblioteki zaczyna przekwitać i gubi kwiaty. Mimo to pomieszczenie wypełnia mocny, przyjemny zapach. We flakonach stoją nowe bukiety. Kiedyś zastanawiałam się, czy Alicja lubi te wszystkie rośliny, czy mają one znaczenie terapeutyczne. Doszłam do wniosku, że zapewne jedno i drugie.

– Proszę, siadaj – zaprasza, odjeżdżając na obrotowym fotelu od biurka.

Sadowię się przy stoliku, na którym pozostało jedynie opakowanie chusteczek. Alicja jak zwykle odsuwa je na bok. Ma na sobie obcisłą sukienkę w czarno-białe pasy i beżowy kardigan. Wygląda naprawdę ładnie. Jej ptasia uroda czasem upodobnia ją do brzydkiego kaczątka, a niekiedy terapeutka staje się pięknym łabędziem. To zabawna myśl.

Teraz bez dwóch zdań jest łabędziem. Pochyliła się, lecz tym razem czeka, żebym to ja zaczęła rozmowę. Cisza mi nie przeszkadza, ale mówię pierwsze, co mi przychodzi do głowy.

– Jeszcze mnie nie wyrzuciłaś?

Zadaję pytanie może nieco zbyt ostro, bo delikatny uśmiech natychmiast znika z jej twarzy. Choć zamierzałam powiedzieć to

zartobliwie, wyszło niegrzecznie. Znów jest mi głupio i wstyd.

Alicja wyprostowuje się i obraca do mnie nieco bokiem.

– Nigdy cię nie wyrzucę – stwierdza łagodnie. – Decyzję pozostawiam tobie i twojej ocenie. Ja jedynie wyraziłam swoje zdanie.

– Naprawdę uważasz, że powinnam pójść do kogoś innego?

– To tylko kwestia konsultacji...

– A co tu konsultować? Po tylu latach znasz mnie jak nikt inny.

Kiwa głową. Patrzy na mnie z uwagą zawodowego terapeuty, ale w jej spojrzeniu jest coś smutnego.

– I może właśnie dlatego przestałam być obiektywna? Kiedy rozmawiamy, zbaczam na tematy, które nie mogą ci pomóc. Przestaję trzymać się reguł.

– To nieistotne! – protestuję. – Mnie przede wszystkim pomaga rozmowa. Nie zamierzam opowiadać o tym na prawo i lewo, więc dobrze mi robi, gdy od czasu do czasu mogę coś powiedzieć.

– Tylko dlatego widzę w tym sens.

– Więc chyba wszystko jasne? Teraz powinnaś zapytać mnie, jak się czuję i jak się ma moja pamięć.

Alicja ponownie się pochyła i delikatnie rozstawia nogi. Kładzie dłonie na leżącym na kolanach notesie. Nagle jej twarz się rozjaśnia, jakby do głowy przyszło jej właśnie coś przyjemnego.

– Wiesz co, mam pewien pomysł – rzuca zagadkowo. – Wspomniałaś o dzienniku, który wręczył ci przyjaciel. Czytałaś go?

Przytakuję.

– Tak długo, aż zasnęłam.

– A pamiętasz jego treść? Od dawna martwiło cię, że gdy zaczynasz nowe książki, gubisz się w fabule i zapominasz, o czym czytałaś kilka stron wcześniej.

– Chyba... – odzywam się, lecz zaraz milknę.

Alicja ma rację. Mówiłam jej o tym wiele razy i wiele razy zarzucałam lekturę, bo po kilku stronach musiałam sobie przypominać, co się wydarzyło. To irytujące. Tym bardziej jeśli po tygodniu nadal wałkuje się pierwszy rozdział. W końcu parę pozycji przeczytałam tylko dla samego faktu przeczytania. Mieszały mi się postaci, a więcej fabuły sama sobie dopowiedziałam, niż pamiętałam. Jednak w przypadku dziennika rzeczywiście było inaczej.



– Tak, pamiętam – przyznaję. – Przynajmniej znaczną część.

– Czy wywołał on w tobie jakieś dodatkowe emocje? Ostatnio powiedziałaś, że czytając go, czujesz się niczym na sali rozpraw. Nadal masz to wrażenie?

Kręcę głową. Chciałabym być maksymalnie precyzyjna, lecz trudno mi opisać to uczucie.

– Teraz skupiłam się na czym innym – mówię enigmatycznie.

– Wiesz, że ze mną możesz rozmawiać konkretnie. Tak będzie najlepiej. Nie bój się.

Alicja odkłada notes na biurko i odwraca się do mnie przodem. Składa dłonie w piramidkę, po czym czubkami palców podpira podbródek. To jedna z jej ulubionych póz. Jest w pełni profesjonalna, ale w jej oczach widzę błysk sympatii.

– Pomyślałam, że jeżeli poznam tę historię, to przedłużę życie Anny. Tak się nazywała ta dziewczyna. O ile ona...

Milknę, ale terapeutka dopowiada za mnie.

– Umarła?

– Tak. Jeżeli umarła, to zmartwychwstanie w moim umyśle w trakcie lektury. – Wzdycham. – Wiem, że to brzmi absurdalnie i pokrętnie. Nie potrafię lepiej opisać swoich odczuć.

– Bardzo dobrze ci to wychodzi.

Lekceważąco macham dłonią i zerkam w stronę okna. Po podwórzu przemykają postacie. Liście na drzewach drżą smagane porywami delikatnego wiatru. Kula z miodowego szkła rozszczepia promienie słoneczne. To piękny dzień. Czuję się spokojna i odprężona, lecz zaraz pojawiają się wątpliwości. Nachodzą mnie niespodziewanie, podobnie jak niedawne myśli o przemijaniu.

– Już nie mam wrażenia, jakbym w trakcie lektury była na sali rozpraw – stwierdzam szczerze. – I właśnie przez tę świadomość pojawiają się wyrzuty sumienia. Powinnam cierpieć.

– A może ten pamiętnik uświadamia ci, że w tamtych czasach byłaś dzieckiem i nie miałaś wpływu na nic, co robił twój ojciec? Nie byłaś sprawcą, a taką samą ofiarą jak ta dziewczyna.

Przez chwilę się nad tym zastanawiam. To niedorzeczne, a jednak...

– Nie – odpowiadam stanowczo.

– Nie co?

– Wiedziałam, co się dzieje, i mogłam się starać wpłynąć na ojca. Nawet nie spróbowałam.

Alicja kiwa głową. Splata dłonie na piersi i się wyprostowuje.

– Będziemy kontynuować terapię do momentu, aż przeczytasz ten dziennik – proponuje. – Co ty na to? A potem się zastanowimy, co dalej.

Co dalej? Świetnie. Ja nie mam żadnych planów. Gryzę się jednak w język i tylko przytakuje.

W drodze powrotnej od terapeutki nachodzą mnie wspomnienia. Odganiam te najdawniejsze i pozwalam myślom podążać za przyjemniejszymi. Choć, oczywiście, z góry wiem, jak to się skończy. Niestety, znów jestem w pełni świadoma.

Jakub całkowicie zawrócił mi w głowie, bez przerwy o nim myślałam. Nigdy wcześniej nie sądziłam, że cokolwiek może odciągnąć moją uwagę od codzienności. A teraz? Nie zważałam na docinki dziewcząt z internatu, nie skupiałam się na lekcjach ani na modlitwach. Czas wlekł się niemiłosiernie w oczekiwaniu na moment, gdy znów się z nim zobaczę.

Rankiem po nocnej schadzce w parku jak zawsze wymknęłam się na spacer. Dzień był dłuższy i o świcie było znacznie jaśniej niż w dniu, gdy po raz pierwszy zobaczyłam Jakuba. Ksiądz proboszcz nie pilnował go skryty w półmroku, lecz w czerwonym błysku wstającego słońca. Niezmiennie ćmił fajkę, a wiatr roznosił iskierki.

Jakub ściągał skrzynie z drewnem z wozu drabiniastego, który musiał pamiętać poprzednie stulecie. Zaprzęgnięty do niego był wychudzony koń z kępami rdzawej sierści zamiast grzywy.

Minęłam furtę i ukradkiem zerknęłam na księdza. Po raz pierwszy dostrzegłam rysy jego twarzy, pomarszczonej jak zmięta kartka papieru. Na płaskim nosie prężyły się wielkie brodawki. Zmrużone oczy badawczo mnie obserwowały.

Odwróciłam wzrok i przyśpieszyłam kroku. Jakub zrzucił kolejną skrzynkę, a ze środka wypadło kilka drewnienek. Wiedziałam, że zrobił to umyślnie. Natychmiast się nachylił i odwrócił w moją stronę. Przed

wzrokiem księdza osłaniały nas rozeschnięte deski, z których zbity był wóz.

– Wiem, że masz przerwę na obiad o drugiej – wyszeptał tak szybko, że słowa zlały się w jedno. – Zobaczymy się kwadrans później. Tam, gdzie w nocy.

Po tym błyskawicznie się wyprostował i jakby nigdy nic wrzucił drwa do skrzyni. Odwrócił się, a ja musnęłam palcami powietrze w miejscu, gdzie znajdował się jeszcze przed chwilą. Nie zważając na księdza, zawróciłam. Miałam na co czekać i nie potrzebowałam dłużej spacerować. Nie chciałam kusić losu.

Przez kolejne tygodnie spotykaliśmy się regularnie. Wymykałam się nocami lub w trakcie mszy. Dobra była też przerwa na obiad, który pochłaniałam w kilku kęsach i pędziłam do opuszczonego parku. Widywaliśmy się też w kaplicy oraz w kościele. Ukradkiem szeptaliśmy do siebie i przelotnie dotykaliśmy się opuszkami palców. To wszystko dodawało naszej relacji czegoś wyjątkowego. Nigdy nie spędziliśmy ze sobą całej godziny. Zazwyczaj ledwie zaczęliśmy rozmawiać, któreś z nas musiało wracać. Wspólny czas gnał w szaleńczym tempie, a godziny rozłąki niemiłosiernie się wlekły.

Z czasem prócz rozmów i wymownej ciszy zaczęły nas łączyć niewinne muśnięcia dłoni oraz ukradkowe pocałunki. W kącik ust, ramię lub w rozwiane włosy. Pocałunki te nigdy nie stały się konkretniejsze, choć nie mogły być również bardziej namiętne.

Dziewczęta na jakiś czas dały mi spokój. Sądziłam, że przestały mnie śledzić, a docinki nie sprawiają im tyle radości co dawniej. To były jednak tylko pozory. Chwilowa cisza przed burzą, która dopiero miała nadejść.

Moja radość stała się zbyt wyraźna. Przestałam być ostrożna i kilkakrotnie wymykałam się nocą z pokoju, wiedząc, że Honora lub Gośka nie śpią. Przez jakiś czas nie napomknęły o tym ani słowem.

W tamtą majową ciepłą noc ponownie umówiliśmy się w parku dworskim. Jakub obiecał mi jakąś niespodziankę, więc przez cały wieczór się nad nią zastanawiałam. Bujna wyobraźnia podsuwała mi rozmaite scenariusze. Po latach aż wstyd o tym wspominać, lecz marzyłam, by zabrał mnie do innego, lepszego świata. Świata, w którym każdemu mojemu ruchowi nie będzie towarzyszył cień nienawiści.

W poprzednie noce poznałam każdy szczegół otoczenia internatu. Zapamiętałam kopce kretów, połamane gałęzie i dołki. W niemal całkowitej ciemności poruszałam się już tak samo sprawnie jak Jakub, więc po wymknięciu się przez okno mogłabym iść z zamkniętymi oczami.

Polubiłam zimno rosy zraszającej moje stopy. Zapach ziemi odpoczywającej po słonecznym dniu przyprawiał mnie o mimowolny uśmiech. Świat choć na moment stawał się naprawdę piękny.

Szłam szybko w stronę dawnej głównej alei. Idąc nią, choć była zarośnięta, najłatwiej mogłam dotrzeć do naszego punktu spotkań.

Nagle coś zakłóciło normalne odgłosy nocy. Znałam je tak dobrze, że nienaturalny trzask natychmiast zwrócił moją uwagę. Przystanęłam. Serce zadudniło mi mocniej w piersi, zacisnęłam pięści. Byłam gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

Sekundę później oślepiło mnie ostre światło.

– Stój! – Usłyszałam znajomy głos sprzątacza Jana. Zbliżył się do mnie z latarką w ręce.

Przerażona zamknęłam oczy i zaczęłam bezwiednie płakać. Do Jana dołączyło kilka innych osób. Zamrugałam i wbiłam wzrok w ziemię.

– A więc to prawda. – Dobiegł mnie głos dyrektor. – Nie mogłam w to uwierzyć, ale to prawda. W mojej placówce! I to ta smarkata niemra...

Światło latarki nagle poraziło mnie ze zdwojoną mocą. Nogi się przede mną ugięły i straciłam przytomność.

– Już rozmawiałam z księdzem proboszczem! – Krzyk dyrektor Inkubatury wypełnił każdy zakamarek jej cuchnącego papierosami gabinetu. – Niewiarygodne! Po prostu niewiarygodne!

Uznano, że po nocy spędzonej pod opieką internatowej pielęgniarce jestem dość zdrowa, by stanąć przed surowym obliczem władzy najwyższej. Nie pozwolono mi nawet usiąść, lecz stałam naprzeciw dębowego biurka o konstrukcji niewiele bardziej skomplikowanej niż szkolne ławy.

– Dobrze, że masz rozsądne koleżanki – ciągnęła dyrektor. – Całe szczęście, bo gdyby nie one, mogłabyś całkowicie stracić rozum. Bo chyba go jeszcze nie straciłaś, co?

– Ja...

To, co chciałam powiedzieć, nie miało żadnego znaczenia.

– Jesteś latawicą. Zadajesz się z chłopakami, a doskonale wiesz, jaki jest regulamin i jaka tu obowiązuje dyscyplina. Tam, skąd pochodzisz, ona jest przecież najważniejsza. Prawda? *Ordnung muss sein*, tak to leciało?

– Przepraszam...

– Przeprosić powinnaś samą siebie i ojca proboszcza. Ten to ma teraz urwanie głowy. No i stracił jedyne go pomocnika...

Serce zabiło mi mocniej, a wyobraźnia znów podsunęła wyolbrzymione obrazy.

– Stracił? Co się stało z Jakubem?!

– Naprawdę cię to interesuje? – Twarz Inkubatury rozciągnęła się w żabim, kpiącym uśmiechu. Dyrektor miała mniej niż sześćdziesiąt lat, ale okropna żółta cera i przesadny makijaż upodabniały ją do upiora. – Otóż – odezwała się tonem niepodzielnej władczyni – twój kochaś dostał srogie lanie od ojca za zadawanie się z takimi jak ty. Pewnie za parę dni będzie mógł usiąść, ale ksiądz proboszcz już go nie zatrudni. Nie chce mieć z nim nic do czynienia, więc rodzinka utraciła skromne, ale regularne źródło dochodu. – Dyrektor odchrząknęła i uśmiech nagle zniknął z jej twarzy. – Przez ciebie – dodała oskarżycielskim tonem. – Nawet w ten sposób potraficie rujnować ludzi.

Dobrze wiem, kim byli ci „oni”.

– Jeszcze nie wiem, co z tobą zrobić. – Inkubatura podniosła się z fotela i ciężko oparła o porysowany blat. – Muszę to przemyśleć, ale bądź pewna, że poniesiesz zasłużoną karę.

– Chciałam tyl...

– Milcz! Jak w ogóle śmiesz się odzywać niepytana?!

– Prze...

– Wynocha! Masz trzy dni siedzieć w pokoju i sprzątać za inne dziewczęta. Posiłek dostaniesz raz dziennie, jeśli na niego zasłużysz. Nie waż się iść gdzieś indziej niż do łazienki i z powrotem.

To było na tyle. Audiencja została zakończona, palec dyrektor powędrował ku górze i wskazał na drzwi.

Gdy wróciłam do pokoju, na twarzach dziewcząt dostrzegłam satysfakcję. Dopiero wtedy zrozumiałam, że tym, co ostatecznie je

sprovokowało, było moje szczęście. Nie mogły ścierpieć, że mam powód uśmiechać się częściej niż one i do tego – pomimo nich.

Byłam zrozpaczona. Przez cały ten czas starałam się jednak powstrzymać płacz. Nie chciałam dać moim dręczycielkom tej dodatkowej satysfakcji. Z dumą znosiłam upokorzenie, słałam ich łóżka i składałam rzeczy. Cały czas obmyślałam, jak mogłabym skontaktować się z Jakubem. Do głowy przychodził mi tylko jeden pomysł – ryzykowny, lecz przecież nie miałam już nic do stracenia.

Woźny Jan, ten sam, który jak morderczy śledczy dopadł do mnie z latarką, zawsze wydawał mi się porządnym starcem. Takim starcem, który wyjątkowo dobrze pojmuje młodość. W jego uśmiechu zawsze widziałam zrozumienie. Nigdy mnie nie oceniał i nie patrzył na mnie z ukosa. Chyba nawet trochę mnie lubił. Wiedziałam, że wtedy, w nocy, stał się zwykłym trybikiem w maszynie i nie mógł zrobić nic innego. Nie on pierwszy i nie on ostatni.

– Proszę pana... – szepnęłam, gdy przechodził korytarzem. Dziewcząt nie było w pokoju, a ja czekałam, aż wyschnie podłoga. Jej szorowanie stało się jednym z moich obowiązków.

Odwrócił się i zerknął na mnie lekko zawstydzony. Spuścił wzrok.

– Ja... Wtedy... W parku...

– To nieważne. – Machnęłam dłonią. – Czy mógłby pan coś dla mnie zrobić?

Starzec rozpromienił się i rozejrzał, czy nikt nas nie widzi.

– Oczywiście, panienko.

Chwilę później wręczyłam mu krótki liścik z datą i miejscem spotkania. Woźny obiecał, że znajdzie sposób, by jeszcze tego samego dnia przekazać go Jakubowi. Gdy odchodził, zmierzył mnie długim, badawczym spojrzeniem, a potem się uśmiechnął i puścił do mnie oko. Odpowiedziałam mu tym samym.

– Dziękuję – wyszeptalam.

Wymownie pokręcił głową i odszedł. Po godzinie wszedł na salę lekcyjną tylko po to, by w chwili, kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, uśmiechnąć się. Następnie przeprosił nauczycielkę za pomyłkę. To wystarczyło, żebym zrozumiała, co miał mi do przekazania. Ze wzruszenia niemal się rozplakałam. Serce podeszło mi do gardła, a sekundy zaczęły się dłużyć niczym godziny. Gdzieś zaświtała nadzieja.

Tuż przed północą wymknęłam się z pokoju i popędziłam ku kapliczce. Nie interesowało mnie, co zrobią dziewczęta. Uważałam jedynie, by nikt mnie nie śledził. Nie chciałam przysporzyć Jakubowi dalszych kłopotów i tylko to motywowało mnie do ostrożności. O siebie w ogóle nie dbałam.

Kapliczka znajdowała się na rozstaju dróg przy lesie. Od internatu dzieliło ją nie więcej niż półtora kilometra. Część tej odległości pokonałam drogą, a część – bocznymi zarośniętymi ścieżynami. Nogi niemal do kolan miałam utyłane w błocie. Kilkukrotnie wpadałam w doły pełne pokrzyw. Noc była bezksiężycowa i chmurna, przez co wzrok z trudem przenikał ciemności. Czasami szłam niemal całkowicie po omacku.

Gdy znalazłam się pod kapliczką, Jakuba jeszcze nie było. Przed figurką Marii Panny dogasała świeczka. Czułam zapach topionego wosku oraz gnijących kwiatów. Wszystkie kapliczki kojarzą mi się z wonią gnijących, umierających kwiatów.

Otuliłam się płaszczem i zaczęłam nasłuchiwać. Gdzieś w oddali pohukiwał puszczyk. Wiatr delikatnie szumiał wśród drzew na skraju lasu. Przykucnęłam, gotowa w każdej chwili poderwać się do radosnego powitania. Wyobrażałam sobie, że obejmuję dłońmi twarz Jakuba, przyciągam go do siebie, po czym całujemy się długo i namiętnie. Wyobrażałam sobie, że właśnie tu, przy starej kapliczce z figurą Marii Panny, stanę się cała jego i przyrzekniemy sobie być razem na zawsze. Na dobre i na złe. W chwilach wiary i jej całkowitego braku. Jakub niemal się nie odzywał. Chichotał tylko i pochylał się nade mną, a ja widziałam na tle nieba zarys jego rozczochranych włosów.

Mimo chłodu czekałam niemal do świtu. Zęby bolały mnie od szcękania, stopy skostniały. Rozbolało mnie gardło. Jakub nie przyszedł ani tej nocy, ani na kolejne zaproponowane przy pomocy Jana spotkanie.

Po tygodniu dyrekcja zdecydowała się przenieść mnie do placówki odległej o kilkaset kilometrów. Oczywiście – dla mojego dobra i prawidłowego rozwoju. Nie było nikogo, kto mógłby stanąć w mojej obronie. Moje prośby i groźby nie wywierały na nikim wrażenia. Nawet ostentacyjne rozcięcie sobie nadgarstka zardzewiałym pilnikiem potraktowano jedynie jako histerię rozkapryszonej niemry, która myślała, że może dyrygować całym światem.

I która bardzo się pomyliła – co dodano z podwójną satysfakcją.

W tej historii nie ma szczęśliwego zakończenia i spotkania po latach. Nie zobaczyliśmy się z Jakubem nigdy więcej. Dziś już nie pamiętam jego twarzy. Nie mam żadnego wspólnego zdjęcia, listu ani schowanego w sekretniku pukla włosów. Z pierwszej miłości nie pozostało mi nic poza wyblakłym wspomnieniem i niezrozumiałym poczuciem wstydu, ilekroć o niej myślę. Gdyby ona w ogóle się nie wydarzyła, nic by się nie zmieniło. Świat nie odczułby naszej nieobecności. Tak jak nie odczuje jej, gdy wkrótce z niego odejdę.



## ANNA

Pamiętam, jak siedziałam na Twoich kolanach i czytałeś mi książkę. Była to stara encyklopedia w skórzanej oprawie. Znajdowało się w niej wiele rozkładanych map oraz ilustracji, a Ty do każdej z nich wymyślałeś ciekawą historię. Mogłabym ich słuchać całymi godzinami. Uwielbiałam te rzadkie chwile, które spędzaliśmy razem.

Pomiędzy historiami musiałam jeść. Na biurku przed nami stał talerz z warzywami i pokrojonym przez Lusię mięsem. To był nasz handel wymienny. Historia za kęs. Jakikolwiek narzekanie stanowiło złamanie zasad i skutkowało natychmiastowym wygnaniem do kuchni albo do mojego pokoju. Mimo to starałam się oszukiwać. Encyklopedia była na tyle gruba, że kiedy odwracałeś wzrok, by zerknąć za okno, podważałam ostatnie strony i wsuwałam między nie wyplute liście sałaty. Z czasem stałam się naprawdę zuchwałą.

A potem się zorientowałeś i byłeś bardzo zły. Zdaje się, że dostałam jakąś karę, ale już jej nie pamiętam. W ogóle niewiele mam złych wspomnień. Choć powinnam to ująć nieco inaczej. Nie mam żadnych złych wspomnień z Tobą i mamą. Wszystkie mnie cieszą. Zapewne dotąd nie wiedziałeś, że w dniu, gdy mnie przyłapałeś na oszustwie, wieczorem wyszłam ze swojego pokoju i po cichu zesłam na dół. Luscia zmywała naczynia, a ty siedziałeś z mamą w salonie.

– Sałatę! Rozumiesz? – Zaśmiewając się, zdawałeś jej relację z naszego wspólnego posiłku. – Włożyła do drugiego wydania Rousseau sałatę...

– Może naprawdę była niedobra.

– Daj spokój, lepszej nie widziałem.

– Wuj Klemens opowiadał, że gdy byłeś mały, zwymiotowałeś na encyklopedię. Może to rodzinne.

Pokręciłeś głową. Bałam się, że mnie zobaczyłeś, ale stałam w mroku i miałam ciemną, granatową koszulę nocną. Żałuję, że nie zabrałyśmy jej

ze sobą.

– Ale nie w Rousseau! – krzyknąłeś i zaciągnąłeś się cygarem. – To było jakieś współczesne niemieckie gówno.

– Język! – upomniała cię mama.

A potem oboje wybuchliście śmiechem. Szybko pobiegłam na górę, bo wiedziałam już, że wcale się na mnie nie złościł. Nie było mi przykro z powodu kary, ale dlatego, że byłeś na mnie zły.

Pewnie tego nie pamiętasz, lecz po pewnym czasie przyszedłeś do mojego pokoju. Jeszcze nie spałam, ale nie odezwałam się. Leżałam na boku, bojąc się, żeby się nie wydało, że przed chwilą podsłuchałam waszą rozmowę. Poza tym nadal chciałam udawać obrażoną.

Nie zapalałeś światła. Nachyliłeś się i pocałowałeś mnie w policzek. Twoje wąsy mnie załaskotały, lecz powstrzymałam śmiech. Potem po cichu usiadłeś na podłodze przy łóżku i zacząłeś głaskać moje włosy. Uwielbiałam to. Gładziłeś je i przepuszczałeś między palcami. Delikatnie drapałeś mnie po głowie. Wsłuchałam się wtedy w Twój oddech i zasnęłam.

Zresztą zawsze uważałam, że tym, co jest we mnie ładne, są właśnie włosy. Ciemny blond, co stanowiło doskonałe połączenie koloru Twojego i mamy. Długie i puszyste. Lubiłam, gdy Luscia zaplatała mi je w te śmieszne warkocze albo wianek. Robiła to czasem w niedzielę i kiedy szliśmy do kościoła, miałam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą. To była z mojej strony pycha, lecz naprawdę to lubiłam. Wyobrażałam sobie, że jestem jedną z tych dam z wiszących w salonie obrazów. Szłam dumna, z uniesioną głową i zaciskałam dłoń na twoim palcu. Prowadziłeś mnie jak księżniczkę albo...

Nieważne.

Myślałam o tym wszystkim, siedząc w wielkim, niemal pozbawionym przedmiotów pomieszczeniu. Znajdowałyśmy się w nim razem z mamą i kilkudziesięcioma kobietami oraz dziewczętami. Już byliśmy po tamtej (chyba powinnam napisać „tej”?) stronie drutów. Pomiędzy nami kręciło się cztery czy pięć więźniarek w niebiesko-białych pasiakach.

Myślałam o tym wszystkim, gdy moje włosy leżały już na podłodze. Te piękne pukle, które tak bardzo lubiłeś gładzić. Te piękne pukle z dawnych obrazów.

– Nic się nie zmarnuje – mruknęła markotnie jedna z kobiet i zgarnęła je na metalową szufelkę. – Macie przynajmniej szczęście, że was nie rozdzielono.

– Nie rozdzielono?

– Ciebie i twojej matki. To nowa procedura, która ma zapobiec próbom uciezek oraz buntom. Więźniowie z bliskimi stają się jednocześnie ich zakładnikami.

– Boże... – Westchnęłam i spuściłam wzrok.

Dotknęłam swojej łysej głowy. To było tak dziwne uczucie... Włosy nie były równo wygolone i gdzieś tam tkwiły szorstkie kępki. Poczulałam się okropnie brzydka. Do oczu napłynęły mi łzy i wtedy uświadomiłam sobie, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia.

Na mój widok mama odwróciła wzrok. Widziałam, że powstrzymuje płacz. Jej włosy również zniknęły, ale piękne, wielkie oczy pozostały niezmiennie.

– Mamo...

Zabroniono nam się do siebie przytulać. Zapłakałyśmy, nie patrząc na siebie, i nie odezwałyśmy się ani słowem. Marzyłam, żeby to wszystko wreszcie się skończyło.

Chciałam, żeby nadeszła noc i żebym mogła zapaść w sen. To była jedyna ucieczka. Jednak potem nadeszło coś zupełnie innego.

Potem nadszedł ból. Niezbyt duży, ale wyjątkowo nieprzyjemny. A po bólu na ręce pozostał ciąg cyfr.

– To teraz twoje nowe imię – powiedział blady mężczyzna z zapadniętymi policzkami i matowymi oczami. – Zapamiętaj je dobrze.

Później to samo powtarzał każdemu. Wszystkim ośmiuset trzydziestu dwóm osobom, które przybyły do KL Lublin tego dnia.

Wszystkim ośmiuset trzydziestu dwóm numerom.

## GRETA

Odrywam wzrok od pamiętnika i sięgam po kubek zimnego już naparu z ziół. Wychylam pośpiesznie łyk, jakbym piła wódkę.

Moja stara doxa wskazuje ósmą sześć. Znów zapomniałam ją nakręcić, ale teraz nie zamierzam tego robić. Kręcenie koronką sprawia mi ból. Ustawianie wskazówek wymaga wprawy i spokojnych dłoni. Zresztą gdzie miałabym sprawdzić, która godzina jest w rzeczywistości?

To pytanie wprawia mnie w konsternację. Czy mam drugi zegarek? Na komódce, co prawda, stoi portykowy wiedeńczyk, lecz jego wahadło zamarło, jak wszystko wokół. Może wystarczy zatrzymać zegary, by czas przestał pędzić na złamanie karku?

Bzdury.

Wstydzę się tych meandrujących myśli. Wstydzę się, że wypieram scenę, o której przed chwilą czytałam. Stawiam tamę, jakbym w ten sposób mogła powstrzymać napływ potępienia.

– To już się stało... – szepczę do siebie.

Chcę, żeby pojawił się przy mnie Stanisław. Nagle czuję przerażającą, zaciskającą się na moim gardle samotność. Być może nie zasługuję na szczęście, ale czy nie mogę o nim marzyć?

Ja również jestem jedynie numerem. Niewyobrażalnie wielkim, lecz jednym z pierwszych w kolejce do śmierci.

Nadgryzam ciasteczko miętowe i zaraz je wypluwam. Nie mam apetytu. Bez herbaty nie zdołam go przełknąć. Kilka okruchów spada na pamiętnik, ale natychmiast je strzepuję. Przyklejają się do mojej dłoni i chce mi się płakać.

Kiedyś zaczęłam dziergać sweterek dla wałęsającego się po podwórzu kota. Pozwalałam mu wskakiwać do mojego mieszkania, lecz wołał trzymać się na dworze. Kusiałam go smakołykami i mlekiem. Rozkładałam koc, całymi godzinami nakłaniałam do skorzystania

z zaproszenia. Było pieruńsko zimno, świat zamarzył i nastąpiła kolejna epoka lodowcowa. Mimo to kot kładł się kilka metrów od fasady domu. Zwijał się w śniegu w kłębek i łypał na mnie podejrzliwie. Jednak wciąż dziergałam dla niego sweterek. Stało się to moją obsesją, więc wystawiałam w oknie, dziergałam i zachęcałam go do przyjścia. Nie zważając na zimno, uchylałam okno na noc. Któregoś ranka zobaczyłam, że kocur położył się na zostawionym na parapecie kocu. Pijana szczęściem zaczęłam się skradać, by go nie spłoszyć, jednak gdy go dotknęłam, ani drgnął. Okazało się, że tej nocy zdechł. Na parapecie mojego okna, na moim kocu i nim zdążyłam ukończyć dzierganie swetra. Byłam na niego zła. Choć jeszcze bardziej byłam zła na siebie, że nie zdołałam go uratować.

Nie wiem, dlaczego właśnie teraz przypomniała mi się ta historia. Może usiłuję zająć nią myśli, a może sentymentalizm stanowi element mojej choroby. Nieważne.

Ktoś, kogo znałam przed wielu laty, powiedział, że życie to składowa zawartości naszych kiszek, której musimy się pozbyć. W takim razie wieczność jest diabelnie wielkim nocnikiem. To założenia, które nadają się na dogmaty mało kuszącej religii.

Ponuro śmieję się do samej siebie.

Oblizuję z palców okruszki i przekładam stronę pamiętnika.

## ANNA

Mama została wezwana do baraku administracyjnego. Nie powiedziano jej, po co ani dlaczego. Po prostu jeden z żołnierzy wywołał ją po porannym apelu i przekazał rozkaz. Chciałam iść z nią, lecz kazano mi zostać na zewnątrz. Nikogo nie interesuje, że jesteśmy rodziną. Numery nie mają ojców, matek i sióstr. Numery nie mogą płakać.

Nadal nie wiemy, co stało się z Lusią. Wypytywałam o nią innych więźniów, którzy jechali tym samym pociągami co my. Nie mam jednak żadnego jej zdjęcia, a opis może pasować do wielu osób. W obozie jeszcze trudniej będzie ją znaleźć. Teren jest podzielony na oddzielone od siebie bloki. Pełno tu niewidocznych granic, których nie można przekraczać i których się trzeba nauczyć. Poza tym bez włosów wszyscy zdają się być tacy sami. Kobiety, mężczyźni, dzieci...

– Chleb! – krzyknął ktoś ochrypłym głosem.

Siedzące niedaleko mnie nastolatki natychmiast się poderwały. Po drugiej stronie ogrodzenia przemknęło kilka postaci, które zaraz zniknęły. Rozległy się krzyki. Zaraz pojawili się strażnicy i oddali kilka strzałów w powietrze. To przerażające.

Byłam głodna, bardzo głodna. Odkąd zabrano nas z domu, wypiliśmy jedynie nieco wody i dostałam pół pszennej bułki. Podzieliłam się nią z kobietą, która niedawno odstawiła dziecko od piersi. Zresztą w obozie odebrano jej niemowlę i podobno przeniesiono do bloku dla najmłodszych. Podobno, podobno, podobno... Tu wszystko jest „podobno”.

Przerzucony przez ogrodzenie bochenek upadł niedaleko mnie. Instynktownie rzuciłam się w jego stronę. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Pewnie kiedyś wydawałoby mi się to upokarzające, lecz teraz zapragnęłam mieć chociaż krtynę dla siebie. Dać coś mamie, która nie jadła tak samo długo jak ja. Bo wbrew temu, co tu mówią, wciąż

wierzyłam, że ludzie, którzy gdzieś idą, zawsze wracają. Ty również wrócisz, Tato. Prawda? Mama też wróci...

W momencie, gdy chwyciłam bochenek, dopadło do mnie kilka innych dziewcząt. Oderwałam piętę i wsadziłam ją do ust. W tej samej chwili spadły na mnie kopniaki i kuksańce. Chciałam przycisnąć chleb do piersi, lecz ktoś pchnął mnie na ziemię. Upadłam i zdarłam sobie kolana. Wtedy spadły na mnie kolejne ciosy. Obolała, zwinęłam się w kłębek, ale razy nie ustawały. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że wciąż ściskam w dłoniach nieco wyrwanej chlebowej papki.

– Dla mamy... – wyszeptałam. – Proszę, ona nie jadła od...

Kopniak wymierzony w żołądek pozbawił mnie tchu. Obróciłam się na bok i zobaczyłam, że z kilkunastu metrów przygląda się nam kilku żołnierzy. Pokazywali nas sobie i głośno się śmiali. Udawali, że przeżuwają coś z pełnymi ustami.

Grupa więźniarek nie zamierzała mi odpuścić. Mimo że leżałam już całkowicie bezsilna, jedna z nich stanęła mi na dłoni. Poczułam wyginające się i łamiące paznokcie. Nienaturalnie ułożony nadgarstek zapiekł mnie jak przypiekany ogniem.

– Zostawcie ją!

Tuż obok pojawiła się trzydziestokilkuletnia kobieta. Stanowczo weszła między mnie a resztę dziewcząt. Odepchnęła jedną z nich.

– Dajcie jej kęs chleba – nakazała.

– Ale ona...

– Co ona? Powiedziałam, dajcie jej chleb.

Chuda, tak blada, że niemal niebieska więźniarka z kruczoczarnymi oczami splunęła.

– To panienka z dobrego domu – wycedziła, patrząc na mnie z pogardą. – Prawdziwa dama, która zawsze sobie poradzi. Do tego na kilometr widać, że katoliczka, której ten chleb się po prostu należał. Chciała zezreć cały, co?

– Przepraszam – szepnęłam. – Moja mama...

– Twoja matka właśnie poszła na audiencję do SS-kapitana. A to rzadki zaszczyt.

– Ona tak dawno nie jadła...

Mówiłam chyba tylko do siebie. Tamta więźniarka już mnie nie słuchała. Mimo to oddała kawałek chleba kobiecie, która wzięła mnie

w obronę. Ta schyliła się i podała go mnie.

– Masz. Zjedz sama albo daj matce.

– Dziękuję...

Upadając, szczęknęłam tak niefortunnie zębami, że przygryzłam sobie język. Teraz w ustach mam krew. Zbierała mi się nawet w gardle. Odchrząknęłam i spróbowałam się podnieść. Zakręciło mi się w głowie.

Nie miałam sił. Więźniarka podała mi dłoń i pomogła wstać. Obejrzała pod światło moją twarz, a potem delikatnie chwyciła nadepniętą rękę.

– Musisz być twarda – mruknęła. – Nic ci nie jest. Do wszystkiego się przyzwyczaisz.

Nabrałam powietrza i przytrzymałam je w płucach. Nadgarstek wciąż mnie bolał, ale postanowiłam nie zwracać na to uwagi. Zaciśnęłam zęby.

Półprzytomnym wzorkiem powiodłam po drutach i drewnianych wieżyczkach strażniczych. Żołnierze, którzy niedawno się nam przyglądali, odeszli. Straciliśmy ich zainteresowanie. Żaden numer nie przykuwał uwagi dłużej niż przez krótką chwilę, gdy dostarczał rozrywki jak w cyrku. Cóż...

Więźniarki dzieliły między siebie chleb. Łypały na mnie z zaciekawieniem, lecz bez złości. Ta przeraźliwie blada, czarnooka skinęła do mnie głową. Teraz z własnej woli podała mi ugnieciony kawałek.

– Dziękuję.

Wzięłam go i zamknęłam w dłoni. Nie rozumiałam tego świata. Nie miałam pojęcia, co tak naprawdę się stało. Dlaczego te dziewczęta rzuciły się na mnie z taką furią ani co znaczyły ich słowa o dobrym domu oraz damie?

– Kiedy wróci moja mama? – zapytałam, lecz nikt nie odpowiedział. – Co ona tam robi?

Znów cisza.

Serce ze strachu waliło mi w gardle. Straciłam już Ciebie i nie mogłam stracić też jej. Nie mogłam zostać na świecie zupełnie sama. Myślałam, że na pewno bym tego nie przeżyła.

Chciałabym umrzeć.

Odeszłam kilka kroków i usiadłam na wydeptanej ziemi. Jak dobrze, że nie zabrano mi brulionu ani ołówka. Dla nich one nic nie znaczą, a dla mnie to całe życie. Pisanie sprawia mi ulgę. Na szczęście prawa



ręka jest cała i mogę nią ruszać. Lewa spuchła, lecz kiedy ją... Zresztą miałam nie zwracać na to uwagi.

Opowiadam Ci o tym wszystkim, Tato, i chce mi się płakać. Proszę, wybaczyć moją szczerość, ale jestem na Ciebie trochę zła. Dlaczego na to pozwoliłeś? Przecież zawsze powtarzałeś, że będziesz o mnie dbał i mnie chronił. Zniknąłeś tak dawno temu i przez jakiś czas wyobrażałam sobie, że rzeczywiście czuwasz nad nami gdzieś z ukrycia, a teraz już wiem, że to nieprawda. Że wierzyłam w to tak samo naiwnie jak w Boga. Dlaczego i On na to pozwolił? Ponoć miał wysłuchiwać naszych modlitw, ale myślę, że jeśli w ogóle istnieje, to nie ma na to czasu. Modli się do Niego cały świat.

Przepraszam... zaraz dokończę.

– Mamo!

Przed chwilą mama wreszcie wróciła. Zbliżyła się do mnie bez słowa i z zaciśniętymi ustami. Z trudem przyzwyczajam się do widoku jej bezwłosej głowy. W jej oczach widzę pustkę. To określenie słyszałam już wcześniej, lecz dopiero teraz rozumiem, co znaczy.

Mama mnie zobaczyła, a następnie intensywnie zamrugła – jakby nie była pewna, czy to na pewno ja. Chwilę później zatoczyła się i upadła. Zapewne wystraszyła ją pustka, która pojawiła się również w moich oczach.

Usiadłam obok niej.

– Mam dla ciebie kawałek chleba.

## GRETA

Wchodzę z ojcem do baraku, który wypełnia zapach chemikaliów. Przez duże okna do środka wpada sporo światła, ale w pomieszczeniu i tak palą się lampy. Po lewej znajduje się wielka balia, niemal po brzegi wypełniona wodą. Obok niej stoi dwóch mężczyzn w lekarskich kitlach. Przy bali zainstalowano konstrukcję przypominającą dźwig.

– Widzisz?

Dopiero po kilku sekundach mój wzrok kieruje się na przerażonego mężczyznę w kombinezonie lotniczym. Ma skrępowane ręce i nogi. Spod kombinezonu wystaje zniszczony pasiak.

W pierwszym odruchu chcę uciec, lecz ojciec mnie zatrzymuje. Zaciska dłoń na moim nadgarstku i wita się z medykami.

– Herr Hauptsturmführer.

– Herren Doktoren.

Następnie ojciec odwraca się do mnie i wskazuje na więźnia.

– To Żyd – tłumaczy pogardliwym tonem. – Wczoraj w jego pryczy znaleziono zaszyfrowaną mapę obozu.

Szykował się ze swoimi parszywymi ziomkami do ucieczki, ale do czegoś się jeszcze przyda.

Lekarze się uśmiechają, a ja nie wiem, co powinnam zrobić. Więzień wbija we mnie złężnione spojrzenie. Oczy niemal wychodzą mu z orbit. Po zapadniętych, lekko zarośniętych policzkach spływa pot. Oplatający jego tułowie pas musi mu utrudniać oddychanie.

– Robimy to dla dobra naszych lotników i wysiłku zbrojnego Rzeszy – ciągnie ojciec, a następnie zwraca się wprost do więźnia. – Dla takich jak ty to zaszczyt. Rozumiesz? Możesz poświęcić swoje parszywe życie dla jakiegoś szlachetnego celu.

Odpowiada mu jedynie rżenie. Medycy przestępują z nogi na nogę, gotowi do działania.

– Zaczynamy?

– Tak jest.

Starszy, siwy lekarz bierze z drewnianego stołu termometr oraz jakieś szklane fiolki. Drugi mężczyzna, w wieku ojca, popycha wajchę umieszczoną przy dźwigu. Więzień jest powoli opuszczany do balii.

– Temperatura wody cztery i dwie dziesiąte stopnia – melduje formalnym tonem młodszy lekarz.

– Bardzo dobrze.

– Temperatura ciała w chwili rozpoczęcia eksperymentu trzydzieści sześć i dziewięć dziesiątych stopnia.

Ojciec kładzie dłoń na moim ramieniu i z zainteresowaniem obserwuje, jak więzień zostaje na siłę umieszczony w wypełnionej lodowatą wodą balii. Szarpie się i krzyczy, lecz więzy nie dają mu zbyt dużej swobody ruchów. Udaje mu się rozchlapać jedynie kilka kropli.

– Drzyj się, drzyj – mówi starszy lekarz. – To dobrze, bardzo dobrze... Powinieneś być pobudzony jak pilot płonącego myśliwca, który z ogromną prędkością wpadł do oceanu.

– Chodzi o to – ojciec zwraca się do mnie – żeby zwiększyć szanse przeżycia naszych lotników, którzy czekają na pomoc w wodach Atlantyku lub Morza Północnego. Czasem od awarii samolotu... – Zauważam, że szczególnie akcentuje słowo „awarii”. – ...do chwili odnalezienia mija nawet kilkanaście godzin. Jeżeli nawet uda im się przeżyć, są w stanie hipotermii, a nie ma skutecznych metod ich ogrzewania. To sprawia, że tracimy wielu dzielnych chłopców. Poza tym...

Ojciec przerywa wykład, bo więzień zaczyna się miotać jeszcze bardziej. Woda wokół niego burzy się i wylewa poza krawędzie balii.

– Spędzi w niej równą godzinę. – Do ojca dołącza starszy lekarz. Obraca w dłoni szklaną fiolkę, której zawartość zmienia kolor z zielonego na fioletowy. – Dokładnie za pięćdziesiąt osiem i pół minuty go wyciągniemy. Niektóre sposoby rozgrzania zdają się działać...

– Choć jeszcze wiele przed nami.

– I przed nim.

Moje milczenie chyba denerwuje ojca, bo jego dłoń mocniej zaciska się na moim ramieniu. Odchrząkuje nerwowo i odwraca się do okna.

Nagle otwierają się boczne drzwi i do pomieszczenia wchodzi żołnierz ze skulonymi, spłoszonymi więźniarkami.

– Kobiety rozgrzewają najlepiej. – Starszy lekarz wymownie się uśmiecha i odchrząkuje. Następnie wskazuje na krzesła. – Siadać.

– Czy...

Chciałam o coś zapytać, lecz ojciec delikatnie popycha mnie ku wyjściu. Gdy znajdujemy się na dworze, kuca przy mnie i chwyta moje ręce.

– Powinnaś wykazać więcej entuzjazmu – mówi tonem przygany.

– On umrze?

– Może. Choć mam nadzieję, że nie. Nasi doktorzy walczą o życie chłopców niewiele starszych od ciebie.

– Tak, wiem o tym – odpowiadam potulnie.

– Jego śmierć jest środkiem do tego, aby uratować niemieckich bohaterów.

Kiwam głową i mrugam. Wspomnienia nagle się rozmywają. Przez chwilę nie wiem, gdzie jestem. Fotel wydaje się tak miękki, jakby oblewała mnie woda. Jest mi zimno. Otulam się mocniej kocem i staram się znów pograć w obrazach z przeszłości. Te jednak się nie pojawiają.

Nie mogę sobie przypomnieć, o czym myślałam przed chwilą.

Na podłodze obok fotela leży dziennik. Jest otwarty, a moje spojrzenie pada na rzędy dobrze skonstruowanych, choć pośpiesznie zapisywanych zdań. Wiem, na czym skończyłam lekturę. Chcę się nad nią ponownie pochylić, lecz w tym samym momencie słyszę pukanie.

Do pokoju wchodzi stary mężczyzna o lasce. „Stanisław” – przypominam sobie jego imię. Jest moim przyjacielem i nie muszę się go bać. Nie ma mi niczego za złe. Chyba opowiadałam mu o swojej przeszłości. A może wcale nie?

– Jesteś gotowa? – pyta.

– Na co? Miałam być na coś gotowa?

Spogląda na mnie zmartwiony.

– Samochód już czeka – odzywa się po chwili.

Lubię jeździć samochodem. Zawsze lubiłam.

– Pani Rott? – zwraca się do mnie wysoka, niezgrabna kobieta. Ma pięćdziesiąt kilka, może sześćdziesiąt lat i rude, sięgające ramion włosy.

Jej nos przypomina bulwę zdeformowanego ziemniaka.

Przytakuję.

Kobieta porozumiewawczo zerka na Stanisława, po czym bierze mnie pod ramię.

– Dziękuję, że pani przyszła. To ja przed paroma dniami się z panią kontaktowałam.

– Ale...

– Proszę spojrzeć.

Wskazuje na kilkanaście krzeseł rozstawionych pośrodku niczego. Znajdujemy się na wykarczowanej w lesie polanie, na której ustawiono obelisk. Do obelisku przymocowana jest tablica, a pod nią płonie kilka świec oraz leży wieniec. „Kapliczki mają zapach gnijących kwiatów” – to chyba nie moja myśl.

– Czy to pani do mnie dzwoniła? – pytam drżącym tonem, po czym zwracam się do Stanisława. – To jest ta niespodzianka?

– Tak.

– Prosiłam, żeby...

– Zamiast pani nazwiska są jedynie inicjały.

– Czy pani nie rozumie, że nie w tym rzecz?! – wybucham. Puszczam jej ramię i z trudem robię kilka kroków. Wąska ścieżka wysypana jest żwirem, w którym zapadają się moje stopy. – Nie chcę, żeby cokolwiek łączyło ofiary ze mną. Nie chcę, żeby o mnie pamiętano, nawet jeżeli oznaczono mnie inicjałami albo numerem. Czy nie wystarczy, że przesyłam pieniądze? Czy naprawdę musicie karać mnie w ten sposób?!

Rudowłosa kobieta mruży oczy. Spogląda na mnie zdenerwowana. Przygryza wargę i zakłopotana wzrusza ramionami.

– Za nic nie odpokutowałam – ciągnę. – A tablice niczego nie zmieniają. Czy wie pani, co robił mój ojciec? Gdyby ludzie, którzy pewnie wkrótce tu przyjadą, się o tym dowiedzieli, natychmiast rozbiliby ten pomnik.

– Nie sądzę. W dzisiejszych czasach nie dzielimy ludzi ze względu na pochodzenie, ale na czyny. A pani hojny gest...

– Proszę usunąć nawet moje inicjały. – Unoszę groźnie pokrzywiony przez artretyzm palec. – To moje ostatnie słowo.

– Pani Rott...

Kulejąc, zawracam do taksówki. Stanisław bez słowa za mną drepcze. Jest mi nieco wstyd i bardzo głupio. Nie chciałam nikomu zrobić

przykrości. Po prostu nie zasługuję na tablice.

Gdy wreszcie wsiadamy do auta, delikatnie chwytam szorstką dłoń Stanisława. Gładzę ją i opieram głowę o szybę. Powstrzymuję płacz.

– Przepraszam – szepczę.

– To ja przepraszam.

Powoli się uspokajam. Z każdym przejechanym kilometrem moje serce bije wolniej. Wyciągam z torebki stary brulion i kładę go na kolanach. To w nim jest mój świat.

## ANNA

Podoficer podniósł głos. Ponownie wyczytał numery, a stojąca obok mnie kobieta szturchnęła mnie w rękę.

– To ty i twoja matka – wyszeptała.

Ja i mama? Nie wiem, o co jej chodzi. Mama zrobiła krok do przodu i pociągnęła mnie za sobą. Potknęłam się. Spuściłam głowę, złęknioma samego spojrzenia Niemca. Chciałam go przeprosić za swoją niezgrabność.

– Ale...

Żołnierz złożył na pół jakiś dokument i gestem nakazał nam iść ze sobą. Szybkim krokiem ruszył przez plac apelowy. Nie oglądał się na nas. Szedł, nie dopuszczając myśli, że mogłybyśmy go nie posłuchać.

Nie mogłyśmy.

Mama wciąż nie powiedziała mi, czego od niej chciano w budynku administracyjnym. Teraz wydało mi się to istotne, ale przez jakiś czas powstrzymywałam się z pytaniem. W końcu nie wytrzymałam. Gdy minęłyśmy kolejne baraki, zrównałam się z nią krokiem. Przez ostatnie dni niemal nie rozmawiałyśmy. Bałam się patrzeć i słuchać. Bałam się, że mama nie będzie potrafiła odpowiedzieć albo że zmuszę ją do kłamstwa. Nauczyłam się dostrzegać, gdy nie mówi prawdy, by mnie chronić.

Miałam rację.

Na moje pytanie zareagowała gniewnym spojrzeniem, jakbym zrobiła jej krzywdę lub interesowała się czymś niewłaściwym. Po chwili jednak jej rysy złagodniały.

– Jeszcze raz chciano ode mnie wszystkie dane – stwierdziła obojętnie.

– Wypytywano o ojca, jego krewnych i tak dalej...

– Po co?

– Nie mam pojęcia. Staralam się mówić jak najogólniej i udawać, że niewiele pamiętam.

– Teraz najbezpieczniej byłoby o nim zapomnieć, prawda? – Tak o swoim mężu mówiła jedna z więźniarek. – Najbezpieczniej dla nas wszystkich. Dla niego również.

– Nie potrafiłabym tego.

– A ja...

Prowadzący nas żołnierz odwrócił się i zamilkłyśmy. Przeszliśmy jeszcze kilkadziesiąt metrów, mijając kolejne stráže. Niektórzy żołnierze byli niewiele starsi ode mnie. Nie mieli chyba nawet osiemnastu lat. Czasem obrzucali nas zaciekawionymi spojrzeniami, a znacznie częściej zachowywali się, jakbyśmy w ogóle nie istniały. To bolało najbardziej.

Z każdym krokiem w głowie pojawiały mi się nowe pomysły, gdzie jesteśmy prowadzone. Może ktoś uświadomił sobie, że to jedno wielkie nieporozumienie? Może zostaniemy zwolnione? Moją uwagę przyciągnął komin mający kilkaset metrów dalej. Serce natychmiast podeszło mi do gardła.

Na temat krematorium w ogóle się nie rozmawiało. Wiedzieliśmy, że istnieje, lecz chcieliśmy wierzyć, że związane z nim opowieści są wyolbrzymione. Że to nieporozumienia. Bajki opowiadane dzieciom, aby słuchały rodziców i nie chodziły po zmroku do lasu. A jednak było w nich coś więcej...

Zrobiło mi się niedobrze, powstrzymywałam płacz. Mimo to nie odważyłabym się choćby odrobinę zwolnić kroku. Szłam jak pies na smyczy.

Tyle że bez smyczy.

Wreszcie skręciliśmy ku niewielkiemu barakowi, przed którym stał strażnik. Otworzył przed nami drewniane drzwi i przepuścił nas do środka. Po chwili usłyszałam, jak prowadzący nas żołnierz strzela obcasami. Zdawało mi się, że następnie wyszedł.

Znalazłyśmy się w niskim, ale widnym pomieszczeniu. Stały w nim biurko i kilka metalowych szafek. Na ścianach wisiały flaga ze swastyką oraz portret Hitlera. Zza biurka wstał mniej więcej czterdziestoletni oficer SS. Miał gładko ogoloną twarz, niebieskie oczy i wysokie czoło, nad którym zaczesał do tyłu płowe włosy.



– Pani i panna Dunajewskie... – odezwał się szorstkim, lecz zrozumiałym polskim.

Nie odpowiedziałyśmy. Oficer z delikatnym uśmiechem wskazał na krzesła naprzeciwko biurka.

Posłusznie usiadłyśmy. Nie miałyśmy odwagi się odezwać. Przez kilkadziesiąt sekund panowała całkowita cisza. Zza okna dobiegał czyjś stłumiony wrzask, lecz nie dało się odróżnić poszczególnych słów.

Oficer przyglądał się nam z zaciekawieniem. Przechylił głowę, jakby oceniał nas pod każdym kątem. Słyszałam o rozmaitych eksperymentach, które ponoć prowadzono w obozie, i poczułam, jak po plecach spływa mi dreszcz. Mama splotła dłonie i siedziała kompletnie nieruchomo. W trwającej zbyt długo ciszy zwróciłam uwagę na jej płytki, przyśpieszony oddech.

Wreszcie oficer sięgnął do szafki i wyciągnął z niej butelkę czerwonego wina. Po chwili nalał je do trzech kryształowych kieliszków.

– Proszę. – Przesunął dwa z nich w naszą stronę.

Żadna z nas się nie poruszyła, ale on nie zwrócił na to uwagi. Sam sięgnął po swój kieliszek i upił łyk.

– Przykro mi, że panie tu trafiły. Naprawdę mi przykro. – Westchnął. – Na razie nie mogę jednak nic na to poradzić, choć bardzo bym chciał. Podkreślam: na razie. Zrobię, co w mojej mocy, i myślę, że możemy być dobrej myśli... – SS-man upił kolejny łyk wina i przytrzymał je przez chwilę w ustach. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Przeniósł spojrzenie ze mnie na mamę i z powrotem. – Wiem, że pan Dunajewski zaginął. – Wymownie zabębnił palcami w blat biurka. – Mam pewne informacje, ale jeszcze niepotwierdzone, dlatego...

Mama drgnęła.

– Co to za informacje? – weszła mu w słowo.

– Na razie nie chcę o nich mówić. Wkrótce być może będę wiedział więcej.

– Ale...

Oficer uniósł dłoń, dając znać, żeby mu nie przerywać.

– Słyszałem o waszej rodzinie – ciągnął. – Przed wojną mój stryj jeździł na polowania w okolice waszego majątku. Wspominał nawet, że kilkakrotnie polował z ojcem hrabiego Dunajewskiego. A może nawet z nim samym, choć tego, niestety, już nie ustalimy. – Rozłożył ręce

i ponownie westchnął. – Stryj w zeszłym roku oddał życie za ojczyznę. Ale pań to nie interesuje. Przyznam jednak, że słyszałem o waszej słynnej kolekcji grafik i zacności domu. Takie rzeczy w dzisiejszych czasach ceni się w dwójnasób.

– Dziękuję – powiedziała mama lodowato, jakby poczuła się w obowiązku to zrobić. Jakby słowa Niemca rozbudziły w niej potrzebę udowodnienia, że owszem, jest tak, jak mówi, nawet teraz, nawet w tych parszywych warunkach.

Oficer uśmiechnął się. Odsunął kieliszek i oparł się na biurku.

– Pomogę wam – wyszeptał.

Niewidzialna pętla zacisnęła mi się na szyi. Powinnam poczuć ulgę, lecz nagle urósł we mnie strach. Nie chciałam niczyjej pomocy. Chciałam, żeby dano nam święty spokój. Po co to gadanie o Tobie, Tato? Po co to wszystko? Czy nie łatwiej, żeby nas po prostu wypuścili?

Mamę musiały dręczyć dokładnie te same wątpliwości.

– Dlaczego tu jesteśmy? – zapytała. – Nie mogę od nikogo uzyskać tej podstawowej informacji.

Oficer gwałtownie się wyprostował i odchrząknął.

– Wszystko zostanie wyjaśnione we właściwym czasie. Nie dysponuję wszelkimi danymi, a o aresztowaniu pań dowiedziałem się... – Przez chwilę szukał właściwego słowa. – ...przez przypadek. Tak chyba mówicie?

Mama nachyliła się w jego stronę. Widziałam, że jej dłonie drżą. Zapewne starała się opanować drzenie głosu. Przełknęła ślinę i dumnie podniosła głowę. Spojrzała SS-manowi prosto w oczy, a ten, o dziwo, po chwili odwrócił wzrok.

– Dlaczego chce pan nam pomóc?

Oficer wzruszył ramionami. Zerknął na drzwi i odezwał się szeptem:

– Wierzę w historię i przeznaczenie. Skoro nasze rodziny już się kiedyś zetknęły, a do tego spotkanie to przebiegało nader przyjemnie... – Machnął ręką, jakby to było najmniej istotne. – Poza tym nie jesteście najgorszym bydłem, jakiego pełno w Polsce. Macie germańskie rysy, a szkoda, żeby element czysty rasowo gnił w tym miejscu.

Mama drgnęła.

– To obrzydliwe.

– Ach tak?

– Gardzę waszymi teoriami rasowymi.

Oficer uśmiechnął się tak szeroko, że odsłonił nieco krzywe białe zęby. Był całkowicie odprężony. Założył ręce na piersi i przeniósł wzrok na mnie.

– Nie wiem, dlaczego tak ochoczo wzbraniacie się przed pomocą i zaprzeczacie okolicznościom, które wam sprzyjają. Nigdy nie zrozumieć was, Polaków. Ale to nieistotne. – Powoli podniósł się od biurka, dając znać, abyśmy zrobiły to samo. – Potrzebuję służby – odezwał się, prowadząc nas do drzwi. – Daję słowo, że nie będzie to nic upokarzającego, a tylko w ten sposób mogę zapewnić paniom nieco bezpieczeństwa. Nie oczekuję żadnych podziękowań. – SS-man otworzył drzwi i przywołał strażnika. – To będzie dla mnie honor – rzucił na odchodne.

## GRETA

Odkładam brulion i gładzę stronę. Wyobrażam sobie, że Anna również jej dotykała. Padały na nią promienie tego samego słońca, które świeci także dzisiaj. Co prawda, papier nie był wtedy tak pożółkły, a rogi kartek – pozaginane.

Ta jedna chwila przybliża nas i niemalże spaja. Gdy czytam pamiętnik, moje myśli na ułamki sekund stają się jednością z myślami Anny. Czuję jak ona, widzę to, co ona widziała, i jestem tak samo zdezorientowana.

Współczuję jej.

Moment później obwiniam się o to wszystko i mam ochotę wrzeszczeć na cały głos. Dlaczego to się wydarzyło? Dlaczego miałam w tym wszystkim udział?

Czy udało się jej przeżyć wojnę? Chciałabym przekartkować kolejne strony, ale coś mnie powstrzymuje. To byłoby oszustwo. Zakneblowałabym tę niewinną dziewczynę. Muszę wysłuchać jej historii i przyjąć z godnością każde słowo, każde oskarżenie i każdy ból. Nie mogę o niej zapomnieć choćby na chwilę.

A kiedy skończę, zacznę czytać od początku. I znów. Albo znajdę kogoś, w kim ta historia pozostanie dłużej niż we mnie. Przekażę pamiętnik do muzeum lub do biblioteki. Niech go ktoś umieści w internecie. Niech stanie się lekturą, bestsellerem, obowiązkowym świadectwem historii...

Te myśli mkną i natychmiast się rozwiewają. Chciałabym je łapać, lecz nie nadążam sama za sobą. Głęboko nabieram powietrza i przygryzam wargę. Mam zmęczone oczy, a mimo to chcę czytać dalej. Muszę czytać dalej...

Przenoszę wzrok za okno i przyglądam się szumiącym na wietrze brzozom. Kiedyś chyba je całkiem lubiłam, lecz ich szpaler rósł niedaleko obozu. Tego wspomnienia nie udało mi się nigdy pozbyć. Tkwi we mnie, choć nie jest już dość ostre. Już nie rani mnie jak brzytwa.

Słońce przyjemnie oświetla podwórze. Na trawie kładą się długie cienie, plama światła pada na ścianę. Słyszę radosny śpiew ptaków. Pewnie na dworze jest całkiem ciepło. Powinnam się przejść, lecz nie mam siły. Najpierw muszę spędzić jeszcze kilka chwil z Anną.

Tyle że... Niepokoi mnie, dokąd zmierza ta historia. Zdenerwowanie rośnie mi w gardle i przyprawia o drżenie dłoni. Czy ta dziewczynka przeżyła to piekło? Czy stanie się na wieki moim kolejnym wyrzutem sumienia, tak jak setki tysięcy innych, anonimowych?

Człowiek, którego widziałam w kombinezonie lotnika, nie miał imienia. Nadano mu numer. Dowiedziałam się o tym kilka lat po wojnie, gdy sumienie kazało mi poznać jego losy. Myślałam o nim często przez wiele dni. Ojciec już nigdy nie zająknął się na jego temat. Zapewne gdyby eksperyment się udał, powiedziałyby mi o tym, choć trzeba też pamiętać, że jemu podobni interpretowali świat nieco inaczej. Każdy eksperyment był udany. Odrzuciwszy jedną absurdalną teorię, przechodzono do kolejnej. Zmniejszano ich pulę, kierując się ku tej, która okaże się rozwiązaniem problemu.

Tak, wiem o kilku z nich.

O zbyt wielu.

Aparaty rentgenowskie jeżdżące na betonowych szynach, które naświetlały jądra mężczyzn skazanych na sterylizację ze względów rasowych. Efekt był mizerny, wywoływano ropne owrzodzenia i rany oparzeniowe. Dla odmiany do kobiecych narządów rodnych robiono zastrzyki z formaliny, która miała wywołać niedrożność jajowodów. Zabieg przede wszystkim powodował jednak piekielny, niedający się opisać ból.

Nieświadomym niczego więźniom podawano do jedzenia ludzkie mięso, sprawdzając jego wartości odżywcze oraz reakcję organizmu na kanibalizm. Oczywiście, część tych reakcji można było sprawdzić jedynie w trakcie autopsji.

Weryfikowano zdolność przetrwania bez jedzenia i picia. W gorącu i zimnie. Wszczepiano wirusy oraz bakterie. Obserwowano ich rozwój na żywej ludzkiej tkance. Przeszczepiano chore narządy i przetaczano krew między bliźniętami. Łamano kończyny, by obserwować proces zrastania się tkanki kostnej. Bez znieczulenia przeszczepiano ręce i nogi. W serca więźniów w stanach agonalnych wstrzykiwano benzynę, by sprawdzić,

czy taki zabieg nie poprawi ich stanu. Eksperymenty, szaleństwa, sukcesy...

Więzień w kombinezonie lotniczym został wyciągnięty z lodowatej wody, a następnie wylano na niego wrzątek. Dwie obozowe prostytutki miały za zadanie go rozgrzać. Lekarze co chwilę sprawdzali temperaturę jego ciała, ale niestety zmarł. W zachowanym do dziś raporcie nie ma ani jednej wzmianki o moim ojcu. Zapewne tak jak i w raportach na temat setek innych więźniów, których śmierci się przyglądał.

Ta myśl zawsze przyprawia mnie o dreszcze. Śmierć była tak blisko mnie, a ja niemal nie miałam o tym pojęcia.

Ocieram oczy chusteczką i poprawiam okulary. Przecieram zaparowane szkła. No dobrze. Czas zmierzyć się z prawdą. Nie mogę tego dłużej odwlekać i uciekać we własne wspomnienia. Te są nic niewarte, poza wstydem.

Poprawiam się w fotelu, a brulion zsuwa mi się z kolan. Próbuję, ale nie udaje mi się go złapać. Spada na podłogę. Przechylam się ponad oparciem, po czym sięgam po niego. Mrużę oczy.

Coś wypadło ze środka i leży na dywaniku. Boję się, że zeszyt się rozpadł, ale to nie jest kartka. To coś innego. Sięgam po prostokątny kartonik.

Podnoszę go i obracam w dłoni. To czarno-biała fotografia, która musiała być włożona między dalsze strony. Poprawiam okulary i uważnie przypatruję się zdjęciu.

To portret ładnej dziewczynki z chustą na głowie. Być może chusta przykrywa włosy, być może dziewczynka jest łysa. Uważnie lustruję jej twarz. Regularne rysy, bystre oczy i prosty nos. Jej wargi są pełne, a podbródek – okrągły.

Ja...

– Boże... – Przytykam dłoń do ust.

Krew uderza mi do głowy i czuję, jak rozsadza skronie. Niepokój drapie mnie w gardle. Momentalnie ozywają tysiące wspomnień, które zlewają się w jeden wyraźny obraz.

Dokładnie tak ją zapamiętałam.

Znałam Annę.

– Alicjo, posłuchaj mnie... Przecież... To szaleństwo.

– Uspokój się, proszę, i powiedz po kolei, co się stało. Nic nie rozumiem.

– Przecież... Jakim cudem? Po tylu latach?

– Ciii... Spokojnie.

– Jakby dopadła mnie właśnie po tylu latach. Boże! Wszystko wydawało mi się już tak odległe, tak dawne. Mówiłam, że żyję tym i że trzymam w sobie te wspomnienia, ale to nie była prawda. One się zatarły i nie wiązały się z nimi żadne emocje. Po prostu tkwiły we mnie. Kiedy twierdziłam, że mam wyrzuty sumienia, zwyczajnie kłamałam.

– Znów się obwiniasz. W ten sposób nic...

– Jakby spadła na mnie klątwa. Jakby po tych wszystkich latach prawda znowu mnie dopadła. Nigdy od niej nie uciekałam, lecz... Rozumiesz mnie?

– Musisz się uspokoić. Weź kilka wdechów i powoli wypuszczaj powietrze.

– Ja...

– Zrób to.

– Dobrze.

Wciągam powietrze i momentalnie zaczynam kaszleć. Emocje są we mnie zbyt silne.

– Nie potrafię!

– Powiedz mi, kto był na tym zdjęciu.

– Anna.

– Znałaś ją? Widziałaś ją kiedykolwiek?

– Boże. Tak, ona...

– Możesz mi powiedzieć, która godzina?

Szlag. Nie wierzy mi.

– Nie diagnozuj mnie! Jestem teraz w pełni świadoma i dokładnie wiem, który mamy rok, godzinę i dzień tygodnia. Wiem, gdzie jestem, do cholery. Zdaję sobie sprawę, że to zupełnie niewiarygodne, ale musisz mi uwierzyć!

– Nie krzycz na mnie. Przecież chcę dla ciebie jak najlepiej. Muszę się zastanowić, jak ci pomóc...

Wstrzymuję na kilka sekund powietrze i znów kaszlę. Dłonie drżą mi tak, że z trudem przytykam telefon do ucha. Na zmianę chce mi się

płakać i furiacko śmiać.

– Przecież to niemożliwe... – powtarzam. – To jakiś cholerny przypadek.

– Może ona jest tylko podobna?

Nie. Wpatrywałam się w to zdjęcie przez prawie godzinę. Analizowałam każdy szczegół i porównywałam ze wspomnieniami. Nie mam wątpliwości. Fotografie wykonano w miejscu, które doskonale znałam. Podobne zbiegi okoliczności nie istnieją.

– Przyjedziesz do mnie? Możemy się dzisiaj spotkać?

Alicja ponuro wzdycha.

– Jestem na drugim końcu Polski. Moja chrześniaczka ma urodziny, a jej rodzice postanowili wyprawić wielki bal.

– Przepraszam, że cię odrywam...

– Nie, nie! Nie masz mnie za co przepraszać. Zaraz podam ci kontakt do kogoś innego. Albo...

– Nie chcę.

– Zobaczmy się jutro lub pojutrze. Postaram się zadzwonić jak najszybciej... Zresztą ty też możesz dzwonić do mnie o każdej porze. Rozumiesz?

– Tak.

– Zrobisz to, gdy tylko poczujesz taką potrzebę?

– Nie przejmuj się. Może naprawdę mi się wydawało.

Odkładam słuchawkę i opieram się o blat szafki. Kręci mi się w głowie, a w ustach czuję potworną suchość. Alicja powinna mi pomóc.

Powinna przyjechać, choćby była na drugim krańcu Europy. Takie sytuacje nie powinny w ogóle mieć miejsca.

Z zamyślenia wrywa mnie dzwonek telefonu. Podrywam się i przez kilka sekund wpatruję się w czarny aparat. Mahoniowa szafka, na której stoi, pamięta tamte czasy. Pamięta obie wojny i mnóstwo cierpień. Pamięta Annę.

Delikatnie podnoszę słuchawkę i trzymam ją tuż nad bazą. Po chwili odkładam ją z powrotem na miejsce. Rozlega się elektroniczne kliknięcie, informujące o tym, że ktoś nagrywa się na pocztę głosową. Wiem o tym, ale nigdy nie potrafiłam odsłuchać tych wiadomości.

Nie. Nie mam prawa obwiniać o nic Alicji. Chciała mi pomóc i robiła wszystko, co mogła. Nie powinnam jej zawracać głowy.



To moja pokuta. Jeżeli w ten sposób mogę uratować się od piekła, proszę bardzo. Zniosę to wszystko bez mrugnięcia okiem. Tylko, Boże, daj mi znak, że mam chociaż cień nadziei. Że nie jestem już potępiona na wieki. Że tego popołudnia nie trafiłam do piekła...

Błagam Cię.

Z powrotem siadam w fotelu i biorę brulion. Powoli go otwieram. Przekartkowuję przeczytane strony. Staram się nie patrzeć na zdjęcie, które położyłam na podłokietniku, lecz nie mogę odwracać oczu od Anny. Niech spogląda na mnie oskarżycielsko i przypomina mi każdą chwilę.

Każdy moment z czasu, gdy trafiła do naszego domu, a ja w dziecięcej naiwności liczyłam, że będzie dla mnie jak siostra.

Tak. Traktowałam ją właśnie jak siostrę.

## ANNA

Po rozmowie z oficerem SS zostałyśmy odesłane z powrotem do naszego bloku. Za kilka dni miano nas oficjalnie przenieść do jego domu, ale tłumaczył, że potrzebuje trochę czasu, gdyż wiązały się z tym formalności oraz konieczność weryfikacji. Weryfikacji – właśnie takiego słowa użył. Przez ostatnie dni słyszałam je wielokrotnie.

– Pani Dunajewska – powiedział na pożegnanie – proszę się o nic nie martwić.

Żołnierz pośpiesznie odprowadził nas do właściwego bloku. Nie zachowywał się tak, jak wcześniej. Szedł tuż obok nas i pilnie się nam przyglądał. Nie odezwał się jednak ani słowem. My również zachowałyśmy pełne skrępowania milczenie.

Nie przydzielono nas do żadnej pracy, lecz nakazano pozostać w zamkniętej przestrzeni przed barakiem. Usiadłyśmy na ziemi i popatrzyłyśmy na siebie, nic nie rozumiejąc. Pod oczami mamy dostrzegłam głębokie zmarszczki, których nie było tam wcześniej. Jej usta zapadły się, a skóra na policzkach nienaturalnie napięła. Wciąż nie przyzwyczaiałam się do jej wygolonej do skóry głowy. Jej spojrzenie również przemknęło po mojej czaszce. Chwilę później w jej oczach zaskrzyły się łzy. Wiedziałam, że w jakiś pokrętny sposób czuje się za to wszystko odpowiedzialna. Ludzie potrafią szukać w sobie winy za wydarzenia, na które nie mogli mieć najmniejszego wpływu. Robią tak, ilekroć te dotyczą ich bliskich. Wiem, Tato, że też czujesz się winny. I proszę Cię, błagam, nie myśl tak, bo to nie Twoja wina. To świat się zawalił. Jeśli to czyjakolwiek wina, to wyłącznie Boga.

– Myślisz, że on naprawdę znał tatę? – zapytałam, by przerwać ciszę, a tylko to przychodziło mi do głowy. – Czy kłamał?

Wokół nas nie było nikogo. Wszystkie kobiety z bloku przebywały w obozowych zakładach. Do pory posiłku – miski obrzydliwej zupy –

zostało jeszcze trochę czasu.

Mama westchnęła.

– Nie mam pojęcia. Nawet się nie przedstawił, ale sporo o nas wiedział. Ojciec polował z wieloma osobami... Swego czasu przyjeżdżał ktoś z Bawarii, więc kto wie?

Jej spojrzenie powędrowało gdzieś w górę, ku niemal bezchmurnemu niebu. Widziałam, że przez te kilka sekund się modli. A może rozmawiała z Tobą, Tato? A może to to samo?

Wstydziłam się przerwać tę chwilę mistycznego zamyślenia. W końcu mama opuściła głowę i uśmiechnęła się blado. W głowie kłębiło mi się mnóstwo pytań.

– Myślisz, że nam pomoże?

– Dopytujesz jak małe dziecko. Wiem tyle co ty...

– Wydawało mi się, że mówił szczerze.

Potrzebowałam pocieszenia i jakiegokolwiek nadziei. Ale sam wiesz, Tato, że mama woli czegoś nie powiedzieć, niż skłamać. Zawsze taka była. Skinęła tylko głową i pogładziła mnie po policzku.

– Kocham cię – wyszeptała.

I w tych dwóch słowach zawarły się dla mnie cała nadzieja, pocieszenie i radość. Nie byłam sama na świecie. Te słowa i jej dotyk wystarczyły, żebym na moment poczuła się lepiej.

Przez jakiś czas siedziałyśmy w zupełnej ciszy. Nie wiem, jak długo to trwało. Z zadumy wyrwał nas gwar rozmów za plecami i szuranie kroków. Usłyszałam czyjś nerwowy śmiech. Po chwili dołączyły do niego wyzwiska.

Odwróciłam się i zobaczyłam grupę więźniarek z naszego baraku. Musiały zostać zluzowane w pracy, lecz nigdzie nie widziałam strażników. Nadal nie mogłam zrozumieć zasad panujących w obozie.

Jedna z kobiet wysunęła się na czoło grupy i sarkastycznie parsknęła. Wskazała na nas pokrzywionym palcem.

– Mówiłam, że to niemieckie kurwy – wycedziła. – Od razu było widać.

Wstałyśmy, matka zrobiła krok w jej stronę. Mimo to zaraz instynktownie się zatrzymała. Jak udomowione zwierzę, które, początkowo gotowe się łączyć, decyduje się zachować dystans do obcego człowieka.

– Ale ja... – odezwała się, lecz więźniarka nie pozwoliła jej skończyć.

– Cisza! Nikt cię nie pytał o zdanie.

– Pozwólcie mi...

– Powiedziała: cisza! – Więźniarka odwróciła się do tej przeraźliwie bladej, która niedawno się za mną wstawiła. – Dalej uważasz, że są takie niewinne?

Utkwiłam w niej błagalne, zrozpaczone spojrzenie. Znowu była naszym ostatnim ratunkiem. W myślach modliłam się, żeby opowiedziała się po naszej stronie. Jednak nie odezwała się. Spuściła głowę i cofnęła się poza krąg otaczających nas osób.

Byłam pewna, że zostaniemy zlinczowane. Spodziewałam się, że lada moment spadnie na nas grad ciosów i kopniaków.

Mama stanęła tuż obok mnie. Zasłoniła mnie swoim ciałem i dumnie uniosła głowę.

– Co się gapicie? – zapytała hardo, choć ja wyczułam w jej głosie nutę strachu. – SS-Hauptsturmführer to nasz dawny przyjaciel i musi wyjaśnić nieporozumienie, w wyniku którego się tu znalazłyśmy. Czy komuś to przeszkadza?

Jedna z więźniarek splunęła, lecz mama nie zwróciła na to uwagi. Mówiła coraz głośniej.

– Jeżeli coś stanie się mojej córce albo mnie, daję słowo, że cały blok skończy marnie. Rozumiecie? Teraz nie mam nic do żadnej z was. Ale nie warto robić sobie ze mnie wroga.

Przez kilka sekund więźniarka, która splunęła, świdrowała mamę wyzywającym spojrzeniem. Wreszcie spuściła wzrok i się odwróciła. Ostentacyjnie odwróciła się również większość pozostałych kobiet.

Niech robią, co chcą.

Dopiero wtedy mama odetchnęła.

Tej nocy obie nie spałyśmy. Przez wiele godzin słyszałam jej stłumiony płacz. Nie wiem, czy wstydziała się tego, że skłamała, czy tego, jak brzmiało to kłamstwo.

Formalności i weryfikacja trwały niespełna dwa dni. Przez ten czas nie odezwała się do nas żadna współwięźniarka, w naszym towarzystwie nie jadły, nie patrzyły na nas. Traktowały nas, jakbyśmy nie istnieli. Jeżeli

któraś na nas przypadkiem spojrzała, momentalnie na jej twarzy pojawiał się wyraz wstrętu i pogardy.

Mimo że mama nie pamiętała, by ojciec spotykał się przed wojną z jakimkolwiek SS-manem, to autentyczność tej historii podkreślała każdym gestem. Oczywiście tylko wtedy, gdy widzieli ją inni. W chwilach, gdy wiedziała, że patrzę na nią wyłącznie ja, natychmiast wyzbywała się tej pozy.

Mama gardziła sobą. Wiedziała, że robi coś wstrętnego, coś graniczącego z kolaboracją. A może to już była kolaboracja?

W każdym razie rozumiałam, że robi to dla mnie. Nie liczyło się nic innego. Gdyby obiecano jej, że opuszczę obóz, bez mrugnięcia okiem zostałyby w nim za mnie. Myślałam o tym i obciążało to moje sumienie. Wszyscy jesteśmy winni...

Wczoraj po popołudniowym apelu jeden z żołnierzy wezwał nas na stronę. Z satysfakcją odnotował nienawiść, z jaką obserwowały nas inne osadzone. Uśmiechnął się.

– Od jutra zaczynacie służbę dla Rzeszy – odezwał się żartobliwym tonem, umyślnie głośniej, niż było to potrzebne. Nie miałam pewności, czy dobrze rozumiem jego niemiecki. – Przygotujcie się. SS-Hauptsturmführer już czeka.

To było wszystko.

Wiele godzin później nadeszła najgorsza noc mojego życia. Gdy położyliśmy się na pryczy, wokół rozległo się buczenie. Więźniarki z dolnych łóżek waliły dłońmi o podłogę. Nie rozumiałam, dlaczego to robią. Czy nawet gdyby historia mamy okazała się prawdą, byłaby to nasza wina? Czy nie skazując się na potępienie wraz z całym światem, a ratując same siebie, robiłyśmy coś złego? Być może złościsz się na nas za to, Tato. Ale mama zachowała się tak tylko dlatego, że od tylu miesięcy Cię nie było. Że ciepłego sierpniowego wieczoru wyszedłeś z domu i od tej pory Cię nie widziałyśmy. Byłam wszystkim, co miała mama. I ona teraz jest dla mnie wszystkim.

Tej nocy po raz kolejny niemal nie zmrużyłyśmy oczu. Zdaje mi się, że dopiero nad ranem zapadłam w krótką, nerwową drzemkę. Pamiętam postrzępione fragmenty koszmaru. Była noc i stałam przy dogasającym ognisku. Nagle z ciemności zaczęli się wynurzać ludzie. Głównie kobiety, ubrane w obozowe pasiaki, ale wszystkie dziwnie pochylone. Dopiero po

chwili zdałam sobie sprawę, że nie mają głów. Zbliżyły się do mnie, wyciągając dłonie. Bałam się ich, zaczęłam piszczeć, a jedynym miejscem, gdzie mogłam uciec, był środek ogniska. Weszłam do niego i wtedy ogniem zajęła się moja piękna zielona sukienka. Mimo że płonęłam, nie uciekałam. Bardziej bałam się tych bezgłowych upiorów niż śmierci.

Obudziłam się z krzykiem, a mama pochylała się nade mną.

– Już po koszmarze. Spokojnie. – Poglądziła mnie po czole i odgarnęła nieistniejący pukiel włosów. Uśmiechnęła się. – Już po wszystkim...

Niedługo później zaczął się poranny apel. Bezpośrednio po nim ponownie zostałyśmy wywołane na stronę, a potem odprowadzono nas do bramy obozu. Nigdy nie słyszałam równie pogardliwych wrzasków i gwizdów co wtedy. Zostałyśmy wyklęte.

Prowadzący nas żołnierz nie zwracał na to uwagi. Przy bramie pokazał strażnikom jakieś dokumenty, a potem kazał nam iść przed sobą wąską, błotnistą ścieżką. Znalazłyśmy się na wolności, choć nie byłyśmy wolne. Ta myśl przyszła mi do głowy i przez cały czas chciałam się nią z Tobą podzielić. To głupie.

Mimo wszystko poczułam się rażniej. Choć wyrzucałam sobie, że tyle podobnych nam kobiet i mężczyzn zostało w środku, a los uśmiechnął się akurat do nas, naprawdę czułam się lepiej. Lęk, który stale towarzyszył nam przez poprzednie dni, nieco się rozwiął. Zaciśnięta na moim żołądku dłoń powoli się rozluźniała.

Przecież to nie moja wina. Przecież nie robiłam tym nikomu żadnej krzywdy.

A jednak mimo całej tej ulgi czułam się podle. Czym sobie zasłużyłyśmy na to wyjątkowe traktowanie? Słuszne wydawało mi się to, że cała ludzkość powinna umrzeć jednocześnie. Wtedy nie byłoby lepszych i gorszych. To byłoby sprawiedliwe.

Te wszystkie myśli towarzyszyły mi, gdy prowadzono nas na podwórze niewielkiej willi. Zbudowano ją w stylu typowym dla końcówki ubiegłego wieku i nie było w niej nic szczególnego. Miała dwukolumnowy portyk, nad którym znajdował się balkon z niską barierką w formie kolumnady. Do głównych, dwuskrzydłowych drzwi prowadziło kilka stopni. Po obu stronach domu umieszczono po trzy okna. Całość krył łamany dach. Nad

portykami znajdowały się balkon oraz wykusz. Willa miała smutny gołębi kolor, który ożywiały białe okna i drzwi.

Zadbane podwórze otaczały sosny, a w gazonach widać było nierozkwitłe jeszcze kwiaty. Na podjeździe stał wypolerowany czarny samochód z lśniącymi chromami. Tuż przy nim prężył się strażnik z zarzuconym na plecy karabinem.

– Tędy... – Prowadzący nas żołnierz wskazał na ścieżkę wokół domu.

Bez słowa poszliśmy za nim i znalazłyśmy się przed niskimi bocznymi drzwiami. Było to wejście dla służby, prowadzące do pomieszczeń gospodarczych. Widziałam, że mama przygryzała usta, ale starała się nie zdradzić żadnych emocji.

– Anno...

Przepuściła mnie i zanurzyłyśmy się w półmroku wilgotnego korytarza, łączącego się zapewne z podpiwniczeniem.

Żołnierz poprowadził nas jeszcze kilka kroków i pchnął krzywe, skrzypiące drzwi, z których obłaziła farba.

– Herr Hauptsturmführer kazał się umyć i przebrać.

Nim zdołałyśmy pojąć znaczenie tego prostego rozkazu, drzwi za nami się zamknęły. Byłyśmy w ciasnym, ciemnym pomieszczeniu, w którym cuchnęło benzyną. Do środka trochę światła wpadało jedynie przez prostokątny świetlik. Przed nami stała spora, wypełniona wodą balia. Na jej brzegu wisiały ręczniki i stał komplet przyborów toaletowych. Na lewo od balii znajdował się drewniany wieszak, na którym zawieszono kilka prostych, schludnych sukienek, przypominających fartuchy służby. Niżej umieszczono kilka par butów.

Na kilka sekund zamarłyśmy w milczeniu. Zapewne dręczyły nas te same myśli, ale nie chciałyśmy ich zdradzić nawet przed sobą. Z odrętwienia wyrwało nas dopiero mocne stukanie do drzwi.

– *Schneller!* – Krzyk żołnierza dobiegł zza drzwi.

Pośpiesznie się rozebrałyśmy i pokonując wzajemny wstyd, weszłyśmy do bali. Kąpiel nigdy nie sprawiła mi podobnej ulgi. Nie czułam przyjemności, lecz mięśnie się rozluźniły. Spłynęło ze mnie napięcie bezsennych nocy. Obtarta przed kilkoma dniami stopa piekła, ale było w tym jakieś niezwykle odprężenie. Spłukiwałam z siebie pot, strach i wyrzuty sumienia. Spłukiwałam wątpliwości.

Po kilku minutach Niemiec ponownie nas ponaglił. Wyszliśmy z wody i wytarliśmy się pachnącymi ręcznikami. Ubrałyśmy się, nie komentując ani słowem pozostawionych nam sukien. W ogóle niemalże nie rozmawiałyśmy, jakbyśmy nadal się czegoś wstydziły.

Wreszcie wyszliśmy na korytarz. Żołnierz obrzucił nas kpiącym spojrzeniem i wskazał głową w stronę przeciwną do tej, z której przyszliśmy. Po kilku metrach z mroku wyłoniły się betonowe schodki. Prowadziły do kolejnych drzwi. Wreszcie znalazłyśmy się na górze, w przestronnym holu, do którego prowadziły również dwuskrzydłowe drzwi główne.

– Czekać! – nakazał Niemiec.

Rozejrzałyśmy się po wnętrzu. Na piętro willi prowadziły zaskakująco szerokie schody z elegancką barierką. Budynek musiał mieć rozbudowaną część, której nie było widać od frontu. Wchodząc bocznym wejściem, nie zwróciłam na nią najmniejszej uwagi. Szłam tu z pochyloną głową i wzrokiem wbitym w ziemię.

Na parterze znajdowały się, poza tymi, którymi weszłyśmy, trzy pary drzwi. W rogu stał wysoki, czerniony zegar z mosiężną tarczą. Z odległości kilkunastu kroków słychać było tykanie jego mechanizmu. W okrągłym otworze rytmicznie przesuwiała się lśniąca soczewka wahadła. Ponad nami zwieszał się duży zyrandol, taki sam, jaki był widoczny na półpiętrze.

W willi dominował nieokreślony, duszny zapach, który spotyka się czasem w opuszczonych budynkach. Mimo że jedno z okien było uchylone, powietrze zdawało się nieruchome.

– Wejść!

Drgnęłam. Żołnierz skinął na drzwi na prawo od głównego wejścia. Uchylił je i wciąż trzymał dłoń na klamce.

Posłusznie skierowałyśmy się do kolejnego pomieszczenia. Działyśmy całkowicie automatycznie, jakby naszymi ruchami kierowała zewnętrzna siła. Mimo że nasze ubrania nie były wygodne, nie zwracałyśmy na to uwagi. Mama położyła dłoń na moich plecach, pozwalając mi iść przodem.

Weszłam do kwadratowego gabinetu. W oczy rzucił mi się zbiór książek. Były ich tysiące. Upchnięte w masywnych szafach bibliotecznych, na zwykłych regałach i w stertach na podłodze. Zza nich



wyglądało kilka obrazów oraz zegar ścienny z kukułką. Na środku pokoju znajdowało się proste biurko, za którym siedział Hauptsturmführer. Jego czapka leżała na blacie obok przyborów piśmienniczych i popielniczki z rżniętego szkła.

– Drogie panie! – Niemiec poderwał się i szeroko uśmiechnął. Następnie odezwał się z przesadną kurtuazją: – Tak jak obiecałem, udało mi się doprowadzić wszystko do szczęśliwego końca. Siadajcie. – Wskazał na fotele ze skórzanym obiciem i zaczął, aż usiądziemy. Wtedy oparł się oburącz o biurko, po czym nachylił w naszą stronę. – Jeszcze się nie przedstawiłem. Panie wybaczą, że ja znam wasze nazwisko, a wy nic o mnie nie wiecie. – Wyprężył się i skinął głową. – Jestem Bawarczykiem, oficerem SS, ale również waszym szczerym przyjacielem. Nazywam się Martin Rott.

## GRETA

Boże, miałam rację.

A więc to nie jest jedynie wytwór starczego, ogarniętego chorobą umysłu. Nie jest to omam ani zaburzone wspomnienie...

Dłoń drży mi tak mocno, że nie mogę czytać. Muszę się uspokoić. Moje nazwisko znajduje się na kartach tego dziennika. To nie tylko dowód, lecz także świadectwo. Akt bezpośredniego oskarżenia...

Wpatruję się w to jedno słowo, które rozmazuje mi się przed oczami. Mimo to wyraźnie widzę nakreślone nieco dziecinnym pismem:

Rott.

Rott.

Rott.

Ciekną mi łzy, lecz ich nie ocieram. Raz po raz pociągam nosem.

Jest mi tak bardzo wstyd. Chciałabym zniszczyć ten brulion, a jednocześnie wiem, że za wszelką cenę muszę go ocalić. Tylko w ten sposób mogę wziąć na siebie odpowiedzialność.

A może...

Do głowy przychodzi mi krzepiąca myśl. Może ojciec wcale nie był zbrodniarzem, a uratował te dwie kobiety? Może uratował więcej osób, jak Schindler albo ten łysy fabrykant z Łodzi? Dlaczego zadbał o Annę i o jej matkę?

Nieco się uspokajam. Spoglądam za okno i patrzę na przesuwane się po niebie stalowe chmury. O szyby zaczyna tłuc deszcz. Nawet nie zauważyłam, kiedy zaszło słońce. Do pokoju wpadają porywy chłodnego wiatru, który świszczuje pod drzwiami. Na dworze nie widzę nikogo. Drzewa gną się, a deszcz coraz głośniejsz stukając w szybę. Przeciąg z trzaskiem zamyka lufcik.

W oddali przetacza się grzmot i po chwili niebo rozjaśnia błyskawica. Zdaje mi się, że zawisała na wiele sekund. Przypatruję się jej

zafascynowana.

Błyskawica znika i moje myśli ponownie wracają do odłożonego brulionu. Oczy z powrotem mam niemal suche. W pewnym wieku jedynym sportem pozostają akrobacje na huśtawce emocji. To żart usłyszany w telewizji...

Zdejmuję okulary, po czym starannie przecieram je szmatką. Robię to dłużej niż zwykle, odwlekając czytanie. Muszę poznać dalsze losy Anny, a jednocześnie bardzo się boję każdego słowa, na które trafię.

To moje brzemię.

W oddali ponownie przetacza się grzmot, a ulewa przybiera na sile. Tym razem przykuwa to moją uwagę jedynie na ułamek sekundy. Wyglądam stronę i ponownie czytam.

## ANNA

Pan Martin Rott założył ręce za głowę. Przymknął oczy i przez chwilę pozostawał w tej pozycji. Po kilku sekundach znów na mnie spojrzał. Jego wzrok mnie krępował, ale starałam się tego po sobie nie pokazać. Uśmiechnęłam się sztucznie.

– Cóż... – SS-man opuścił ręce i położył je na blacie biurka. Obok pliku dokumentów dostrzegłam pamiętnik Benvenuto Celliniego. Książka miała ładną skórzaną oprawę i tłoczony tytuł. Było to wydanie niemieckie, podobne do włoskiego, które znajdowało się u nas w domu. Tata czasem tłumaczył mi je do snu. – Wybaczcie, proszę, to wprowadzenie bocznym wejściem. Niestety, moi przełożeni mogliby nie być zachwyceni, gdybym potraktował was z należnymi honorami.

– Drzwi, którymi się wchodzi, są bez znaczenia – odparła z godnością mama. – Tak samo jak te, którymi wynoszą nas nogami do przodu.

– Czyżbym słyszał cynizm?

– To tylko stwierdzenie faktu, panie...

Pan Rott machnął ręką. Mama zamilkła, a on sięgnął do srebrnej papierośnicy. Wyjął z niej cygaretkę, po czym zapalił. Nieśpiesznie wypuścił gęsty kłąb dymu.

– Mówiłem już, że wiem, co się stało z twoim mężem. – Gładko przeszedł z nami na ty. – A raczej, co się mogło z nim stać. Słyszałyście o naszym odkryciu pod Katyniem? Wiecie, czego dopuściła się ta bolszewicka swołocz?

Mama kiwnęła głową. Spięła się, a jej rysy – wyostrzyły. Głęboko wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła, jakby dając sobie czas na ułożenie myśli. W tym czasie SS-man lustrował nas badawczym spojrzeniem. Przez chwilę przypatrywał się mamie. Ponownie przeniósł wzrok na mnie, a ja nie potrafiłam się dłużej bezmyślnie uśmiechać. Nie wtedy, gdy wspomniał o Tobie, Tato. Chciałam mu to wykrzyczeć

w twarz. Chciałam powiedzieć, że to podłe i niegodziwe. Że nie powinien mieszać Cię do tego paskudnego świata, do którego trafiłyśmy.

– Mój mąż nie został wymieniony na ogłoszonych listach – odezwała się mama łamiącym się głosem. – Nie figuruje w spisach ofiar ani zaginionych. Jego oddział nie znalazł się wśród tych, których oficerowie zostali wywiezieni przez Armię Czerwoną.

– Właściwe służby Rzeszy weryfikują te dane.

– By wykorzystać je we własnej propagandzie!

Ostry ton mamy zbił pana Rotta z tropu. Zmrużył oczy i przeniósł na nią lodowate spojrzenie. Przez chwilę się nie odzywał. W milczeniu palił cygaretkę. Wreszcie strzepnął popiół do popielniczki i przegładził dłonią krótkie włosy. Jego nozdrza się rozszerzyły.

Powstrzymał jednak wzburzenie, po czym uśmiechnął się drapieźnie.

– Nasi eksperci mogą ustalić jego los – powiedział już normalnie. – A wiecie chyba, że nie rzucam słów na wiatr. Obiecałem, że zabiorę was z obozu, i dotrzymałem obietnicy.

– Jednak nadal jesteście więźniami.

– Tylko formalnie. Nie zamierzam was do niczego zmuszać.

– Poza noszeniem tych śmiesznych ubrań?

– Te śmieszne ubrania pozwalają wam tutaj przebywać. – Pan Rott z trudem powstrzymywał złość, a ja bałam się, że mama w końcu doprowadzi go do furii. – Wyjaśnienie, dlaczego tu przebywacie, i uwolnienie was jest nieco bardziej skomplikowane, niż sądziłem.

– Dlaczego skierowano nas do obozu?

– Nie mogę tego powiedzieć.

– W takim razie jak mogę oceniać to skomplikowanie?

Niemiec głośno wypuścił powietrze i spojrzał na mnie. Zmrużył oczy.

– Masz strasznie wyszczekaną mamę – zwrócił się do mnie. – Wyszczekaną. Takiego słowa używacie, prawda?

Przytaknęłam.

– Dostaniecie nie tylko świeże ubrania i możliwość codziennej kąpieli, lecz także swój pokój z wygodnym łóżkiem. Podoba ci się taka perspektywa?

Ponownie przytaknęłam.

– Wobec tego wytłumacz, kochanie, mamie, że tylko ode mnie zależy, czy tak rzeczywiście będzie. Chcę wam pomóc, ale jeżeli nie

potrzebujecie mojej pomocy... – Pan Rott wymownie mlasnął. – Poza tym wolałbym się nie pomylić i któregoś dnia nie pomyśleć, że próbujecie uciec. Na przykład, gdy zobaczę was rano na podwórzu przed tą willą. Mówiłem, że nie chcę was ograniczać, ale gdybym miał takie obawy, musiałbym was zastrzelić... Albo jedną z was. Musiałbym się zastanowić którą.

Mama poruszyła się nerwowo. Ukradkiem położyła dłoń na moim udzie i delikatnie zacisnęła palce.

– Dość – wyszeptała. – Proszę...

– Nie musisz o nic prosić.

– Czego oczekuje pan w zamian?

– Czy nie wyjaśniliśmy już sobie, że jesteśmy per ty? W obecności moich podwładnych mogę być SS-Hauptsturmführerem. Prywatnie nie bawimy się w konwenanse. Mam nadzieję, że ta propozycja nie stanowi nietaktu z mojej strony.

Mama puściła jego wywód mimo uszu.

– Wobec tego: czego chcesz w zamian?

– Niewiele. – Pan Martin Rott obrócił się w fotelu i założył nogę na nogę. Miał wysokie buty do jazdy konnej. Powiódł wzrokiem po upchniętych wokół książkach, po czym pogładził podbródek. – Nie będę się zagłębiał w rozkazy dzienne, notatki służbowe i zarządzenia poszczególnych dygnitarzy Trzeciej Rzeszy. Wiem jednak, między innymi z opowieści rodzinnych, o zbiorach, które były w waszym domu.

A więc o to chodziło? O pieniądze i kosztowności, które należały do naszej rodziny? Mama wyprostowała się, ale nie odezwała się nawet słowem.

– Po waszym aresztowaniu został on przeszukany. Wyjątkowo starannie – pod kątem ewentualnych dóbr mających znaczenie dla sztuki i kultury Rzeszy. Wiecie chyba, że istnieje możliwość ich nacjonalizowania.

Wyobraziłam to sobie. Żołnierzy, którzy chodzili po naszym domu. Byli w moim pokoju i przetrząsnęli moje rzeczy. Zaglądali do Twojego gabinetu, Tato! Na myśl o tym wszystkim poczułam bezgraniczną złość. Tak nie można. Świat, który pozostawiłyśmy, przestał dla mnie istnieć. Już nie było bezpiecznej oazy i miejsca, do którego mogłybyśmy wrócić.

Ich buty zdeptały świętość zakamarków, w których się chowałam i z którymi wiązały się moje wspomnienia.

Chciało mi się płakać. Pociągnęłam nosem, lecz mama spojrzała na mnie surowo. Spuściłam głowę i przeprosiłam. Przeprosiłam ją i przepraszam Ciebie, Tato, że okazałam tę słabość.

– Wiem, do czego pan... do czego zmierzasz. – Mama parsknęła z pogardą. – Obawiam się, że niewiele zostało z tego, czego szukaliście.

– Wszelkie przedmioty zostały zewidencjonowane.

– I nie zgadzały się z wyobrażeniami.

– Otóż to. – SS-mann skinął głową. – Chyba dobrze się rozumiemy.

Mama przez chwilę milczała. Wreszcie wygładziła suknię na kolanach i pochyliła się w stronę biurka.

– Niemal wszystko, co miałyśmy, wydałam na ustalenie, co się stało z moim mężem. Zostało tylko to, co znaleźliście i zewidencjonowaliście. – To ostateczne słowo wymówiła z ironią. – Sprzedałam obrazy i część księgozbioru. Musiałam opłacić listy do Czerwonego Krzyża i innych organizacji. Setki albo tysiące listów. Zapłaciłam dziesiątkom oszustów, którzy oferowali, że dzięki swoim kontaktom odnajdą mojego męża. Wszystko na marne. Nie dostałam w zamian nic, ale pieniądze zniknęły.

Pan Rott przechylił głowę i zagryzł wargę. Przez chwilę analizował, czy mama mówi prawdę. Wydawało mi się, że nieco zbladł, lecz zaraz odzyskał pewność siebie.

– Pozwolisz, że nie do końca ci uwierzę – odezwał się szorstko, już po niemiecku. – Mam ku temu ważne powody, ale zachowam cierpliwość. Poczekam, aż uznasz, że warto powiedzieć mi prawdę. – Po raz kolejny się uśmiechnął. A w zasadzie zrobiły to jedynie jego usta. Reszta twarzy pozostała surowa i bez wyrazu. Nie drgnął ani jeden zbędny mięsień. – Mam jednak nadzieję – ciągnął beznamiętnym tonem – że nie będziecie mi czekać zbyt długo.

– Nie ma na co czekać – odparła mama.

– Ach tak? – SS-man otworzył szufladę biurka i coś z niej wyciągnął. Stos dokumentów zasłaniał mi przedmiot trzymany przez niego w dłoniach. – Zapewne zastanawia was, co się stało z waszą służącą. – Pan Rott spojrzał najpierw na mnie, a potem na mamę. Zimny dreszcz spłynął mi po kręgosłupie. – W goście dobrej woli powiem wam o tym. Chciałem uratować ją razem z wami, lecz było za późno. Luscia – o ile mi

wiadomo, właśnie tak na nią wołałyście? – Nie czekał na naszą odpowiedź. – Oto, co się z nią stało. Bardzo mi przykro.

Chwilę później położył na blacie jej zdjęcie.



## GRETA

Po przełożeniu strony niemal wypuszczam pamiętnik. Na moment odwracam wzrok, ale w końcu zmuszam się do patrzenia. Do kolejnej kartki przyklejona jest fotografia. Przedstawia leżącą na boku dziewczynę z włosami rozrzuconymi wokół głowy. Jej twarz obkleja błoto, jakby przed chwilą w nie wpadła, a ktoś ją odwrócił. Lewy oczodół jest roztrzaskany, widać zebraną pod nim krew. Kula przeszła na wylot, bo czaszka pękła. Fragmenty kości oraz mózgu leżą obok głowy dziewczyny. Jej rozwarte w niemym krzyku usta odsłaniają oklejone krwią zęby. Musiała być ładna. Bardzo ładna. Zapewne zginęła w trakcie egzekucji albo uciekając, wpadła wprost na patrol.

Czy Martin Rott to naprawdę mój ojciec? Czy to może jakiś upiorny zbieg okoliczności?

Nie. Podobne zbiegi okoliczności nie istnieją. Choć w zbieżność nazwisk jeszcze byłabym w stanie uwierzyć, ale w jednym obozie nie mogło być dwóch Hauptsturmführerów Martinów Rottów. Poza tym...

Poza tym pamiętam tamtą rozmowę. Pamiętam Annę i jej matkę. Gdy tamtego przedpołudnia rozmawiały z moim ojcem, podsłuchiwałam przez szparę w drzwiach. Często mi się to zdarzało. W willi bardzo się nudziłam i wynajdowałam coraz to nowe sposoby na urozmaicenie sobie czasu. Szpiegowanie było jednym z nich, choć zawsze wstydziłam się do tego przyznać.

Wtedy niewiele rozumiałam z tamtej rozmowy. Przysłuchiwałam się jej, lecz jej nie analizowałam. Wszystko było dla mnie niczym więcej niż zabawą znudzonej kilkulatki. Każdej z takich potajemnych misji towarzyszył dreszcz emocji. Gdyby któryś z podwładnych ojca przyłapał mnie na tym, nie uszłoby mi to na sucho. Choć w zasadzie ojciec nigdy mnie nie zbił. Nigdy nawet na mnie solidnie nie nakrzyczał. Był czuły i kochany. Czasem, gdy jego głos nabierał szorstkiego tonu, wiedziałam,

że muszę być cicho. Nigdy nie przegięłam struny i nie nadużyłam jego cierpliwości.

Prawie nigdy.

Pamiętam, że byłam ciekawa, co ojciec wyjął z szuflady. Na zawsze utkwiała mi w głowie reakcja dziewczyny. Wybuchła płaczem i przerażona przywarła do matki. Ta odsunęła od siebie podany przez mojego ojca przedmiot, lecz się nie odezwała. Głośno pociągnęła nosem.

– Myślę, że nie nadużyjecie mojej cierpliwości – rzekł ojciec. – Będę miał na was oko. Tymczasem chcę, żebyście czuły się tu jak najwygodniej i mogły się rozgościć.

Potem wstał, bez sarkazmu podziękował za poświęcony czas i odprowadził gości do drzwi. Uciekłam w obawie, że w holu zjawią się strażnicy. Mogłam po prostu odejść i zostawić za sobą dramat, który rozgrywał się tuż obok mnie.

Historia Anny to także moja historia. W pamiętniku równie dobrze mogę pojawić się ja. Czy Anna mnie oceniała? Czy poświęciła mi chociaż stronę? Zdanie? Czy poświęciła mi przynajmniej myśl?

Wstaję i odkładam brulion na stolik. Zapalam lampkę nocną, która zalewa pokój ciepłym, przyjemnym światłem. Po chwili jednak ją gaszę.

Czuję ćmienie w głowie i muszę na chwilę oderwać myśli. Muszę się uspokoić, jeżeli mam doczytać ten dziennik do końca. Jeśli nie zrobię przerwy, przyprawi mnie o szaleństwo.

Podchodzę do okna i spoglądam na podwórze. Deszcz przestał padać, a na trawniku utworzyły się liczne kałuże. Gdzieś w oddali przetacza się mrukliwy grzmot. Niebo na horyzoncie ma czerwono-fioletowy odcień. Rozpogadza się, ale wkrótce zapadnie zmrok.

Uchylam zatrzaśnięty przez przeciąg lufcik i wciągam świeże, naozonowane powietrze. Uwielbiam ten zapach. Opieram się o parapet, a następnie przymykam oczy. Pochylam się i przykładam czoło do zimnej szyby.

Oddycham.

Powoli i miarowo. Tak jak mi radziła Alicja, staram się wsłuchać w bicie mego serca. To jednak zły pomysł. Ono tłucze się jak oszalałe. Krew buzuje mi w skroniach.

Otwieram oczy i się wyprostowuję. Nie mogę przestać myśleć o tym, co przeczytałam. Wspomnienia ożywają coraz mocniej. Doskonale

pamiętam Annę i to, jak się z nią bawiłam. Zawsze chciałam mieć siostrę, a w pewnym momencie wyobrażałam sobie, że ona mi ją zastąpi.

Głupie myśli. Dla niej zapewne byłam córką oprawcy i potwora. Niczym więcej.

Co się z nią stało? Co się z tobą stało, Aniu? Odwracam się od parapetu i kieruję w stronę fotela. Dopijam wystygniętą herbatę, która została w filiżance.

Nie wiem, czy powinnam czytać dalej. Wątpliwości nigdy nie były tak silne. Znowu sobie powtarzam, że to mój obowiązek i moje brzemię, ale nie potrafię się przekonać. Pamiętam to wszystko, więc po co mam o tym czytać?

Pamiętam, ale unikałam tych wspomnień.

Muszę się do czegoś przyznać. Czasem myślałam, że moja choroba będzie mi na rękę. Zapomnę o tym, co było wczoraj, i o dniach sprzed siedemdziesięciu lat. Zapomnę, jak się uśmiechać, ale zapomnę też o wyrzutach sumienia.

Siadam w fotelu i zapalam lampkę. Sięgam po brulion. Kładę go na kolanach, po czym przerzucam strony. To przypomina jakąś dziecięcą grę, ale nie mogę przywołać jej nazwy. Stop. To tu skończyłam.

Patrzę na zdjęcie zamordowanej Lusi i nie mogę powstrzymać łez. Mam ochotę wybuchnąć płaczem na cały głos. Mam ochotę krzyczeć, drapać i tłuc pięściami w ścianę.

– Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie... – modlę się słowami Anny.

Zastanawiam się, z jakim akcentem je wypowiadała. Po tych wszystkich latach chciałabym usłyszeć jej głos. Jej śmiech. Nawet jej płacz. W końcu chyba nigdy się przy mnie nie zaśmiała.

Ocieram łzy i staram się skupić na tekście, lecz wszystko jest zamazane. Intensywnie mrugam. To niewiele pomaga.

Ciekawi mnie, co było rodzinnym skarbem Dunajewskich. Czy naprawdę mama Anny wszystko wyprzedawała, aby odnaleźć męża? Czy chodziło o obrazy, grafiki, a może o coś zupełnie innego? Ojca zawsze pasjonowały ciekawe inkunabuły.

Czy mógł być tak podły?

W głowie pojawia się natrętna myśl. Nie chcę sformułować jej wprost, lecz nie mogę się od niej uwolnić.

Zamykam brulion i ponownie wstaję.

– Stasiu... Mógłbyś do mnie przyjechać?

– Coś się stało?

– To znaczy... Nie wiem, czy w ogóle mogę cię o to prosić.

– Proś, o co tylko chcesz. W najgorszym wypadku odmówię.

No dobrze. Nabieram powietrza i przekonuję samą siebie, że nie ma się czego wstydzić. Poza tym nie ma w tym nic niezwykłego. Nawet jeżeli cały świat miałby się dowiedzieć, kim jestem, to nic. Nie wypieram się tego.

– O ile niczego nie poplątałam, zdaje się, że masz syna – odzywam się nieśmiało i pokrętnie.

– Jak na razie wykazujesz się wybitną pamięcią.

Stanisław stara się nadać rozmowie luźny ton, ale ja tak nie potrafię. Nie powinnam mówić tego pogrzebowym głosem. Chciałabym się rozluźnić... Tymczasem słuchawka ślizga mi się w dłoni, a w gardle czuję suchość.

Odkasłuję.

– Zna się na technice? – pytam. – Wiesz, na tych wszystkich komputerach, internetach i całej reszcie.

– Na komputerach i internetach chyba tak. Na reszcie – nie mam pojęcia, bo to dość szerokie pojęcie. – Stanisław chichocze. – Powiedz, czego ci dokładnie potrzeba.

– Informacji. Ale nie chciałabym o tym rozmawiać przez telefon.

– Mówisz jak agentka KGB. Chcesz, żeby pomógł ci znaleźć coś w internecie?

– Nie przesadzajmy... Chcę, żeby znalazł to za mnie na podstawie moich wskazówek.

Wzdycham. Odchylam się na oparcie krzesła i staram się wyczuć Stanisława. Czy mi delikatnie odmówi? Czy zasugeruje, żebym zwróciła się z tym do kogoś innego? A może uzna, że znów osuwam się w odmęty poplątanych myśli? A jeśli rzeczywiście tak jest?

Nie, nie. W końcu wyraźnie widzę brulion. Mogę dotknąć okładki i wyszukać zdjęcie. Tego się nie da wymyślić. Mam świadomość miejsca oraz godziny. Wiem, jak się nazywam.

Niestety – wiem.

– To coś związanego z tym pamiętnikiem, prawda?

– Tak.

– Jesteś pewna, że chcesz się dowiedzieć czegoś więcej, niż w nim napisano?

Ponownie przytakuję. Ton Stanisława jest poważny i czuły. Nie zlekceważył mnie.

– Rozumiem. Jeśli powiesz mi, o co chodzi, mój syn mógłby...

– Nie – przerywam mu. – Musi tutaj przyjechać. Nie chcę rozmawiać o tym przez telefon. Jeżeli nie zechce mi pomóc... – Wymownie zawieszam głos. Wiem, że to niegodziwa manipulacja.

– Na pewno zechce. Zaraz do niego zadzwonię.

– Świetnie.

– Później natychmiast do ciebie oddzwonię. Musisz tylko wiedzieć, że mój syn to straszny opój. Ogołoci cię ze wszystkich zapasów herbaty.

Wiem, że to uwaga rzucona po to, żebym się rozluźniła. I po to, żebym nie czuła się do czegokolwiek zobowiązana.

– Stasiu... – szepczę.

W słuchawce słyszę jednostajny ton zakońzonego połączenia. Odkładam ją na bazę i przez chwilę zawieszam wzrok na pustce ściany.

Chciałam mu tylko podziękować.

Czekanie to mordęga. Nigdy nie byłam cierpliwa, a z wiekiem – wbrew temu, co się mówi – to się tylko nasiliło. Chcę wszystkiego teraz, już.

Może to świadomość upływającego czasu, a może najzwyklejszy objaw alzheimera. Może to kwestia przepalonych styków w mózgu. Przyczyny są nieistotne. Faktem jest, że w nocy nie zmrużyłam oka. Wierciłam się, zapalałam i gasiłam światło, piłam wodę i sięgałam po pamiętnik Anny. Nie czytałam go jednak. Powstrzymywałam się. Byłam zbyt zmęczona, żeby przebrnąć choćby przez kilka zdań. Poza tym wciąż wzdrygałam się na myśl o fotografii Lusi. Bałam się koszmarów. Być może właśnie dlatego nie chciałam zasnąć.

Muszę nauczyć się cierpliwości.

Stanisław oddzwonił po kilkudziesięciu minutach, ale powiedział, że jego syn będzie mógł się pojawić dopiero dzisiejszego popołudnia.

Dlatego od rana siedzę i gapię się w okno. Nasłuchuję pukania lub dzwonka telefonu. Nasłuchuję kroków.

Obok siebie trzymam pamiętnik. Lepiej mi, gdy znajduje się zasięgu ręki, ale go nie otwieram. Udało mi się pokonać poczucie obowiązku i poczucia brzemienia, które muszę udźwignąć. Udźwignę je, wiem o tym, lecz nie muszę tego zrobić natychmiast.

To również lekcja cierpliwości. Wszystko ma dwie strony. Chcę poznać dalszy ciąg historii Anny, ale gdy o niej myślę, płacze mi się w głowie. Brzydzę się sobą.

Kiedyś, kiedy pierwszy raz poczułam wstręt do samej siebie, byłam jednocześnie skonsternowana. Kochałam ojca i nie chciałam dopuścić do świadomości myśli, że to wszystko jest jego winą. Że gdyby moja matka żyła, wolałaby pewnie odebrać sobie i mnie życie, niż być u jego boku. Tamtego dnia wpatrywałam się w jego fotografię i...

Pukanie.

Ktoś dobija się do drzwi.

Najszybciej, jak mogę, podchodzę do nich i nie patrząc w wizjer, otwieram.

W progu stoi smukły, elegancki mężczyzna w lnianej marynarce i błękitnych spodniach. Ma ciemne, krótko ostrzyżone włosy, brązowe oczy i kształtne usta. Sądzę, że nie ma więcej niż trzydzieści pięć lat, więc Stanisław musiał się o niego postarać, gdy był w podobnym wieku. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Chyba.

– Grupa wsparcia przybyła! Mam na imię Krzysztof. – Mężczyzna uśmiecha się i całuje mnie w rękę. W dzisiejszych czasach to rzadki gest. – Tata mi wszystko przekazał. Oczywiście, poza tym, co najważniejsze. Czego dokładnie mamy szukać?

Zsuwa buty i poklepuje przewieszoną przez ramię torbę. Dopiero teraz zza jego pleców wychodzi Nowińska. Ma zaróżowione policzki. Jej uśmiech jest nieco zmieszany i wymuszony.

– Alicja?

– Poznaliśmy się jakiś czas temu... – tłumaczy pokrętnie.

Dostrzegam porozumiewawcze spojrzenie, które wymienia z Krzysztofem. Młodzi ludzie często traktują starych jak totalnych głupków. Odmawiają im jakiegokolwiek bystrości i umiejętności

kojarzenia faktów. Tymczasem nic nie wyczula na niuanse i gesty tak jak wiek.

– A ojciec? – pytam Krzysztofa.

– Nie będzie go. Prosił przekazać wyrazy uszanowania i przeprosić, ale nie mógł dziś przyjechać.

Czuję się rozczarowana. Jednocześnie w umyśle zapala mi się lampka alarmowa i nadchodzi poczucie dojmującego smutku. Zapewne go obraziłam i nie chciał mnie widzieć. Zapewne ma mnie dość. A jednak przekazał wszystko synowi i zdecydował się mi pomóc. Chyba że...

Z zamyślenia wyrывa mnie głos Krzysztofa.

– Co mieliśmy znaleźć? – Mężczyzna wyciąga z torby laptop i jakieś kable. – Wpuści nas pani?

– Ach, tak. Przepraszam.

– Spokojnie. – Alicja delikatnie dotyka mojej dłoni. – Dzięki temu wkrótce poczujesz się lepiej. Wróciłam tak szybko, jak to było możliwe.

– Nie wiedziałam, że zakolegowałaś się z synem Stanisława.

– To... przez przypadek.

Kręcę głową i wzdycham.

– Przepraszam, nie powinno mnie to interesować. Dziękuję, że przyjechaliście.

Prowadzę ich do pokoju i wskazuję na krzesła przy stole.

– Wiele o pani słyszałem. – Laptop cicho szumi, a Krzysztof się do mnie uśmiecha. – Ojciec bez przerwy o pani mówi.

– Mam nadzieję, że nie tak źle, jak na to zasługuję.

– Absolutnie.

– Greta się nie docenia – wtrąca Alicja. – To wspaniała kobieta, a zawsze znajduje sobie powód do samokrytyki.

– Ojciec mówi o pani w samych superlatywach.

– Niewiarygodne. Po prostu niewiarygodne.

Zapada cisza. Alicja siedzi naprzeciw mnie, ale zerka na ekran laptopa. Krzysztof gładzi nogawki spodni i gapi się w blat stołu.

– Dziękuję, że przyjechaliście. – Staram się przerwać milczenie. – Może pomyślicie, że zwariowałam, ale...

– Nie. Wcale nie. – Alicja wchodzi mi w słowo. Jej oczy błyszczą z podekscytowania. – To nieprofesjonalne, ale domyśliłam się, o co chodzi, i powiedziałam Krzyśkowi o pamiętniku.

– Mhm.

– Rozumiem, że szukamy informacji o jego autorce? Odgadłam?

Kiwam potakująco głową. To ostatni moment, żeby się wycofać. Żeby zrezygnować i uciec przed prawdą – tyle że ta ściagała mnie przez całe życie. Lepiej dać się jej wreszcie dopaść. Myślałam o tym wiele razy i wiem, że to jedyny sposób, aby poczuć ulgę. Wszystkich innych już próbowałam.

– Co o niej wiemy? – Krzysztof odchyła ekran laptopa i wstukuje kilka poleceń.

A więc do dzieła.

– Dziewczynka nazywała się Anna Dunajewska i w wieku kilku lat trafiła do obozu na Majdanku. O ile dobrze pamiętam, jej matka to Helena. Imienia ojca nie pamiętam. Może go nigdy nie poznałam...

– Chce się pani dowiedzieć, jakie były jej losy po wojnie?

– Tak. W zasadzie: czy w ogóle po wojnie został po niej jakiś ślad poza tym pamiętnikiem...

– Wiem, że istnieją listy więźniów oraz relacje niektórych z nich – stwierdza Alicja. – Oczywiście, znikomego procenta, i to tych, którzy przetrwali.

– Mówisz tym samym tonem, gdy na kozetce zaczyna mieszać mi się w głowie, a ty nie wiesz, co zrobić. Kilka razy zarejestrowałam ten moment.

– Nie sądziłam, że to pamiętasz. To...

Tym razem ja wchodzę Alicji w słowo.

– Żartowałam. Kiedy wszystko mi się miesza, przez kilka dni nie mam bladego pojęcia, co się ze mną dzieje.

– Ufff. Przynajmniej mnie nie pozwiesz.

Atmosfera się nieco rozładowuje. Krzysztof koncentruje się na laptopie. Wpisuje kolejne hasła i przeszukuje wyniki. Od czasu do czasu mruczy do siebie. Alicja nachyla się nad jego ramieniem i czasem coś podpowiada. Parokrotnie, niby przypadkiem, kosmyk jej włosów dotyka jego twarzy.

Ja staram się nie wtrącać. Zrobiło mi się głupio, że wykorzystuję czas tych młodych ludzi. Powinni spędzić go razem przy kawie lub w łóżku. Nie jestem pruderyjna. Poza tym nie mam jak się im odwdzięczyć. Mogę



dać im pieniądze, ale wiem, że ich nie przyjmą. Wbrew temu, co mówił Stanisław, nie chcą nawet herbaty.

Przez cały czas trzymam obok siebie dziennik Anny i odruchowo gładzę jego okładkę. Myślę o tym, że nie ma już odwrotu. Tę jedną istotę mogłam uratować, lecz tego nie zrobiłam. Muszę przynajmniej uratować pamięć o niej.

Nagle Krzysztof głośno pstryka palcami i się wyprostowuje. Alicja pochyła się tuż nad nim, a jej krótkie włosy teraz smagają jego kark.

– Mam! Znalazłem!

Podnoszę się z fotela i w tym samym momencie przez twarz Krzysztofa przebiega ponury cień. Momentalnie opuszcza go entuzjazm.

– Niestety, dostęp jest zablokowany, tylko dla naukowców i badaczy... – mruczy. – Kurczę blade!

– Może trzeba założyć konto? – proponuje Alicja.

– Spróbujmy...

Krzysztof kilkakrotnie klika i wpisuje parę komend. Po chwili wzdycha zrezygnowany.

– Niestety. Ale nie poddamy się tak łatwo – zapewnia, patrząc mi w oczy. – Mam kumpla na uczelni oraz w IPN-ie. Poza tym znam paru informatyków. W ostateczności włamiemy się do tych zbiorów. Potrzebuję tylko trochę czasu.

– To jedyne, czego nie mam zbyt wiele – szepczę.

## KRZYSZTOF

– To naprawdę fajna babka – stwierdzam, uruchamiając silnik mojego kabrioletu. Osiem cylindrów szuka przez chwilę właściwego rytmu.

– Traktuję ją prawie jak matkę.

Alicja niepewnie zerka na składający się dach. Ma policzki zaróżowione jakby z wysiłku. Nie patrzy na mnie. Nie spojrzała na mnie, odkąd wyszliśmy na zewnątrz. Tkwi pogrążona w swoim świecie.

– Myślisz, że pomożemy jej, jeśli trafimy na wiadomości o tej dziewczynie? – pytam, wyjeżdżając z parkingu.

– Myślę, że nie możemy jej zaszkodzić.

– A jeśli siądzie jej to na psyche? Jeżeli dozna szoku, zacznie się obwiniać i w ogóle poczuje się jak Judasz całego świata i syn Hioba w jednej osobie?

– Skąd znajdujesz te porównania? Czasem nie jestem w stanie się połapać, o co ci chodzi. – Alicja pośpiesznie zapina pas i zaraz dodaje całkowicie poważnym tonem: – Nie sądzę, żeby Greta szukała liny i gałęzi. W życiu miała do tego zbyt wiele okazji, lecz w pewnym stopniu wyrzuty sumienia napędzają ją do działania.

– To pokręcone.

Wyprzedzam wlekący się bus i dodaję gazu. Powietrze przyjemnie wiruje w kabinie.

– Gdzie mam cię zawieźć?

– Do domu. Powiedziałeś, że odbierasz mnie i dostarczasz z powrotem do punktu wyjścia.

– Dobrze, dobrze. – Uśmiecham się. – Jak powiedziałem, tak zrobię. Myślałem, że pojedziemy do jakiejś knajpki. Nieco zgłodniałem.

– W takim razie wybierzesz się sam. Zjesz obiadek, ale najpierw grzecznie odstawisz mnie do domu.

Alicja patrzy przed siebie. Nie zważa na moje błagalne spojrzenie ani głupawe miny. Odkąd wyszliśmy od staruszki, jest wyjątkowo oschła.

– Coś cię smuci? – pytam. – Uśmiechnij się, korzystaj z dnia, świeżego powietrza i...

– To powietrze cuchnie nagrzanym asfaltem i spalinami. Daleko mu do świeżości.

– Mam odświeżacz o morskim zapachu! Wystarczy nieco wyobraźni i można się przenieść na serpentyny wybrzeża Amalfi.

Ten komentarz sprawia, że kącik jej ust delikatnie się unosi. Muszę skupić się na prowadzeniu, bo zaraz skończymy jako wrak w zatoce.

Cholera, cholera, cholera... – wystukuję rytm na kierownicy.

Alicja uparcie milczy, więc również się nie odzywam. Włączam radio i staram się wsłuchać w audycję o karze śmierci wykonanej na drugim końcu świata. Kompletnie mnie to nie obchodzi.

Jestem tu i teraz. Obok siebie mam kobietę, która sprawiła, że zachowuję się jak nastolatek. Przez kolejne kilkanaście minut zastanawiam się, jak do niej zagaić, lecz wiatr wywiewa mi z głowy wszelkie pomysły.

W końcu zatrzymuję się przed jej domem i nerwowo przeczesuję włosy palcami. Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Wreszcie Alicja rozpina pas i uśmiecha się do mnie tak smutno jak nigdy.

– Ej, głowa do góry!

Wzdycha, po czym przesyła mi kumpelskiego całusa. Chciałbym, dowiedzieć się, o czym myśli, chciałbym poznać jej problemy i wątpliwości.

Sięgam na tylne siedzenie i wyciągam mojego ulubionego cabernetisa z winnicy Equus. Przygotowywałem się do tej niespodzianki od paru dni. Szukałem tylko pretekstu.

Alicja patrzy na butelkę i z udawanym niedowierzaniem kręci głową. Tym razem uśmiecha się zupełnie szczerze. Całuje mnie w policzek.

– Nie licz na to.

Wychodzi z auta i pośpiesznie kieruje się do żeliwnej furtki. Nie odwraca się.

Każdy ma swoje tajemnice.

Chciałbym poznać te, które kryją się w niej.

## GRETA

Pamiętam wiele wydarzeń, o których wolałabym zapomnieć. Wspomnienia wracają w najmniej oczekiwanych momentach: gdy staram się zasnąć lub zaraz po przebudzeniu. Pojawiają się w snach i zupełnie zniecka, kiedy piję kawę.

Czasem są tak intensywne, że nie mogę skupić się na niczym innym. Uderzają w trakcie rozmowy niczym gwałtowny skok ciśnienia. Wtedy płaczę się rozkojarzona i gubię w wątkach, a osoby, z którymi rozmawiam, zrzucają to na karb alzheimera. To moja najwygodniejsza wymówka.

Wiele razy wspomnienia powracały w trakcie moich rozmów z Alicją. Choć traktuję ją jak przyjaciółkę, nigdy nie powiedziałam zbyt wiele. Stawiałam kropkę w momencie, gdy historia nabierała rozpędu. Gryzłam się w język, choć miałam potrzebę mówić dalej.

Pewne wspomnienia chciałam zachować tylko dla siebie. Nie zamierzałam ich ukryć ani zataić. Nie stałam przecież przed sądem. A jednak czytając kolejne strony pamiętnika Anny, właśnie tak się poczułam. Jakbym przez całe życie była podsądną, która powinna mówić prawdę i tylko prawdę.

Przede wszystkim przed samą sobą.

Prawda jest trywialna. W pewnym z tych najskrzętniej skrywanych wspomnień siedzę na kolanach ojca, który rozmawia z jednym z podwładnych, a jednocześnie – jednym ze swoich najbliższych przyjaciół. Pamiętam jego imię – Sebastian. Choć w sumie po latach wcale nie jestem pewna, czy wtedy siedziałam na kolanach ojca, czy podsłuchiwałam. Dwie możliwości zlały się w jedną.

Zdaje mi się jednak, że ojciec mnie przytulał i od czasu do czasu podszcypywał. Jednocześnie prowadził poważną rozmowę. Teraz wiem, kogo dotyczyła.

– Choćby znikoma część tych rzeczy mogłaby nas ustawić do końca życia. Nawet na wypadek najgorszego... – Ojciec robi wymowną pauzę, a potem podejmuje niższym tonem. – Nawet wtedy jesteśmy bezpieczni. Rozumiesz? W Europie, Ameryce Południowej czy jakiejś cholernej wiosce w Afryce.

– Nie wierzysz jej? – pyta Sebastian.

– Nie. Takich rzeczy nie sprzedaje się ot, tak. Poza tym zostaje po nich jakiś ślad.

– Może nie miała o tym pojęcia?

Ojciec śmieje się nerwowo.

– Daj spokój. Nie jest głupia.

– Wobec tego... – Sebastian opiera się na stole i wymownie zerka na ojca. – Powinniśmy ją przycisnąć. Ją albo jej córeczkę. Wówczas wszystko stanie się jasne. Mały eksperyment z parustopniową wodą, zagrożenie zarażeniem tyfusem albo...

– Nie – przerywa ojciec. – Są inne sposoby. Mogę trochę poczekać.

– Uczysz się cierpliwości? – Sebastian przeczesuje dłonią blond czuprynę. Sięga po kieliszek wina i dopija je. – Burgundzkie? – pyta, lekko się krzywiąc.

– Chyba tak. Nie smakuje ci?

– Wyczuwam w nim smak stóp Francuzek. Kiedyś widziałem, jak ugniatają całe góry winogron. Nieziemski widok.

– A jednak się krzywisz.

– Wiesz co? – Sebastian odzywa się lżejszym tonem. Tylko on może sobie pozwolić na zwracanie się tak do ojca. – Zdaje mi się, że ta Polka wpadła ci w oko.

Ojciec przewraca oczami i sięga po kieliszek wina. Pociąga mały łyk.

– Nasze rodziny utrzymywały przed wojną kontakty. Szanuję przyjaciół swoich przodków i nic więcej.

– Dlatego nie chcesz przymusić jej do gadania?

– Nie muszę ci się tłumaczyć.

– Ano... Nie. – Sebastian wzdycha i na moment nasze spojrzenia się spotykają. Drzę. Po całym ciele przebiega mi zimny dreszcz. Nigdy nie lubiłam tego człowieka – Poza tym powinieneś wiedzieć coś jeszcze.

Ojciec zerka na niego uważnie i odsuwa kieliszek.

– Co takiego?

– Twoja córka, Hauptsturmführerze, bawiła się z tą małą Polką. Przy wszystkich rozmawiały ze sobą w najlepsze jak przyjaciółki. Albo jak siostrzyczki. – Sebastian podnosi się i staje na baczność. – Muszę już iść. Dziękuję za wino i przypomniane przez nie wspomnienia.

Odchodzi pośpiesznie, a jego buty stukają o posadzkę. Ojciec przyciąga mnie do siebie i delikatnie chwyta za podbródek. Patrzy mi prosto w oczy. Z czułością i naprawdę głębokim uczuciem.

– Nie możesz tego robić – odzywa się surowo. – Nie możesz bawić się z Anną. Przynajmniej poza domem, gdzie widzą was inni ludzie. Rozumiesz?

Rozumiem. Już nigdy tego nie zrobię. Nie mówię tego, ale chyba kiwam głową.

– Dobre dziecko. – Ojciec odgarnia mi włosy z czoła i szeroko się uśmiecha. – Kocham cię. – Przytula mnie, a następnie stawia na krześle przy sobie. – Jesteś śliczna.

Są również inne wspomnienia. Całe mnóstwo wspomnień. Mogłabym nimi obdarować niejednego starca. Niektóre są bardzo smutne, a inne kiedyś były całkiem wesołe, lecz z czasem zaczęły powodować moje zmieszanie. Czy mam prawo z uśmiechem na twarzy wspominać ojca? Czy mam w ogóle prawo przywoływać wspomnienie chwil, w których byłam szczęśliwa, kiedy cały świat płonął przez takich jak on?

Pamiętam chłodną noc, trzaskające w kominku drwa i roznoszący się po willi zapach pieczonego mięsa. Byłam głodna. Zbliżała się pora kolacji i podglądałam, jak Anna razem z mamą uwijają się w kuchni. Często się im przypatrywałam. Stały się naszymi paniami od wszystkiego i wywiązywały się ze swoich obowiązków bez mrugnięcia okiem. Poza nimi mieliśmy jeszcze jednego służącego. Był to starszy, nieco przygarbiony mężczyzna o semickich rysach twarzy. Miał wydatny nos, mięsiste wargi oraz gęste, krzaczaste brwi. Nie mogę sobie przypomnieć jego imienia. Na pewno nie sprawiało wrażenia żydowskiego.

Tego dnia to on podał nam kolację. Przy stole siedziałam tylko z ojcem. Serwowano pieczone, gotowane ziemniaki oraz kilka różnych sałatek. Większość z nich, zgodnie z upodobaniami ojca, tonęła w szczypiorku. Uprawiano go specjalnie dla niego w szklarni za willą.

– Coś taka milcząca? – Ojciec spojrział na mnie uważnie. – Nałóż sobie więcej.

– Nie, dziękuję...

– Źle się czujesz?

Wzruszyłam ramionami. Nie czułam się ani dobrze, ani źle. Po prostu od jakiegoś czasu odczuwałam wewnętrzną pustkę. Małym dzieciom nie powinno się to zdarzać, lecz naprawdę tak było. To nie sposób na usprawiedliwienia ani wymówki. Ta pustka pojawiła się w dniu, gdy zrozumiałam, że nigdy już nie spotkam mamy, a może jeszcze wcześniej. Może wszystko w jakiś pokrętny sposób przeczuwałam, przeczuwałam cały swój parszywy los...

W trakcie kolacji usłyszałam, że otwierają się drzwi wejściowe i ktoś wchodzi do holu. Do mojego ojca podszedł jeden z podwładnych. Powiedział mu coś na ucho, po czym wyszedł.

– Przepraszam, kochanie. Zaraz wracam.

Ojciec podniósł się i pośpiesznie ruszył za żołnierzem. Po chwili z głębi willi dobiegły nerwowe śmiechy. Krótką wymianę zdań zakończyło głośne chrząknięcie. Po minucie lub dwóch ojciec wrócił do salonu z sześćdziesięciokilkuletnim siwym mężczyzną, ubranym w trzyczęściowy garnitur, ze srebrną dewizką zegarka wystającą z kieszeni. Na nosie miał okrągłe okulary. Przypominał kogoś żywcem wyrwanego z zeszłego stulecia.

– Moja droga, to profesor Aleksander Foster, wielce zasłużony historyk sztuki i znawca średniowiecznej literatury niemieckiej.

Mężczyzna kiwnął głową. Był zdenerwowany i rozglądał się jak spłoszone zwierzę. Bębnił palcami w udo.

– Pan przesadza, Herr Hauptsturmführer – odezwał się z lekkim akcentem, jaki miało większość Polaków.

– Ależ nie, w najmniejszym nawet stopniu. Nie ma powodów być skromnym, panie profesorze. – Ojciec wskazał na krzesło przy stole. – Proszę usiąść i do nas dołączyć. – Następnie zwrócił się do starego służącego: – Nakrycie dla pana profesora.

Gość przez chwilę się wzbraniał, wreszcie zrezygnowany uległ namowom. Ojciec usiadł na swoim miejscu i uważnie się mu przyjrzał. Czekał z dalszym jedzeniem, aż wróci służący. Ja zrobiłam to samo.

– Co pana sprowadza?

Profesor spuścił oczy i położył dłonie na blacie stołu. Drżały, więc pośpiesznie je schował.

– Moja żona...

– Tak?

– Nie wróciła dziś do domu – sapnął. – Podobno została aresztowana i... i... Pomyślałem, że może mi pan pomóc przynajmniej ustalić, co się stało. Jeśli to nie będzie z mojej strony natrę...

– Proszę dać spokój. – Ojciec niedbale machnął ręką. – Gdzie do tego doszło?

Profesor spojrział na niego, nic nie rozumiejąc.

– Skąd ją zabrali?

– Gdy wracała do domu ulicą Staszi... To znaczy Robert-Koch-Straße.

– Rozumiem. Wie pan, jakie służby były za to odpowiedzialne?

– Niestety nie... Ja w ogóle nie rozumiem...

Profesor przerwał, bo do pokoju wszedł służący, niosący jego nakrycie. Starannie wszystko ułożył i wyszedł. Ojciec z powrotem wziął sztucce.

– Proszę jeść – zachęcił. – Po kolacji wykonam kilka telefonów. Smacznego.

Profesor nieco się rozluźnił i z ociąganiem nałożył sobie kawałek mięsa. Mimo to ledwie je skubał. Co chwilę zerkał, czy ojciec już kończy jeść. Samo patrzenie na jego nerwowe ruchy odbierało apetyt.

Wreszcie ojciec odłożył sztucce i odkaszlnął. Z niechęcią zerknął na niedojedzony przez profesora kawałek mięsa.

– Smakowało panu?

– Tak, dziękuję bardzo.

– To dobrze. Mam naprawdę porządnych dostawców i kuchnię. – Jego twarz nagle przybrała tak dobrze mi znany surowy wyraz. Otarł usta serwetką i ciężko westchnął. – Zaraz się czegoś dowiemy. Przepraszam.

Wstał od stołu i sztywnym krokiem przeszedł do gabinetu. Nie poprosił ze sobą profesora, więc siedzieliśmy we dwójkę w kompletnej ciszy. Ja wstydziałam się odezwać, on najwyraźniej błędził myślami gdzieś indziej, jakby w ogóle nie miał świadomości, że również siedzę przy stole. To przymykał i zaciskał oczy, to znów je otwierał i wbijał spojrzenie w sufit, a przy tym ciężko pociągał nosem. Pocierał wierzchem dłoni o pokryty siwawym zarostem podbródek, by zaraz bębnić palcami o stół.



Doskonale wiedziałam, że w salonie, w którym zwyczajowo spożywaliśmy kolację, słyhać było niemal każdy szept z gabinetu. Nawet jeżeli nie rozróżniało się słów, docierał tu szmer każdej rozmowy. Nie mam więc wątpliwości, że ojciec nigdzie nie dzwonił. Jeżeli w ogóle wybrał numer, nie połączył się z centralą ani z kimkolwiek innym.

Wrócił po kilku minutach, wciąż z tym samym wyrazem twarzy. Profesor podniósł się z krzesła, ale ojciec gestem nakazał mu gestem przy stole. Nie zwracał uwagi na moją obecność. Usiadł i przez kilka sekund mierzył naszego gościa ponurym wzrokiem.

– Wie pan, że pańska żona odmówiła współpracy przy katalogowaniu dzieł sztuki z Zamku Lubelskiego? – zapytał ostro. – Ciągłe nie możemy się doszukać wielu obiektów i myślę, że są ukrywane gdzieś w okolicy. Poproszono ją o pomoc jako kustosza...

Profesor jeszcze bardziej pobladł i otworzył usta, ale nic nie powiedział. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

– Do tego lista, którą stworzyliśmy z jej udziałem, została następnie podmieniona. Nasz ekspert twierdzi, że spreparowano ją tak, by nie zawierała kilku istotnych pozycji.

– Ale...

Ojciec parsknął.

– Proszę się mi nie tłumaczyć, to nie moja działka. Obawiam się jednak, że nie mogę pomóc. – Chrząknął znacząco i wstał od stołu. Położył dłoń na oparciu krzesła i się wyprostował. – Pańska żona trafiła do aresztu gestapo. Moje znajomości tam nie sięgają. Zresztą podejrzewam, że jeżeli była tak uparta jak wcześniej, może być już martwa.

„Może być już martwa”.

Pamiętam minę ojca, gdy wypowiadał te słowa. Nie patrzył na profesora, ale miał ten charakterystyczny grymas złości, którego tak nie lubiłam. Bruzda na jego czole jeszcze się pogłębiła. Gdy zamilkł, zacisnął usta.

Natomiast profesor Foster sprawiał wrażenie sparaliżowanego. Jego dłoń zatrzymała się gdzieś w okolicy serca, a palce uchwyciły dewizkę zegarka. Twarz stała się nieruchomą maską. Wyglądał, jakby nagle

stracił przytomność lub umarł, lecz miał szeroko otwarte oczy, z których pociekły łzy. Nie kontrolował ich. Nie pociągał nosem ani nie chlipał. Po prostu po jego pomarszczonych policzkach płynęły strumienie łez.

– Nie mogę zrobić nic więcej – rzekł ojciec. – Mam kilka kontaktów, ale niczego nie obiecuję.

Profesor nadal się nie poruszył. Nawet nie mrugał, a jego oczy momentalnie się zaszklily. Ojciec przestąpił z nogi na nogę.

– Proszę wybaczyć, ale mam dużo pracy.

– Tak...

– Gdybym cokolwiek ustalił, znajdę pana.

Nasz gość z trudem wstał od stołu i, niejako kompensując dotychczasowy bezruch, zaczął drzeć na całym ciele. Plątały się mu nogi, a kark nie utrzymywał ciężaru głowy, którą nienaturalnie opuścił. Ledwie dowlekl się do drzwi. Stanął w progu i odwrócił się do nas. Wykonał coś jakby delikatny ukłon, ale nie odezwał się nawet słowem.

Przez chwilę siedziałam w milczeniu, lecz nie mogłam sobie uporządkować tego, co zobaczyłam. Nie rozumiałam, co właściwie zaszło.

– Dlaczego żona tego pana może być już martwa? – zapytałam.

Ojciec zerknął na mnie spode łba. Nagle uświadomił sobie moją obecność: jego mięśnie się rozluźniły, a twarz rozpogodziła. Podszedł do mnie i usiadł na krześle obok. Pogładził mnie po włosach.

– Chodź. Chodź, kochanie.

Klęknął przy mnie i delikatnie wziął mnie na barana. Zaczął szybko chodzić po jadalni, od czasu do czasu podskakując. Zaśmiałam się. Profesor momentalnie przestał mnie obchodzić. Zapomniałam o nim tak samo, jak zapominałam o wielu okropnościach, które widziałam. Wystarczyło, że ojciec poświęcił mi chwilę uwagi...

To boli mnie do tej pory. Pamiętam, że w pewnym momencie zaczął nucić *Marsz Radetzkiego*. Ponoć ten utwór doskonale nadawał się do naśladowania jazdy konnej. Podskakiwał, przysiadał i udawał, że jest jeźdźcem, który usiłuje okiełznać konia. Uważał przy tym, żebym nie zsunęła się z jego ramion. Śmiał się i delikatnie mnie podtrzymywał

Zaśmiewaliśmy się oboje.

– Turururum-tu-tum-tu-tum! – krzyczał ojciec.

– Tararara-ra-ra! – pokrzykiwałam ja.

Byłam przekonana, że zaraz do salonu wejdzie ktoś ze służby lub podwładnych ojca, jednak tak się nie stało. Każdy, kto orientował się, że Herr Hauptsturmführer właśnie korzysta z rzadkiej chwili beztroski, trzymał się od nas z daleka. Sądzę, że przyłapanie ojca na wyglupach mogłoby skończyć się tragicznie. Z tego powodu ludzie, słysząc nasze krzyki, przechodzili do innej części domu. Bali się tej nagłej wesołości.

– Jeszcze, jeszcze! – krzyczałam. – Proszę!

Ojciec zadyszał się i przestał nucić. Jeszcze przez chwilę nosił mnie po salonie, ale już nie podskakiwał. Wreszcie zatrzymał się przy wypełnionej porcelaną witrynie.

– Dość – oznajmił kategorycznie.

Przykucnął i pomógł mi stanąć na ziemi. Wyprostował się, po czym otarł spoconą twarz chusteczką. Miał zaróżowione policzki, a jego oczy płonęły blaskiem radości. Rzadko widywałam go tak szczęśliwym. Pogłodził mnie po głowie i odkaslnął. Gwałtownie spowaźniał.

– Zapytałaś, dlaczego żona profesora może być już martwa – powiedział, wracając do zapomnianego już przeze mnie tematu.

– Mhm. Wiem, że ludzie umierają nie tylko ze starości, ale nie rozumiem, co się stało z tą panią...

Ojciec klęknął. Nasze twarze znalazły się na tym samym poziomie i wtedy spojrział mi prosto w oczy.

– Wiesz, tak naprawdę nie wiem, co stało się z żoną profesora – szepnął. – Może żyje, a może umarła. Ale wiem, że dla niego tak będzie najlepiej. Nie będzie miał nadziei. A w tych czasach nadzieja to ostatnie, czego potrzebujemy.

Wtedy nie do końca zrozumiałam, co miał na myśli. Z perspektywy lat jednak wydaje mi się, że tamtego popołudnia miał ludzką twarz. I to nie tylko w chwili beztroskiej zabawy.

Siedzę w głębokim fotelu i jak zwykle patrzę na światło rozszczepione przez kulę z miodowego szkła. Uwielbiam ten widok. Nie wiem dlaczego, ale zawsze mnie uspokaja. Być może łączy się z jakimś zapomnianym wspomnieniem z dzieciństwa albo to zwykły psychologiczny trik. Gabinety terapeutów pewnie są ich pełne. Kiedyś doszukiwałam się sensu w wiszących na ścianie landszaftach, w ułożeniu książek

w biblioteczce kolorami, a nawet w paczce chusteczek, która znajduje się na stoliku. Dziś wydaje mi się, że najważniejszą psychologiczną sztuczką jest ta miodowa kula. Tyle że za cholerę nie mogę zrozumieć, o co w niej chodzi.

– Mówisz, że zbliżasz się do końca pamiętnika i chcesz zawiesić naszą terapię?

Alicja pochyla się w moją stronę i zakłada włosy za uszy. Jej oczy się skrzą, a policzki są nieco zaróżowione. W niebieskiej sukience w kolorowe kwiaty wygląda bardzo uroczo. Uroczo i dziewczęco. Świeżo.

Deseń współgra z aromatem wypełniającym gabinet. Cytrus stracił nieco kwiatów, lecz pozostałe nadal intensywnie pachną.

– Umawialiśmy się na współpracę do momentu, aż skończysz czytać. – W głosie Alicji nie ma pretensji, ale wyczuwam zdziwienie. – Pamiętasz?

– Oczywiście. Zostało mi kilkanaście stron.

– Jednak tym razem powstrzymałaś się przed czytaniem?

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Chyba nie potrafię w prosty sposób odpowiedzieć na to pytanie. Sama je sobie zadawałam i...

Milknę na chwilę, nie wiedząc, co miałabym powiedzieć.

– I?

– Pamiętnik Anny rozbudził moje własne wspomnienia. Zatapiam się w nich i po raz pierwszy zaczynam rozumieć pewne mechanizmy.

– Możesz to sprecyzować?

– Na przykład wczoraj. Przypomniałam sobie, jak ojciec bawił się ze mną w jeźdźca. Woził mnie na barana i zaśmiewał się, choć jednocześnie zrobił coś obrzydliwego. Pozbawił pewną osobę nadziei.

Alicja mruży oczy.

– Powiedziałaś, że zaczynasz rozumieć pewne mechanizmy, więc co rozumiałaś w tym konkretnym przypadku?

Przygryzam wargę i staram się zastanowić. Odruchowo sięgam ku okularom, ale przypominam sobie, że je zdjęłam. Albo zgubiłam. Nieważne... Porządkuję myśli, lecz w końcu mówię całkowicie chaotycznie.

– Zrozumiałam, że nic nie jest czarno-białe. To banał, ale przez lata chciałam oceniać ojca jako dobrego lub złego. Nikt z nas nie jest tylko

dobry albo tylko zły. Ocenianie nie jest najważniejsze, a nawet niepotrzebne, bo nic nam nie daje i... – Wzdycham. Spuszczam głowę i wbijam wzrok w podłogę. – Choć jednocześnie takich jak on należy jednoznacznie potępić i skazać na zapomnienie przez ludzkość. Ale nie przeze mnie. Starając się wymazać ojca z pamięci, nie mogłam nic osiągnąć.

Alicja nie podejmuje tematu. Czeka, lecz ja również milczę. Mija kilka sekund. Pół minuty. Minuta.

Wreszcie terapeutka odzywa się swoim dźwięcznym, ciepłym głosem.

– Myślę, że starałaś się go wymazać z pamięci, a jednocześnie wiedziałaś, że nigdy tego nie osiągniesz. To była twoja pokuta. Nie rozumiem tylko, w jaki sposób historia Anny pozwoliła ci dojść do tych wniosków.

Wzruszam ramionami.

– A czy te wnioski mają w ogóle jakiegokolwiek znaczenie? Czy coś się zmieniło?

– Ty mi to powiedz.

– Właśnie chyba w tym tkwi sedno. Mimo że dostałam namacalny dowód okrucieństw ojca, dla mnie nie zmieniło się absolutnie nic.

– A twoja pamięć? – Alicja poprawia pozycję i zakłada nogę na nogę. Kiedyś też miałam tak zgrabne łydki. Sto lat temu. Albo więcej. – Czy nie uporządkowałaś niektórych wspomnień?

Właśnie dlatego chcę przerwać terapię. Porządkowanie wspomnień to najważniejsza sprawa, ale z niezrozumiałych powodów nie chcę tego przyznać przed własną psycholog.

– Przestałam myśleć o sobie w trzeciej osobie – mówię oględnie. – To nie Greta była na ramionach ojca, lecz ja.

– Cieszę się, że to zaakceptowałaś.

– O nie, nie... – Podnoszę wzrok i zerkam w głąb gabinetu. Nie patrzę w żaden konkretny punkt. – Nie zaakceptowałam, ale wiem, że walka z tym nie ma sensu.

Alicja kiwa głową. Przesuwa w moją stronę opakowanie chusteczek, lecz powstrzymuję się przed płaczem.

– Wobec tego naprawdę chcesz zawiesić na jakiś czas terapię?

– Dopiero co chciałaś się mnie pozbyć, a teraz żałujesz?

– Chciałam skonsultować twój przypadek z kimś innym, a to istotna różnica – precyzuje. – Poza tym obawiam się, że twoje wrażenie poprawy jest tylko chwilowe. Obawiam się – podkreśla – choć oczywiście mam nadzieję, że efekt pozostanie na stałe.

– A jeśli nie? – pytam. – Czy po tylu latach ma to jakiegokolwiek znaczenie?

Podnoszę się z fotela i opieram o blat stolika. Uśmiecham się do Alicji. Bez okularów nie mogę być pewna, ale wydaje mi się, że w jej dużych, szczerych oczach dostrzegam smutek. Ona również wstaje i kładzie dłoń na moim łokciu.

– Chciałabym, żeby miało znaczenie. I żebyś wreszcie odnalazła spokój.

– Może odnajdę go dopiero po śmierci?

– Proszę cię...

Macham dłonią.

– Nie bój się. Nie zamierzam się zabić. – Chichoczę nerwowo. – Jeżeli przyjmę to do wiadomości, również powinnam być spokojniejsza. Jeśli odnajdziemy Annę...

Alicja natychmiast się ożywia. Gładzi moją rękę i dyskretnie ociera łzę. Po tylu latach pozwala sobie na brak profesjonalizmu. Jednak momentalnie poważnieje.

– Razem z Krzysztofem nadal będziemy ci pomagać. Wiem, że jest na dobrym tropie i wkrótce dowiemy się, co się z nią stało. Obiecuję.

– Niecierpliwie czekam na wieści.

Ruszam w stronę drzwi. Alicja drepcze tuż przy mnie, podtrzymując mnie pod ramię.

– Może czasem będziesz miała ochotę napić się ze mną kawy lub herbaty – mówi, stając w progu. – Oczywiście, przy czymś słodkim.

– Czemu nie?

– Będziemy się umawiać.

– Tak, tak. – Kiwam głową, po czym kpiarsko dodaję: – Zawsze przyjdę. O ile o tym nie zapomnę.

Alicja się nie uśmiecha. To już wyświechtany żart.

## ANNA

Mama nie zdążyła ukryć przede mną zdjęcia Lusi z roztrzaskaną twarzą. Przez kilka nocy ten obraz powracał do mnie w okropnych koszmarach. Potem się budziłam i nie mogłam już zasnąć. Nie miałam apetytu, a wszystko, co robiłam, robiłam tylko dlatego, żeby pomóc mamie. Nagle straciłam całą wolę życia. Były we mnie strach i zniechęcenie.

W ostatnim czasie nawet nie zaglądałam do pamiętnika. W wolnych chwilach mama prosiła mnie, abym skupiła się na pisaniu, ale to nic nie pomagało. Kilkukrotnie zanotowałam słowo lub dwa i wyrывałam kartkę. Nie potrafiłam jasno sformułować żadnej myśli. Nie wiedziałam, co mogłabym napisać.

Teraz też robię to tylko dla mamy. Zmuszam się, aby nakreślić te parę zdań, gdy spogląda na mnie zmęczonym wzrokiem. Martwi się o mnie. Martwi się też o Ciebie, Tato.

Choć nie wiem, czy w ogóle te słowa do Ciebie docierają. Czy jesteś gdziekolwiek i czy...

A może, tak jak Luscia...?

Nie, nie wolno mi tak myśleć. Wiem, że gdzieś tam jesteś. Że odpowiadasz mi, bo czasem dolatują mnie strzępki Twoich słów. To dziwne uczucie.

Dzisiaj do pana Rotta przyjechali znajomi. Przez kilka godzin usługiwaliśmy przy stole, aż któryś z nich o nas zapytał.

Hauptsturmführer zmieszał się i pokrętnie wyjaśnił, że zostaliśmy oddelegowane do jego domu z obozu. Gruby mężczyzna o nalanej twarzy, błękitnych oczach i kilku kępkach wypłowiałych włosów roześmiał się rubasznie. Cuchnęło od niego alkoholem. Przez ostatnią godzinę wypił dwie butelki czerwonego wina.

– Herr Obersturmbannführer Loitzl organizował zawody – powiedział na tyle głośno, żebyśmy z mamą go dobrze słyszały. – Miałem okazję być na jednych z nich.

– Na czym polegały te zawody? – spytał sztywno pan Rott.

– Ustawiał służbę na jednym końcu ogrodu i kazał jej biec do drugiego, na którym znajdował się stół z jedzeniem. Do wysiłku mobilizował ich strzelbą. – Grubas zaczął się śmiać i co chwilę ocierał nos palcem wskazującym. W końcu położył dłoń na ramieniu Hauptsturmführera, który obrzucił go niechętnym spojrzeniem. – Wyobraź sobie, mój drogi, że odstrzelił paru moşków, a ci, którzy dobiegli do końca, mieli zeżreć wszystko co do okruszka. Zazwyczaj parę kilo starego chleba, resztki z obiadu, ziemniaki... Te chudzielce wchrzaniały, aż im się uszy trzęsły.

– I? I co? – dopytywał trzeci mężczyzna, wysoki, szczupły dwudziestokilkulatek w białej koszuli i bryczesach. Tak schludny, że aż nierealny.

– Obstawialiśmy, który z nich się przekręci. Nie uwierzycie, jak przyzwyczajony do małych porcji organizm reaguje na obżarstwo. To powinna być przestroga! – Grubas, nie przestając się śmiać, popijał wino. Dławił się przy tym i odchrząkiwał. – Niewiarygodne. Mówię wam, niewiarygodne!

– A jeśli nie zjedli?

– Nie było takiej możliwości. Rzygali pod siebie, ale strzelba skutecznie ich mobilizowała.

– Obrzydlistwo.

– Tak, wybaczcie, panowie, nie powinienem mówić o tym przy jedzeniu. Po prostu teraz mi się to przypomniało.

Grubas zerknął na mnie i mamę. Przez chwilę uważnie się nam przyglądał.

– Ale te twoje... – odezwał się, nie spuszczając z nas wzroku. – Chyba dobrze je karmisz, co? To Polki?

– Tak.

– Są pracowite. Sam mam kilka w gospodarstwie. – Mężczyzna wreszcie przeniósł spojrzenie na pana Rotta. Odchrząknął i zmienił temat. – Muszę wam powiedzieć, że w tym roku plony udały mi się naprawdę wspaniale. Prowadzimy kilka eksperymentów i gdy dostanę



już majątek na wschodzie, wdrożę w życie systemy, których świat nie widział. Mówię wam, to będzie coś wspaniałego!

Tego wieczoru nie miałam już nic do roboty. Goście pana Rotta się wynieśli, on sam położył się wcześniej spać, a mama popadła w otępienie, co zdarzało się jej coraz częściej. Usiadła na łóżku i wbiła wzrok w ścianę.

Wymknęłam się z pokoju i zeszłam do pomieszczeń dla służby. Nie miałyśmy zakazu poruszania się po domu, co stanowiło moją jedyną rozrywkę. Kiedy nie mogłam spać albo się nudziłam, po prostu chodziłam w tę i w tę. Poznawałam nowe zakamarki, wyobrażałam sobie rozmaite historie i uciekałam myślami w świat fantazji. Nie wstydzę się tego. To najlepszy sposób, aby zapomnieć o wszystkim, co dzieje się wokół.

Tym razem zeszłam do korytarza, przez który po raz pierwszy wprowadzono nas do willi. Nie wiem, dlaczego skierowałam się właśnie tam. Wokół przesuwaly się niezwykle cienie moich wymyślonych przyjaciół. To oni przywiedli mnie do tego miejsca. Zgarbiony pan, który poruszał się zawsze schowany pod parasolem, mała dziewczynka, którą się opiekowałam, i czarny kot. Rozmawiałam z nimi w myślach. Wyobrażałam sobie, że willa zamienia się w nasz dom i że muszę być cicho, bo pracujesz w swoim gabinecie, Tato. Te wyobrażenia sprawiały, że czułam się lepiej. Jakbyś naprawdę był gdzieś całkiem blisko. A może byłeś?

Pchnęłam drzwi do pokoju, w którym kiedyś postawiono nam balię oraz stroje do przebrania. Niemal zderzyłam się z kimś w progu.

Boże.

Wyimaginowany świat natychmiast się rozplynał. Pan z parasolem zniknął, dziewczynka schowała się za moimi plecami, a kot w kilku susach czmychnął przez okno na dwór. Zaczerpnęłam powietrza. W tym pomieszczeniu nigdy nikogo nie widziałam. Zaskoczona całkowicie zdrewniałam i dopiero po chwili odzyskałam świadomość.

Przede mną stał młodziutki chłopak. Uspokajająco uniósł dłonie i sam się cofnął. Zmrużyłam oczy, pewna, że mi się przywidziało.

– Zaraz, czy...

Zaczęłam pośpiesznie szukać w pamięci. Skądś kojarzyłam tę poważną twarz, ciemne oczy i drobną sylwetkę. Brakowało mi tylko czarnych,

zmierzwionych włosów. Choć minęło kilkanaście miesięcy, a on nieco urósł i zmężniał, nie miałam żadnych wątpliwości.

– Aron! – wykrzyknęłam, przyklaskując. – Chłopiec z wagonu.

– Ciii... – uciszył mnie, rozglądając się wokół. – Nadajesz się do konspiracji jak tasak do krojenia chleba.

Musiał to gdzieś zasłyszeć, lecz wypowiadając te słowa, nawet nie mrugnął. Zachował całkowitą powagę. Patrzył na mnie w skupieniu, a zarazem bez żadnego zdziwienia.

– W tym domu moje imię to Rafael, tak kazał do mnie mówić pan Rott.

– Rafael?

Chłopiec skinął głową. Nagle usłyszałam za sobą skrzypnięcie podłogi. Gwałtownie się odwróciłam i niemal wpadłam na wysokiego, przeraźliwie chudego mężczyznę, w którego twarzy z łatwością można było znaleźć rysy Rafaela.

– To mój tata – wyjaśnił pośpiesznie chłopiec. – Nie bój się.

Mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął do mnie dłoń.

– Dante – przedstawił się kpiącym tonem. – W tym świecie: po prostu Dante. Lepsze to od numeru.

– Dzień dobry. – Zawstydzona lekko dygnęłam. Ostatnio weszło mi to w nawyk.

– Nie przesadzajmy, że taki znów dobry. – Mężczyzna przyłożył dłoń do podbródka i zamyślił się z teatralną miną. – Choć nie możemy narzekać. To kolejny dzień, w którym nie trafiliśmy do piachu.

– Dzień się jeszcze nie skończył – wtrącił cierpko Rafael.

– Jednak patrząc na statystyki, a panienka musi wiedzieć, że przed wojną byłem księgowym i amatorsko bawiłem się matematyką, szanse, że dotrwamy do północy są naprawdę wysokie. Powiedziałbym: zabójczo wysokie.

– W takim razie powinniśmy mówić „noc dobra”, a nie „dzień dobry”.

– Szczegóły, szczegóły, szczegóły... Mędrka z ciebie nie będzie.

– Jak mawiała mama, jeden w domu to ciekawostka, dwóch to przekleństwo.

Oniemiała przysłuchiwałam się tej absurdalnej rozmowie ojca z synem. Nie byłam pewna, czy aby na pewno wyrwałam się ze świata własnych fantazji. Jednak przecieź wyraźnie czułam ciągnący po podłodze chłód oraz mdławy zapach potu chudego mężczyzny.

„Nadajesz się do konspiracji jak tasak do krojenia chleba” – przypomniałam sobie słowa sprzed chwili. Już wiedziałam, od kogo Aron, to znaczy Rafael, mógł się ich nauczyć.

– Długo tu jesteście? – zapytałam bardziej po to, żeby zaznaczyć swoją obecność, niż z ciekawości.

– Półtora tygodnia – odparł chłopiec. – Widzieliśmy ciebie i twoją mamę, ale przez wiele dni pan Rott kazał nam mieszkać przy szklarni. Zajmowaliśmy się roślinami, tata jest ogrodnikiem...

– A nie księgowym?

– Moja droga... – Dante przytknął porozumiewawczo palec do ust. – Wszystko zależy od okoliczności. Musimy zwiększać nasze szanse przeżycia. Ogrodnictwo i buchalteria to dwie strony tego samego medalu. Uprawia się tylko inne rośliny.

Nic nie rozumiałam. Stałam z szeroko otwartą buzią i szczypałam się w udo. Rafael patrzył na mnie maślanym wzrokiem. Jego ojciec nagle to zauważył i klepnął go kpiarsko w ramię.

– Uważaj, bo się zakochasz. – Potargał go po nieistniejących włosach.

– Za to, co dla mnie zrobiła, już ją kocham – powiedział chłopiec całkiem poważnie. – Mam nadzieję, że wiatr doręczył tamten list.

## GRETA

Od lektury odrywa mnie pukanie. Zdecydowałam się przeczytać jedynie kilka zdań, więc nie jestem zła. Właściwie to dobrze, że mi przeszkodzono. Ta historia nie powinna skończyć się zbyt szybko. Najlepiej, aby trwała we mnie tak długo, aż...

Pukanie się ponawia.

– Idę! Nie jestem cholernym koniem wyścigowym...

Otwieram drzwi. W progu stoi Krzysztof z przerzuconą przez ramię torbą oraz kubkiem kawy w dłoni.

– Mogłam ci zrobić... – Wskazuję na kubek.

Patrzy na mnie zdziwiony, wreszcie zdaje sobie sprawę, dlaczego wprowadził mnie w konsternację. Wybuchą śmiechem.

– Zanim do pani przyjechałem, wpadłem na stację i przekąsiłem hot-doga. A potem uznałem, że muszę natychmiast wypić kawę.

– Niech będzie. Następnym razem proszę mówić, czym będę mogła poczęstować. Nie mam tu restauracji, ale coś się znajdzie.

– Wystarczy nawet zbożówka. Dobrze działa na psychikę.

Wyglądam na korytarz, ale tym razem Krzysztof przyjechał sam.

– Bez Alicji? – dopytuję.

– Ma dużo obowiązków, obiecała, że przyjdzie kolejnym razem.

Świetnie. Najpierw odciął się ode mnie Stanisław, a teraz ona. Mam chyba dar do zrażania do siebie ludzi.

– Hej, naprawdę. – Krzysztof spogląda mi prosto w oczy. W jakiś cudowny sposób odczytał moje wątpliwości. – Poza tym jest zdruzgotana, że zawiesiłyście terapię. Naprawdę się do pani przywiązała.

– Zawieszona terapia nie wyklucza okazji do spotkań.

– Ano. Ale kobiety są zbyt skomplikowane, a terapeutki szczególnie. Wolą chlipać za straconą okazją do analizowania innych. – Krzysztof puszcza do mnie oko.

Przechodzimy do pokoju. Tak jak ostatnim razem lokuję go przy stole.

– Kawy, herbaty? – pytam *pro forma*. – Mam też jakieś ciastka. A moja kawa na pewno jest lepsza od tego świństwa ze stacji. Zbożówka pewnie również się znajdzie.

– Najpierw praca.

Takie podejście mi się podoba. Krzysztof uruchamia sprzęt, a ja siadam na krześle obok niego. Tam, gdzie ostatnio siedziała Alicja. Czasem zwracam uwagę na głupie szczegóły.

– Udało mi się uzyskać dostęp do tamtej strony – stwierdza z dumą Krzysztof. – Trochę się przy tym napracowałem, ale w sumie to była niezła zabawa.

– Czyli...

Macha ręką.

– Nie, nie. Nie wszedłem w wyniki. Postanowiłem, że zaczekam z tym, aż się zobaczymy. Nie chciałem odebrać pani przyjemności zobaczenia ich jako pierwszej.

– Cóż za wyróżnienie.

– Wiedziałem, że się pani spodoba. I prawdę mówiąc, cała moja robota była zbędna, bo w końcu udało mi się znaleźć coś na Facebooku.

Patrzę na niego skołowana.

– Wiem, że coś takiego istnieje, ale nie mam o tym bladego pojęcia.

– Zaraz pokażę.

Krzysztof wstukuje kilka haseł, a na ekranie pojawiają się nowe strony. Przez kilka minut milczę i obserwuję jego pracę. On również się nie odzywa. Działa szybko i sprawnie, więc jestem spokojna. Ma pomysł i plan, a to podstawa sukcesu. Zdaje się, że tak mówił mój ojciec.

– *Voilà!* Mamy ją.

– Kogo?

– Ją – stwierdza wymownie Krzysztof.

– Mój Boże... – Nachylam się w stronę ekranu i mrużę oczy. – Skąd wiesz, że to ona?

– Maria Dunajewska-Lisak.

Wzdycham rozczarowana.

– To nie ona. Ona miała na imię Anna...

Krzysztof kręci głową.

– Jej córka – precyzuje. – Albo siostra. Albo kuzynka, ale na pewno ktoś z jej rodziny. Nawet nie nastawiałem się na to, że znajdę na portalu społecznościowym kobietę w pani wieku, za przeproszeniem. Ale niech pani spojrzy. – Obraca laptop, abym lepiej widziała. – Uczestniczyła w dniu pamięci o ofiarach drugiej wojny światowej, udziela się w Fundacji Pomocy Więźniom Niemieckich Obozów Koncentracyjnych, udostępnia posty Rodzin Katyńskich. Przypadkowa zbieżność nazwiska z wydarzeniami jest możliwa, ale raczej mało prawdopodobna.

– Jej córka... – szepczę. – W takim razie możemy się z nią skontaktować i zapytać o matkę, prawda?

– Nic prostszego. Wystarczy kilka kliknięć.

– Świetnie...

– Zrobić to? Niech pani wymyśli wiadomość.

– A jeśli to nie ona?

Krzysztof uśmiecha się szeroko. Doskonale wie, że zaczynam panikować.

– To ona – zapewnia. – Potwierdziły mi to dane z tamtego portalu, na który trafiliśmy ostatnio. Są tam karty logowania oraz dane o rodzinach... Jak powiedziałem, nie wczytywałem się, lecz wszystko się zgadza.

Przełykam ślinę i zaciskam dłonie na drewnianym siedzisku. Kręci mi się w głowie. Nagle zaczynam odczuwać wątpliwości. Czy powinnam mieszać się w życie ludzi, którzy nie mają o mnie zielonego pojęcia? Czy mam do tego prawo? Czemu w ogóle chciałabym się od nich dowiedzieć?

Co się stało z Anną?

Została rozstrzelana za próbę ucieczki i zakopano ją w bezimiennym grobie. Została spalona i wyleciała przez komin razem z matką oraz tysiącami innych. Czy takie odpowiedzi pozwolą mi jeszcze kiedykolwiek zasnąć? Czy naprawdę chcę je poznać?

– Zaczekajmy z tym... – szepczę. – Muszę zebrać myśli.

Krzysztof patrzy na mnie z zaciekawieniem, ale nagle kiwa głową.

– Oczywiście. Kiedy tylko pani zechce.

– Dam znać jutro, dobrze? O tym chyba nie zapomnę.

– Kiedy tylko pani zechce – powtarza.

Wstaje od stołu, chowa laptop do torby i kieruje się do wyjścia.

– Jak mam ci dziękować? – pytam. – Ile mam ci zapłacić?

Krzysztof z irytacją kręci głową. Podchodzi do mnie i niespodziewanie całuje mnie w czubek głowy.

– Ala mówiła, że czasem ma pani szalone pomysły.

Nim zdążyłam wymyślić konstruktywną odpowiedź, wychodzi na korytarz. Kłania się i macha mi na pożegnanie. Wzruszona i zmieszana wciąż milczę. A on odchodzi szybkim krokiem.

– Żegnaj, chłopcze... – szepczę do siebie.

Już chwilę po jego wyjściu zdaję sobie sprawę, że nie mam do niego numeru. Zastanawiam się jak go zdobyć. Nie mogę czekać, aż to on odezwie się do mnie.

Jednocześnie nie muszę się zastanawiać już ani chwili dłużej. Nagle wszystko stało się jasne. Nie powinnam się wstrzymywać ani unikać tego, do czego doprowadziło mnie przeznaczenie. Bóg, los, zbiegi okoliczności... Niech każdy nazywa to, jak zechce. Wierzę, że tkwi w tym coś więcej niż czysty przypadek. Musi w tym tkwić coś więcej niż czysty przypadek...

Wracam do salonu i podchodzę do szafki. Sięgam po słuchawkę, po czym wybieram numer Alicji. Terapeutka odbiera po drugim sygnale.

– Krzysztof znalazł córkę Anny – mówię, ale zaraz zdaję sobie sprawę, że ona zapewne już o tym wie.

– Mhm. Czy już ci wszystko pokazał?

– Chyba tak. To znaczy chciał, żebym napisała do niej wiadomość... Jednak coś mnie powstrzymało, a teraz nie daje mi to spokoju. Stara, durna baba ze mnie.

Alicja wypuszcza powietrze w słuchawkę. Słyszę szmer jej oddechu i wyobrażam sobie, że kręci głową z dezaprobatą. Jej metody terapii zapewne nie przewidują takich rozwiązań. Nie przewidują ich zapewne również żadne podręczniki ani metody badawcze. Skutki mojego planu mogą być opłakane, ale nie mogę się teraz wycofać.

– Chcę to zrobić – mówię z naciskiem. – Jak najszybciej.

– Rozumiem... Przemysłałaś swoją decyzję?

– Tak.

– Wiesz, co się wiąże z tym, że do niej napiszemy?

– Chcę czegoś więcej. Mam do was bardzo serdeczną prośbę. Obiecuję, że ostatnią.

Alicja nie odpowiada. Czekaj, aż sama wyjaśnię, o co mi chodzi. Ten nawyk często mnie denerwuje, ale sądzę, że stanowi jedną z miliona technik prowadzenia terapii. A może to po prostu wyraz szacunku.

– Wiesz, gdzie ona mieszka? – pytam.

– Nie... Choć pewnie można to sprawdzić. A po co ci to?

– Chcę się z nią spotkać. Muszę się z nią zobaczyć i pomówić w cztery oczy. To moje ostatnie życzenie przed śmiercią. Wtedy będę mogła umrzeć spokojnie.

– Obiecałam spotkania przy czymś słodkim i herbacie.

Alicja podaje mi przezroczyste pudełko z dwoma kawałkami tortu czekoladowego. Zdobia go całe wiśnie oraz płatki jakiegoś jadalnego kwiatu.

– To krępujące – mówię. – Sama powinnam coś przygotować.

– Sądzę, że już się w życiu naprzygotowywałaś.

– Przynajmniej to jeden ze sposobów udowodnienia samej sobie, że wciąż żyję.

Alicja przechodzi do saloniku i stawia herbatę na serwetce.

– Wystarczy krótkie „dziękuję” i wszystkie twoje wątpliwości powinny się rozwiązać. Tyle mówi psychologia.

– W takim razie: dziękuję.

– I jak, lepiej?

Uśmiechamy się do siebie. Nieco pokrzepiona wyjmuję z komódki cukiernicę, łyżeczki oraz widelczyki. Alicja pomaga przenieść mi talerze oraz filiżanki. Lepiej, aby moje dłonie trzymały się od porcelany z daleka.

W ogóle dziś czuję się gorzej. Wieczorem powstrzymałam się przed lekturą pamiętnika. Trzymałam go godzinę lub dwie na kolanach, wreszcie przeszłam z nim do łóżka i, przytulając się do niego jak do pluszowej zabawki, zasnęłam. Nie wiem, czy śniłam o Annie, ale w nocy kilkakrotnie budziłam się z myślą, żeby przeczytać choć stronę. Zostało mi ich zbyt mało.

Skończę jutro lub pojutrze.

Nie wiem, czy to przez niewyspanie, czy przez dziwne pobudzenie, ale płaczą mi się myśli. Myliłam godziny i leki. Chyba rano przez jakiś czas



znów byłam w innej przestrzeni. Po tym, jak zjadłam śniadanie, ocknęłam się, siedząc na podłodze z długopisem w dłoni i z pomazaną lewą ręką. Ledwie się domyłam, ale i tak jeszcze widać delikatne ślady tuszu, więc ukradkiem zasłaniam nadgarstek. Lepiej, żeby Alicja nie dostrzegła, że w stanie otępienia chciałam podążyć śladem Anny.

No nic.

– Wspaniały tort – chwale, choć ledwie czuję smak. Uwielbiam wszystko, co słodkie, lecz dziś mogłabym dostać porcję masy papierowej i smakowałaby mi tak samo. – Naprawdę pyszny.

– Smakował ci ostatnim razem, dlatego go wzięłam. – Alicja patrzy na mnie badawczo.

– Tak, pamiętam – uspokajam ją. – Wtedy, gdy przeniosłyśmy nasze spotkanie do kawiarni.

– Właśnie tak.

Alicja uśmiecha się zadowolona. Pośpiesznie pochłania kilka kęsów i popija herbatą. Oblizuje usta, po czym delikatnie odkłada widelczyk na talerz. Ja również przestaję jeść.

– Skontaktowaliśmy się z tą kobietą – obwieszcza i nagle świat wokół mnie zdaje się kurczyć.

Nachylam się i wstrzymuję oddech. Serce łomocze mi niemal w gardle. Alicja dostrzega moją reakcję i lekko zaniepokojona dotyka mojej dłoni.

– Mam mówić dalej?

Zdecydowanie kiwam głową. Już to przemyślałam.

– Jest córką Anny – mówi na wydechu. – Zgodziła się z tobą spotkać.

– Boże...

– Gdybyś się jednak rozmyśliła...

– Nie. Absolutnie – zapewniam kategorycznie. Drugi raz nie stchórzę.

– Ja tylko... Nie wiem, co powiedzieć.

Łzy napływają mi do oczu i po raz pierwszy od lat nie powstrzymuję ich w obecności innych osób. Zaczynam płakać. Spazmy wstrząsają moim ciałem. Wiem, że wyglądam żałośnie, ale nie potrafię się opanować. Zbyt wiele myśli jednocześnie przemyka mi przez głowę.

Wdzięczność do Alicji i Krzysztofa.

Złość na ojca.

Wściekłość na los.

Wstyd, upokorzenie, żal, wspomnienie Anny, wspomnienie ojca, znów wstyd, złość...

Alicja obejmuje mnie i przytula. Gładzi mnie po głowie tak, jak kiedyś gładził mnie ojciec. Przez zasłone łez widzę, że za oknem mamy piękny dzień. Słońce oświetla całkowicie nieruchome drzewa. Lufcik okna jest otwarty, lecz firanka nawet nie faluje. Po wczorajszej burzy nie ma śladu.

Wczorajszej? Nie, była chyba kilka dni temu. Staram się sobie przypomnieć, ale ostatnie wspomnienia mi się mieszają. To się zdarza. Po prostu muszę na pewien czas przestać o nich myśleć, a potem wszystko jakoś się ułoży.

– Chyba znów mam dziury – wyznaję, choć wcale nie zamierzałam tego powiedzieć.

Alicja klęka przy mnie i wciąż gładzi moją rękę. Mogłaby być moją córką. A może to jest moja córka? W jej oczach również widzę łzy. Opiera czoło na moim ramieniu i pociąga nosem.

– Wiesz, w jaki sposób możesz zebrać myśli...

Nie. Teraz nie mam ochoty czytać. Mam dość myślenia o Annie. Chociaż przez chwilę muszę być tylko sobą i odciąć się od tego chaosu.

– Później... – mówię, a brzmi to, jakbym formułowała błagalną prośbę.

Alicja zmienia pozycję i podnosi głowę. Pociąga głośno nosem. Z kieszeni kolorowej sukienki wyciąga chusteczkę.

– Może opowiesz mi coś o sobie – proponuje mimochodem. – To też powinno pomóc. Dlaczego nigdy nie wspominałaś mi o swojej matce? Skutecznie unikałaś tego tematu, gdy sama go poruszałam...

Bo to kolejna smutna historia.

Na biurku ojca leżał plik listów związanych lnianym sznurkiem. Część znajdowała się w kopertach, a część została jedynie złożona. Myślę, że było ich kilkadziesiąt lub więcej. Każdy z nich pochodził od mamy, napisany był zgrabnym, starannym pismem i opatrzony zamaszystym podpisem „Kochającej Marg”.

Wśród szpargałów ojciec przechowywał również zarysy swoich odpowiedzi, nad którymi czasem pracował przez wiele godzin. Myślę, że

pisanie listów stanowiło dla niego najlepsze oderwanie się od otaczającego go świata i powrót w rodzinne strony.

Z Würzburga pamiętam niewiele. Most nad szemrzącym o skały Menem, masywną twierdzą, zdobioną rezydencją biskupów. Pamiętam zielen i zapach otaczających miasto pól. Pamiętam kolory kilku ogrodów oraz gwar placów.

Kamienica, w której mieszkaliśmy, miała błękitną elewację i czerwony dach. Okna pokoi wychodziły na rzekę, od której w lecie ciągnęło przyjemnym chłodem. Nad bulwarem rósł szpaler drzew, a pory dnia wyznaczało bicie kościelnych dzwonów.

W mieście łatwiej było żyć niż w gospodarstwie, które znajdowało się pośrodku niczego, dlatego ojciec namówił mamę do przeniesienia się ze wsi. Na kilka tygodni albo miesięcy. Tak, aby miała nieograniczony dostęp do towarów, sklepów i przyjaciół. Chyba nie chciał, żeby mama znów wpadła w ponury nastrój, który czasem ją dopadał, gdy zostawała sama, z dala od ludzi. Co prawda, na gospodarstwie było kilkunastu robotników ze wschodu oraz parę osób z dawnej służby, lecz brakowało właśnie przyjaciół. Wojna porzrzucała ludzi. Najbliżsi sąsiedzi – państwo Schillerowie – wyjechali do Brandenburgii, stary Vogel zmarł dwa lata wcześniej, a jego niedołączna, zdewociała żona trafiła pod opiekę zakonnicy.

Ojciec, wiedziony pragnieniem zapewnić mamie rozrywek, namówił ją zatem do przeniesienia się do naszego würzburgskiego mieszkania. Nie wiem, skąd je mieliśmy. Po wojnie ktoś powiedział, że wcześniej na pewno należało do Żydów, ale to chyba nieprawda. Nigdy nie chciałam badać tego tematu.

– Listy do pana, Herr Hauptsturmführer – zameldował jeden ze służących. W tamtym czasie poza Anną i jej matką było ich już kilku.

Ojciec, o ile był w domu, zawsze odbierał pocztę osobiście. Nie wiem dlaczego, ale był to jeden z jego rytuałów.

Zdjął mnie z kolan i odłożył ołówek, którym od kilku godzin wypełniał jakieś raporty. Przeciągnął się. Pora czytania listów była chyba jego ulubioną w ciągu całego tygodnia. Delektował się nią i starannie przygotowywał na te kilkanaście minut. Wśród poczty przychodziło nieco wieści od przyjaciół oraz krewnych. Na sam koniec zawsze zostawiał sobie list od matki. Czytał go dwa lub trzy razy, w tym co najmniej raz

na głos. Na koniec kilkakrotnie gładził go ręką i odkładał na stosik. W czasach, gdy bruzda na jego czole pojawiała się jeszcze sporadycznie, list od matki zawsze skutecznie ją usuwał.

Teraz podniósł się z fotela i swoim zwyczajnym, żołnierskim krokiem skierował się do holu. Po drodze poprawił bluzę mundurową i pas. Stukot jego podkutych butów niósł się po willi.

Pobiegłam za nim. Ja również byłam ciekawa wiadomości od mamy i dawnych przyjaciół. Poza tym każde oderwanie od rutyny dnia sprawiało mi przyjemność. Lubiłam wyraz spokoju i radości na twarzy ojca. Uwielbiałam to jego miłosne uniesienie na wspomnienie Bawarii, podekscytowanie przy przeglądaniu załączonych zdjęć, kartek oraz widokówek.

– Napalcie w kominku – nakazał komuś. – Zaczyna się robić pieruńsko zimno.

Chwilę później podszedł do drzwi i przywitał się z żołnierzem obsługującym pocztę. Zamienili kilka słów, ojciec odebrał plik listów, a następnie zamknął drzwi. Puścił do mnie oko.

Pogwizdując, ruszył z powrotem w stronę gabinetu. Szłam obok niego i starałam się oszacować, ile wiadomości przyszło tym razem. Pięć, może sześć. Jedna koperta wydawała się bardzo gruba.

– Czekamy do obiadu? – zapytałam. – Może dzisiaj otworzymy je wcześniej?

Ojciec pokręcił głową.

Usiadł w swoim fotelu i wyciągnął cygaretkę, jednak nie odpalił jej, lecz odłożył na metalowy przycisk do papieru. Poprawił stojące na biurku zdjęcia, a następnie zajął się porządkowaniem listów. Zazwyczaj dzielił je na dwa lub trzy stosiki.

– Najpierw obowiązki, potem przyjemności.

Zerknął na raport, nad którym pracował, lecz zaraz go odsunął. Coś przykuło jego uwagę. Spomiędzy listów wysunął jeden w kopercie z szarego papieru. Obrócił go w dłoni. Jego dobry humor momentalnie się ulotnił. Wbrew zwyczajowi otwierania kopert ozdobnym nożykiem tę rozerwał. Jego dłoń drżała. Zaniepokoiło mnie, że otwiera list właśnie w ten sposób i już teraz.

– Miały być najpierw obowiązki – zaszczebiotałam.

Ojciec zbladł. Wyciągnął list i pośpiesznie go rozłożył. Przez kilka sekund czytał, a potem spojrzał na mnie pustym wzrokiem. Oстрыm tonem wyprosił mnie z gabinetu i zawołał, aby ktoś się mną zajął. Dopiero kilka godzin później powiedział mi, że mama jest ciężko chora i że to wina tych cholernych Brytyjczyków.

Potem dowiedziałam się, że zginęła w trakcie kilkunastominutowego nalotu, gdy gościła u naszej rodziny w północnych Niemczech. Nie wiem nawet, gdzie została pochowana. Nigdy nie starałam się tego dowiedzieć.

– Nie, nie chcę mówić o matce – oznajmiam. – Do niektórych wspomnień nie warto wracać.

Terapeutka, nie patrząc na mnie, przesuwa pustą filiżankę po herbacie.

– Dobrze. Ale może opowiesz mi, kiedy po raz ostatni widziałaś Annę? Co ty na to?

Jeśli to miałyby mi teraz pomóc uporządkować wspomnienia...

– Naprawdę chcesz o tym słuchać?

– Oczywiście – zapewnia bez wahania.

Nadeszły gorsze czasy. To dowód, że zawsze, gdy pomyślimy, że przecież już nic, naprawdę nic złego nie może się zdarzyć, zło pokazuje nam swoje pazury.

Jako dziecko nie wiedziałam, co się dzieje. Wokół panowało jednak ogólne poruszenie. Ludzie krzęłali się szybciej niż zwykle, wpadali na siebie i pokrzykiwali. Ojciec wychodził z domu, a po godzinie wracał. Wpadał do gabinetu tylko po to, by zaraz znów zniknąć w chaosie.

Było gorąco. Pył spod przejeżdżających ciężarówek i innych pojazdów obsiadł liście rosnących niedaleko willi lip oraz brzoź. Unosił się w powietrzu, tak że w ustach ciągle czuło się jego posmak. Okna przysłoniła żółtawa warstewka, przez którą świat na zewnątrz przywdziewał upiorne barwy. Pamiętam to bardzo dobrze.

Któregoś skwarne go popołudnia ojciec wpadł do domu i od wejścia wrzeszczał na Sebastiana oraz na jakiegoś innego podoficera, którego widziałam po raz pierwszy.

– Przecież tłumaczyłem wyraźnie! – krzyczał poczerwieniały z wściekłości. – Wydałem jasne instrukcje. To był rozkaz! Nie

rozumiecie, że czas ucieka, a jeśli...

Nie powiedział, co się stanie, „jeśli”. Minał mnie bez słowa, a zrugani żołnierze potulnie pobiegli za nim do gabinetu. Przez chwilę dobiegały mnie z niego odgłosy dartych papierów, wyrzucanych na podłogę teczek oraz ksiąg. Wreszcie usłyszałam brzęk okna, które uderzyło o zewnętrzną ścianę domu.

– Szybciej!

Nie ważyłam się wejść do gabinetu ani podglądać przez dziurkę od klucza, co się w nim dzieje. Po holu oraz salonie kręciło się zbyt wielu ludzi. W ostatnich dniach, zdaje się, nikt już ich nie sprawdzał. Każdy mógł wejść do naszego domu pod pretekstem zostawienia raportu, spotkania się z tym albo owym czy usłyszenia rozkazów.

Ukradkiem przemknęłam na dwór, do ogrodu. Od pewnego czasu nikt nie zajmował się różami, które, nieprzycinane, opadły poza metalowe ramy stelaży. Niepodlewane kalie wygięły się, podeschły, a ich kwiaty zwiędły. Nawet rosące w rzędzie słoneczniki, które dopiero się na dobre zawiązywały, wyglądały na chore.

Przedarłam się między nimi i przecięłam wyschnięty trawnik. Z tej perspektywy mogłam obserwować, co się dzieje przed oknem gabinetu ojca. Zjawiłam się tam akurat w momencie, gdy poza parapet wystawał fragment jego biurka. Po chwili cały mebel zwalił się na podwórze. Sebastian wyskoczył przez okno i przesunął go dalej. Zaraz dołączył do niego ojciec. Wspólnie przeciągnęli biurko na środek podwórza, a nieznany mi podoficer pojawił się z kanistrem benzyny. Poczułam jej słodki, gryzący zapach.

Ojciec przez okno wspiął się do gabinetu i po kilku sekundach ze środka zaczęły wylatywać teczki oraz ryzy dokumentów.

Moje myśli zagłuszył warkot motocykla. Kierujący nim żołnierz krzyczał, nie wyłączając silnika.

– Będą tu do południa! Widzieliśmy kompanie wywiadowcze! Robią rozpoznanie i...

Z gabinetu dobiegł mnie głos ojca.

– Meldować dalej! Jedźcie do administracji!

– Tak jest!

Chwilę później buchnął stos pogrzebowy, ogień strzelił wysoko w powietrze, a po okolicy poniosły się kłęby dymu. Drogą przejechało

kilka ciężarówek, na których siedzieli żołnierze. W milczeniu i ze smutkiem przyglądali się ognisku na naszym podwórzu. Nie było słychać ani śpiewów, ani bojowych okrzyków.

Rozmaite papiery unosiły się w powietrzu. Ich strzępki ulatywały z ogniska, a delikatny wiatr rozwiewał je po okolicy. Osiadały na drzewach i krzakach. Wreszcie całe podwórze pokryła warstwa nadpalonych lub zwęglonych kartek.

Wtedy zobaczyłam Annę. Pamiętam, że razem z matką pomagały ojcu pozbywać się dokumentów. Krzyczał na nie i ponaglał je. Nigdy wcześniej nie odnosił się do nich z taką złością. Poza nimi na podwórzu znalazło się również dwóch mężczyzn w obozowych pasiakach. Byli potwornie chudzi i z trudem się poruszali. Skóra na ich twarzach opinała się na każdej z kości. Bez problemu można by wymacać każdą chrząstkę oraz żyłę. Ich oczy były wytrzeszczone, a spojrzenia – puste.

Niższy i młodszy z mężczyzn prznosił teczkę z ciężarówki, która zajechała na tył podwórza. Niosąc je, potknął się i upadł na ziemię.

– Szybciej, do cholery! – Ojciec podszedł do niego i z całej siły kopnął go w brzuch. – Wstawaj!

To sprawiło fizyczny ból również mnie. Skrzywiłam się i wycofałam w zarośla. Zaczęłam płakać. Przytłoczyły mnie wszechogarniający chaos i zamęt. Przeraziła wściekłość ojca. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. Nawet gdy bywał wściekły i zagryzał zęby, nie tracił nad sobą lodowatej, pełnej wyrachowania kontroli. Tego przedpołudnia się jednak nie kontrolował. Miał purpurową, ogorzałą od ognia twarz, a gdy wykrzykiwał kolejne rozkazy, wydawało mi się, że z jego ust bluzga ślina. Obrzucał wszystkich spojrzeniami pełnymi furii. Poruszał się sztywno, bez zwykłej gracji.

– Szybciej, powiedziałem! – wrzasnął do Anny.

Jej matka musiała być wtedy w domu, a ona uwijała się, wrzucając do ognia paczki przynoszone przez niskiego więźnia. Drugi z mężczyzn w pasiaku ściągał je z ciężarówki.

Dziewczyna zataczała się ze zmęczenia. Widziałam, że jej ręce krwawią, obtarte sznurami, którymi związane były dokumenty. Jej twarz lśniła od potu. Kasłała, dławiąc się dymem. Mimo to nie narzekała. Nie przestawała pracować szybko, tak szybko, na ile pozwalało jej drobne, dziewczęce ciało. Chciałam jej pomóc, ale bałam

się, że wówczas ojciec wścieknie się również na mnie. Nie miałam odwagi wyjść z krzaków, w których się schowałam. Nie myślałam ani o gnieźdzących się niedaleko szcurach, ani o pająkach, ani o ślimakach, których się zawsze brzydziłam.

Niższy z więźniów mocował się z paką, w której musiała znajdować się część archiwum. Z trudem stawiał kroki, rozstawiał szeroko stopy i wyginał grzbiet. Trząsał się, a jego blada niedawno twarz przybrała kolor podobny do twarzy mojego ojca. Przechylał głowę do tyłu, byle tylko utrzymać równowagę.

Nagle dwa lub trzy metry od płonącej sterty zachwiał się, pakunek przeważył, a mężczyzna z łoskotem runął na plecy. Zaczął się śpiesznie podnosić, lecz nie miał siły. Drugi z więźniów patrzył na niego zdenerwowany, ale nie odważył się mu pomóc.

– Szlag!

Ojciec cisnął na ziemię grubym notatnikiem. Nie kontrolując się, podbiegł do leżącego mężczyzny. Chwycił go za ubranie, którego szwy puściły. Wtedy, jeszcze bardziej wściekły, złapał go za wychudzone ramię. Nie zważając na błagalne krzyki, przeciągnął więźnia ku płomieniom. Bez problemu, jak piórko, rzucił go w ogień.

Obozowy pasiak momentalnie się zapalił. Więzień spazmatycznie zerwał się na równe nogi, lecz zaraz upadł. Zaczął się tarzać. Płomienie strzelały z jego pleców i nóg. Usiłował się obrócić, ale nie miał dość siły. Ogień zajął jego dłonie. Widziałam, jak skóra czernieje i łuszczy się. Mężczyzna przez kilkanaście sekund miotał się bezsilnie. Jego wrzask niósł się po okolicy, aż w końcu zagłuszył go trzask strzelających w powietrze płomieni.

Zamknęłam oczy. Mimo to w nozdrza uderzył mnie okropny smród. Podobny do tego, który czasem był wyczuwalny, gdy dymiły kominy, ale zdecydowanie intensywniejszy. Gryzł mnie w gardło i przyprawiał o mdłości. Zwinęłam się w kłębek, a następnie padłam na ziemię. Płakałam. Czułam się, jakbym to ja wtedy płonęła.

Alicja przygryza wargę, a w jej oczach skrzą się łzy. Milknę i spuszczam wzrok. Nigdy nikomu o tym nie opowiadałam.

– Wtedy widziałaś Annę po raz ostatni? – pyta.



Nie wiem. Może? Przed oczami przewijają mi się sceny z dzieciństwa. Psy myśliwskie hodowane przez ojca, ich ujadanie i to, jak się ocierają o moje kolana. Dobre psy. Bardzo dobre. Zaraz dostaniecie nagrodę.

Spoglądam na kobietę przede mną i nie mogę sobie przypomnieć, co ona tu robi. Dlaczego płacze?

– O czym to ja mówiłam? – pytam zmieszana. – Przepraszam, ale...

– O dniu, gdy widziałas ją po raz ostatni.

Skądś ją znam, ale nie jestem pewna skąd. Jednak w jej towarzystwie czuję się całkiem swobodnie. Nie przeszkadza mi. Tylko nie mam zielonego pojęcia, co ma na myśli.

– Proszę, wybacz mi, ale kogo miałam widzieć po raz ostatni?

Blondynka zaczyna jeszcze mocniej płakać. Co rusz ociera łzy i pociąga nosem. Stara się do mnie uśmiechnąć, lecz jej usta drżą.

– To nic, to nic... – powtarza zdławionym głosem.

– Nie czuję się najlepiej. Muszę się położyć. Przepraszam.

Naprawdę mi przykro. Tylko gdzie ja jestem? Przecież w naszej willi miałam taką ładną sypialnię. Od dziecka wiedziałam, że jeśli umrę, to właśnie w niej. Jestem jednak gdzieś całkiem indziej. Dlaczego mnie zabraliście?

Niepokój zaciska się na mojej piersi. Dlaczego zostałam zabrana ze swojego domu? Co ja tu robię? Zaczynam krzyczeć. Krzykiem zagłuszam splątane myśli.

## ANNA

Widziałam to.

Nie potrafiłabym o tym opowiedzieć, lecz pisanie idzie lżej. Może dam radę i stanie się to takim samym wymysłem fantazji jak wiele innych wspomnień. Bajką, z której będę się śmiała. No dobrze, ale od czegoś trzeba zacząć.

Dokładnie wszystko widziałam.

Wstałam o porze, gdy ogień świtu rozświetlał oceaniczny granat nocy. To z jakiegoś wiersza, powieści albo ktoś tak po prostu powiedział, a ja zapamiętałam. Mamy już nie było w pokoju. Zazwyczaj wstawała bardzo wcześnie, aby załatwić wszelkie sprawunki dla pana Rotta. Z dnia na dzień było ich więcej, co Hauptsturmführer tłumaczył koniecznością zachowania pozorów. Pozory były dla niego czymś tak ważnym, jak poranna modlitwa. Nie wiem tylko, do jakich bogów się modlił. Ale to nieważne...

Jednym z moich porannych obowiązków było przygotowanie śniadania. Punktualnie o siódmej musiało się pojawić na stołach w salonie oraz w jadalni dla służby. Co drugi dzień sprzed bocznych drzwi odbierałam świeże pieczywo. Czekало zapakowane w lnianą szmatkę z odręcznie naskrobanym rachunkiem, który miałam przekazać panu Rottowi.

Co trzy lub cztery dni do pieczywa dołączano jajka, mleko i ser. Co tydzień dostawaliśmy masło. W chłodni znajdował się pokaźny zapas konfitur, które, zgodnie z zaleceniami, stanowiły podstawę śniadań. Hauptsturmführer rzadko robił odstępstwa i poprzedniego wieczora prosił o przygotowanie mu rano jajeczniczy lub przysmażenie szynki.

Zerknęłam na zegarek i zdałam sobie sprawę, że mam jeszcze sporo czasu. Obudziłam się wcześniej niż zwykle. Nie pamiętałam snów, a dalsze leżenie sprawiało, że poczułabym się źle. Świadomość, że mama już od jakiegoś czasu jest na nogach, wpędzała mnie w poczucie winy.

W domu wstawaliśmy o tej samej porze. Czekają na nas śniadanie przygotowane przez Lusię, która, jeśli chcieliśmy, podawała nam je do łóżka. Pamiętasz, Tatusiu, jak, gdy jeszcze byłeś w domu, przybiegałam do was i rzucałam się na pościel, błagając, żebyśmy zjedli razem? Żebyś mi poczytał, gdy będę piła gorącą czekoladę? Zgadzałeś się, sadzałeś mnie na kolana i muskałeś nieogolonym szorstkim policzkiem. W szafce nocnej specjalnie na te chwile miałeś przygotowane kilka tomików wierszy i zbiorów bajek.

A potem zniknąłeś...

Nie opowiedziałeś mi ostatniej historii i nie przeczytałeś tego poematu, którego – obiecałeś – będę mogła wysłuchać, kiedy dorosnę. Dorosłam już, Tato. Nawet nie wiesz, jak bardzo dorosłam przez te lata bez Ciebie. Tylko przy Tobie mogłam być małą, wesołą dziewczynką, dla której świat dorosłych w ogóle nie istnieje. Dla której nie ma nieszczęść, a największym strapieniem jest wybór intencji do modlitwy do Boga, w którego Ty chyba wcale nie wierzyłeś...

Znów odbiegam myślami.

Odebrałam produkty spod drzwi, po czym poszłam do kuchni. Byli w niej Dante oraz Rafael. Na odgłos moich kroków drgnęli przestraszeni. Dante przeciągnął dłonią po wychudzonej twarzy.

– Kiedyś zaserwuje nam panienka zawał. Przynajmniej mnie, bo ten młodzieniec ma serce jak dzwon, co w dzisiejszych czasach wcale nie jest zaletą...

– Przestań, tato...

– Serca jak dzwony pękają z rozpaczyny lub biją, wlekąc marne ciała ku...

Rafael wymownie pokręcił głową i jego ojciec umilkł. Ponownie pochylił się nad stołem. Podeszłam bliżej i zobaczyłam sadzonkę leżącą na gazecie.

– Co robicie? – zapytałam zaciekawiona.

– Wpadamy w kłopoty. Ot, co – mruknął Dante. – Mamy zaszcześcić to cholerstwo w ogrodzie, a choć mam pojęcie o rozszczepianiu równań matematycznych, to zadanie mnie przerasta.

– Może mama będzie potrafiła wam pomóc.

Ojciec i syn spojrzeli na mnie w nagłym przypływie nadziei. Rafael przełknął ślinę, po czym spuścił wzrok.

– Gdybyś była uprzejma... Bo widzisz... Szczepienie roślin przerosło ojca i obawiamy się, a nawet jesteśmy pewni, że...

– Dajcie spokój – uciełam ten pokrętny wywód. – Wszyscy wiemy, że pan Dante nie miał nic wspólnego z agronomią.

– Ależ miałem! – zaprzeczył mężczyzna. – Miałem piękny ogródek warzywny i te... Nie pamiętam, jak one się nazywają. No cóż. W końcu Dante to poeta, prawda? – W jego oku zobaczyłam ponury błysk. Choć dowcipkował, był całkowicie przybity.

– Poproście mamę o pomoc...

Opuściłam kuchnię, zawstydzona tym, jak ta dwójka skrzętnie ukrywała przede mną strach. Było mi wstyd zmuszać ich do dalszego odgrywania tej sceny. Pobiegłam prosto przed siebie.

Miałam jeszcze kwadrans, więc postanowiłam wyjść przed dom. Był rześki ranek, powietrze pachniało rosą i wstającym słońcem. Mrużyłam oczy, wpatrując się w osiadłą na trawniku wilgoć. Ściągnęłam buty i przebiegłam się po niej, wiedząc, że o tej porze nikt mnie nie zauważy. Robiłam to często, i właśnie to bieganie stanowi jedno z nielicznych przyjemnych wspomnień z dzieciństwa. Chciałam zapomnieć o Rafaelu i Danem. Staralam się zmusić do beztroski.

Moją gonitwę myśli przerwało dudnienie. Znałam ten odgłos. Doskonale zna go przecież każdy, a mimo to w pierwszym odruchu każdy się rozgląda, czy na horyzoncie nie zbiera się na burzę. Należało jednak zadrzeć głowę znacznie mocniej. Tak mocno, że patrzyło się dokładnie nad siebie.

Na tle sinogranatowego bezkresu przesuwały się czarne punkciki, które od czasu do czasu błyskały w promieniach wschodzącego słońca. Poruszały się w szyku i zmierzały na wschód. Pan Rott na ich widok w zamyśleniu pokiwałby głową. Zacisnąłby usta i od niechcienia zasalutował. W ostatnim czasie stał się obrzydliwie cyniczny.

Przez kilka minut obserwowałam samoloty, aż zniknęły za pierzastą chmurą w kolorze przypalonego mleka. Dudnienie ich silników stało się jeszcze głośniejsze.

Włożyłam zostawione przed wejściem buty i wtedy dobiegł mnie głos mamy. Słyszałam tylko strzępy słów, lecz nie miałam wątpliwości, że jest gdzieś w pobliżu. Zawstydzona własną ciekawością, zaczęłam nasłuchiwać.

Drugi głos należał do pana Rotta. Bez wątpienia znajdowali się we dwoje w jego gabinecie. Nie wiem, co mnie podkusiło, lecz na palcach skradałam się przy ścianie willi. O tak wczesnej porze w pobliżu nikt się nie kręcił. Dostawcy produktów już odjechali, a strażnicy stali przed bramą. Mimo to serce podeszło mi do gardła i miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Dosłownie czułam na sobie czyjś kpiący, prześmiewczy wzrok.

– Moglibyśmy razem pojechać do Rzeszy. Nie łudź się, że zostanie tu kamień na kamieniu, a sowici będą rozróżniać Niemców i Polaków. Nie jesteś głupia.

Hauptsturmführer mówił tonem niewiele głośniejszym od szeptu, mimo to teraz słyszałam już każde słowo. Podkrađłam się pod samo okno i przykucnęłam.

– Udzieliłam już panu odpowiedzi. – W głosie mamy brzmiała determinacja i złość. – Nie mamy o czym rozmawiać.

– Znow zaczynamy mówić do siebie oficjalnie?

– Nigdy nie przestaliśmy.

– Boże...

Wyobraziłam sobie, że pan Rott przeciąga dłońmi po twarzy. Po chwili rozległ się stukot jego podkutych butów. Przeszedł nerwowo po gabinecie, wymamrotał coś niezrozumiale i nagle okno nade mną rozwarło się na oścież.

Zdrętwiałam ze strachu.

Powstrzymałam piśnięcie i zwinęłam się niemal w kulkę. Bałam się mocniej nabrać powietrza. Bałam się w ogóle oddychać.

– Zależy panu tylko na jednym – wycedziła mama.

– Naprawdę tak myślisz? – Głos pana Rotta rozległ się tuż nade mną. – To szaleństwo – syknął. – Doskonale zdajesz sobie sprawę, że te rzeczy to tylko pretekst. I możliwość, żebyśmy zabezpieczyli sobie przyszłość.

– Nie mamy wspólnej przyszłości.

– Do niczego cię nie zmuszę, ale moja cierpliwość powoli się wyczerpuje. Nie jestem naiwny i widzę, że wszyscy chcecie wziąć mnie na przeczekanie! – Pan Rott uderzył pięścią w parapet. Zasłoniłam głowę rękoma i przeczołgałam się w stronę załomu muru. – Myślicie, że się stąd wyniesiemy i wszystko znów będzie jak dawniej? Nie rozumiesz mnie...

– Czy mogę odejść? Niedługo pora śniadania, powinnam już...

– Pieprzyć śniadanie!

– Ale...

Znowu rozległy się kroki podkutych butów i nagle mama pisnęła. Z gabinetu Hauptsturmführera doleciał mnie odgłos szarpaniny.

– Nie rozumiesz, że cię kocham? Tak trudno to pojąć? Muszę zdobyć te grafiki, bo myślałem o nich przez całe życie. Ale przez ostatnie tygodnie myślę przede wszystkim o tobie!

Gdy usłyszałam te słowa, zrobiło mi się gorąco. Ciepły ranek wybuchł żarem, jakbym stanęła naprzeciw wielkiego pieca. Zerwałam się do biegu, nie bacząc, czy ktoś mnie usłyszy albo zobaczy. Ze łzami w oczach pędziłam prosto przed siebie.

Płakałam.

Zaciskałam zęby i starałam się przełykać łzy. Siedziałam skulona, myśląc o tym, że jeśli ktokolwiek mnie widzi, to tylko Ty, Tato. A potem zdałam sobie sprawę, że jeżeli dopuszczam taką myśl, że jeśli miałbyś mnie widzieć w tej zapomnianej dżungli chaszczy i traw, to musiałbyś być gdzieś tam, gdzie były mknące niedawno samoloty.

A to by znaczyło, że...

– Nie płacz, proszę. – Usłyszałam tuż za sobą.

Zerwałam się, instynktownie gotowa uciekać na oślep przed siebie. Choć ta ucieczka skończyłaby się zapewne kilkadziesiąt metrów dalej przy budce strażników.

Opanowałam się i odwróciłam. Na skraju podwórza, przy metalowej taczce, stał Rafael. Patrzył na mnie wielkimi oczami, jakby sam zdziwiony tym, że się odezwał. Splótł palce i zaczął je sobie wyłamywać.

– Dziś śniadaniem zajmie się tata – dodał. – Kazał mi pójść do ciebie. To znaczy sam tego chciałem, ale on... Powiedział, że twoja mama pomoże mu z kwiatkami, a on odwdzięczy się najlepszym śniadaniem, jakie jedliśmy.

Zrobiłam krok w jego stronę i otarłam łzy.

– Widzieliście mnie?

– Tak – powiedział lekko zawstydzony. – Gdy obeszliśmy ogród, żeby sprawdzić miejsce na szczepionki, zobaczyliśmy cię przy oknie... Nie

widziałaś nas, pochłonięta słuchaniem...

– Ja, ja... – Zmieszałam się. – To nie tak, że...

– Przestań. Nie tłumacz się. Wszyscy musimy robić, co w naszej mocy, żeby przeżyć. Nawet jeżeli to podsłuchiwanie starszych albo drobne kłamstwa lub półprawdy.

Zdawało mi się, że Rafael znowu używa cudzych słów. Jego ojciec musiał być księgą bon motów.

– Nigdy nie kłamię.

– Tak myślałem. Wyglądasz na taką, która woli nic nie powiedzieć albo siedzieć sama w krzakach i bić się z myślami, zamiast przyjść do kogoś takiego jak ja... – Poklepał się w pierś. – ...i porozmawiać. Jestem zawsze do usług.

Uśmiechnęłam się i pociągnęłam nosem.

– Dziękuję – szepnęłam. – Choć nie wiem, czy trzy czwarte twojego wywodu to komplement, czy obraza.

– Najszczęśliwszy komplement.

– Tym bardziej dziękuję.

Rafael czujnie rozejrzał się wokół. Było jeszcze bardzo wcześnie, słońce ledwie zdążyło podnieść się nad horyzont, więc panowała cisza.

– Przejdziemy się? – zaproponował konspiracyjnym szeptem. – Tylko ty i ja. Wyrwiemy się z tego świata obłądzenia, bólu i kłamstw.

– Żartujesz? Gdzie mielibyśmy się przejść? Nie wolno nam opuszczać posiadłości...

– Jeszcze przez godzinę nikt nie zwróci uwagi na naszą nieobecność. Szczepienie kwiatów może poczekać.

Zastanowiłam się nad tym. Rzeczywiście, pan Rott przed śniadaniem i po nim zawsze był zajęty raportami oraz innymi obowiązkami, więc nigdy nas nie potrzebował. Przesiadywał w gabinecie, paląc długie cygaretki i w zadumie wypuszczając dym wprost w sufit.

– To nic nie zmienia – mruknęłam. – Chcesz podejść do strażników i obwieścić im, że idziemy na spacer?

Rafael pokręcił głową. Mój pełen wątpliwości ton nie zbił go z tropu.

– Dzieci są niewidzialne – zapewnił. – Tak zawsze mówi mój tata. Powtarzał, że razem z siostrą spadałem na jego pracownię jak plaga przezroczystej szarańczy. Nie widział nas, a wywracaliśmy wszystko do góry nogami.

– Chyba nie rozumiem.

– Znam parę sposobów, żeby się stąd wymknąć – obwieścił z dumą. – Może to nie magia, ale powinno ci się spodobać.

Kilka minut później przedzieraliśmy się przez zarośniętą krzakami dziurę w murze przy opuszczonym budynku gospodarczym. Rafael mężnie chwycił pokrzywy i odginał je, żeby nie poparzyły mi twarzy. Mimo to kilka listków musnęło moje odsłonięte ramiona.

– Co teraz? – zapytałam, otrzepując kolana. – Wszędzie są Niemcy. Jeżeli ktoś nas zobaczy...

– Przejdźmy się do lasu. Byłem tam kilka dni temu i nie spotkałem żywej duszy. Przy mnie naprawdę nie masz się czego bać. Tata mówi, że mam głowę nie od parady i łeb jak sklep jednocześnie.

– Nie jestem pewna, czy taka hybryda jest bezpieczna – odparłam, naśladowując jego ton.

– Zaufaj mi.

To mu zaufałam. Po kwadransie kluczenia nieużytkami, przekradania się zapuszczonymi rowami i zagajnikami wreszcie zanurzyliśmy się w chłodzie lasu. Powietrze pachniało tu wilgocią, a słońce podświetlało rozpięte między drzewami pajęczyny. Na niektórych z nich wciąż skrzyła się rosa.

– Niezły z ciebie harcerz – odezwałam się wreszcie. Nie myślałam już o tym, co pan Rott powiedział mamie. – Wybrałeś piękną trasę.

– Znam te okolice.

– Od dawna tu myszkujesz?

Rafael przez chwilę milczał. Szedł przede mną, nerwowo łapiąc gałązki i łamiąc je. Wreszcie zatrzymał się nad płytkim jarem. Zerknął na mnie.

– Przed wojną przyjeżdżałem tutaj z rodzicami na grzyby – wyznał ze skrzącymi się oczami. – Spacerowaliśmy po okolicy, urządzaliśmy sobie pikniki i nigdy, przenigdy nie pomyślałem, że trafię tu jak szczur, który musi bać się własnego cienia.

Chciałam zażartować z tej metafory, lecz zrozumiałam sens słów Rafaela. Poza tym nigdy dotąd nie słyszałam, żeby był tak poważny. Zmieniłam temat.

– Niedługo powinniśmy wracać.

– Mamy jeszcze chwilę. Wszystko jest pod kontrolą.



Dziarsko ruszył między drzewami. Posłusznie szłam za nim i wdychałam pełne wolności leśne powietrze. Moje myśli oderwały się od pana Rotta, od obozu i od willi. Oderwały się nawet od Ciebie, Tato, a jednak mam wrażenie, że jednocześnie zwały się z Twoimi myślami.

Nagle Rafael poślizgnął się na mokrej trawie. Potknął się o konar i jak długi runął w dół wąwozu, nad którym szliśmy.

– Żyjesz? – zapytałam szeptem. – Wstawaj.

– T... Tak.

– Chodź tu szybko.

Podeszłam do brzegu wąwozu i zerknęłam w dół. Jego ściana opadała pod znacznym kątem, ale krawędź wydawała się dziwnie równa. Poza tym ziemia w tym miejscu była świeża i...

Wtedy ujrzałam przeraźliwie bladą twarz Rafaela. Jego czarne jak węgiel oczy wyszły z orbit. Wpatrywał się we mnie, niemo poruszając ustami.

## GRETA

Odkładam pamiętnik i poprawiam okulary. Chyba wiem, co się zaraz wydarzy. Jednocześnie uświadamiam sobie, że nie pamiętam momentu, gdy zaczęłam czytać.

Co się ze mną działo, nim trafiłam do łóżka?

Siedzę oparta o wezglowie, a koc jest równo złożony na kołdrze w moich nogach. Składam go w inny sposób. Zawsze zwracam uwagę na wzór, pilnuję, żeby kwiaty były na górze, a...

Kwiaty.

Czuję zapach kwiatowych perfum. Aromatu, który kojarzy mi się tylko z jedną osobą. Alicja. Była tu? Nie mogę sobie przypomnieć, choć strzępki wspomnień przemykają mi po głowie.

Herbata, ciastko...

Rozmawialiśmy o Annie. Wiem o tym, a jednocześnie coś powstrzymuje mnie przed przywołaniem tematu tej rozmowy. Coś każe mi jeszcze tkwić w błogiej nieświadomości. Być może to instynkt przetrwania, lecz od dawna nie chcę trwać za wszelką cenę. To dobre dla znacznie młodszych.

Rozglądam się po pokoju, ale wszystko jest posprzątane. Zasłony są zaciągnięte, a na stoliku pali się lampka z ażurowym kloszem i mosiężnym łańcuszkiem. Rzadko z niej korzystam. Właściwie pochodzi gdzieś z moich najdalszych wspomnień.

Chciałabym, żeby odwiedził mnie Stanisław. Okropnie za nim tęsknię i myśl, że znów go uraziłam, sprawia mi ból. Wszyscy sądzą, że w pewnym wieku człowiek przestaje kochać i pozostaje mu jedynie dawne przyzwyczajenie, ale to kompletna bzdura. Potrzeba bliskości na starość staje się jeszcze większa.

Zerkam w ustawione na szafce zdjęcia i mrużę oczy. Powinnam wziąć drugie okulary, ale nie ma ich nigdzie w pobliżu. Mam wrażenie, że jeśli

się podniosę, nogi odmówią mi posłuszeństwa.

– Staś... – szepczę.

Kiedy mówię do siebie, czasem czuję się rażniej. To jedno słowo wywołuje na moich ustach uśmiech.

Na chwilę nie potrzebuję zdjęć.

Czuję bliskość Anny i Rafaela. Teraz pragnę ponownie zapaść się w ich świat.

## ANNA

– Rafael! – zawołałam, choć ostatnie głoski ugrzęzły mi w gardle.

– Pomóż mi, proszę cię, pomóż! Wyciągnij mnie stąd!

Nachyliłam się nad samym skrajem wąwozu i zrozumiałam, że w rzeczywistości rozciąga się pode mną rozległy wykop. Dlatego krawędzie były równe i ostre. Dlatego zapach ziemi był tak intensywny.

W dole, jakieś półtora metra pode mną, znajdowało się kilkadziesiąt poskręcanych ciał. Zakrwawionych i zastygłych w przerażających pozach. Z ich rozwartych ust wystawały obrzmiałe języki, martwe oczy patrzyły oskarżycielsko, a cienkie nosy z wielkimi dziurkami chciały po raz ostatni nabrać powietrza.

Zwłoki jedynie gdzieś tam okrywała cienka warstwa ziemi oraz liści. Zapewne czekano na następny transport. Rafael czołgał się pośród ciał, usiłując się wydostać. Jego dłonie rozgarniały martwe ręce i nogi.

Dopiero teraz uderzył mnie smród. Wcześniej nie zwróciłam na niego uwagi. Być może zapach śmierci był tak powszechny, że do niego przywykłam, a może z tego cementarzyska nie wydobywał się jeszcze z całą mocą.

Przerażona rozejrzałam się w przekonaniu, że gdzieś niedaleko są żołnierze. Nie zobaczyłam jednak ani wojskowych, ani ciężarówek, ani innych transportów ciał. Poza jękami Rafaela wszystko w lesie toczyło się naturalnym rytmem. Drzewa szemrały, słońce usiłowało przebić się przez ich splecione korony, ale w promieniu wielu metrów byliśmy tu tylko my.

I oni...

Jeszcze raz zerknęłam w stronę wykopu i zrobiło mi się niedobrze. Zdało mi się, że każdy z martwych spogląda wprost na mnie. Dziesiątki, setki utkwionych we mnie oczu... Zachwiałam się i aby nie spaść w dół,

natychmiast przykucnęłam. Oddychałam tak szybko, że zaczęłam kaszleć.

– Anuś...

Staralam się zebrać w sobie. Chwyciłam leżący obok drąg i położyłam się tuż przy skraju wykopu. Nie patrzyłam w dół. Na krzaku koło mnie dostrzegłam strzęp obozowego pasiaka.

– Masz... – wyszeptałam i wyciągnęłam na oślep drąg.

Rafał go złapał. Choć równie dobrze mógł go chwycić każdy z leżących tam zmarłych. Przebiegł mnie dreszcz. Z trudem się powstrzymywałam, żeby nie rzucić się do ucieczki. Kątem oka zerknęłam w stronę grobu.

Rafał przytrzymywał się wystających korzeni oraz wyciągniętej przeze mnie gałęzi. Stękał i ślizgał się na gliniastym podłożu, starając się jak najszybciej wyjść. Stąpał po martwych twarzach, wbijał w nie buty oraz kolana.

– Boże, Boże... – powtarzał bełkotliwie.

Jakimś cudem utrzymałam jego ciężar. Gdy wreszcie stanął obok, półprzytomna opadłam na ziemię. Miałam zdrętwiałe dłonie. W gardle zebrał mi się pył i z trudem mogłam oddychać.

– Dziękuję... Boże... Co to...

Obróciłam się na bok i powoli nabrałam powietrza. Uspokoiliam oddech, patrząc na siedzącego obok Rafała. Miał wytrzeszczone z przerażenia oczy i machinalnie ocierał dłonie o warstwę uschniętych liści. Bełkotał coś do siebie, lecz w jego słowach nie dosłyszałam żadnego bon motu ani zwyczajowego patetycznego tonu.

Nagle podniósł się i odruchowo otrzepał kolana.

– Chodźmy – zaskomlał. – Proszę, wracajmy.

Wstałam i pozwoliłam mu prowadzić się tą samą drogą, którą przeszliśmy. Nie wiedziałam, czy zdoła ją teraz odtworzyć, lecz najważniejsze było to, by po prostu iść. Byle dalej od tamtych ciał.

Po kilkuset metrach Rafał zaczął odzyskiwać swoje naturalne kolory. Jego ruchy stały się zsynchronizowane, a oddech nie rozsadzał mu już piersi.

– Nie miałem zamiaru zafundować ci takich przeżyć – wybełkotał, nie patrząc na mnie. – Naprawdę nie miałem zamiaru...

Typowy dla niego sposób mówienia sprawił, że momentalnie się rozluźniłam. Jakbym powróciła ze świata koszmarów i ocknęła się we

własnym pokoju. Te hałdy ciał nie mogły istnieć. Zostawialiśmy je za sobą jako wytwór fantazji.

Złapałam go za rękę, a on, wciąż się telepiąc, dumnie uniósł głowę.

– Chciałbym, żebyśmy teraz podjęli jakiś inny temat – odezwał się przez ściśnięte gardło. – Wprawdzie, wiesz, chciałbym cię pocieszyć, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Mam pustkę dorównującą pustce salomonowego kielicha, tyle że nic z tego nie naleję. Nie naleję nawet kropli swojego geniuszu...

Paplał jak najęty, nie wiedząc, że właśnie dzięki temu się uspokajam. Zaczęłam wypierać z umysłu okropne obrazy, które zobaczyłam przed chwilą.

– Nie wypada mi tego mówić, ale jestem autentycznie przerażony. Kompletnie.

Zacisnęłam mocniej dłoń i przeciągnęłam między swoimi palcami kościste palce Rafaela.

– Opowiedz mi coś – zaproponowałam. – Cokolwiek.

– Opowiedzieć?

– To może być twoja historia. Nie wiem, skąd wzięli się Rafael i Dante, więc chętnie posłucham.

## RAFAEL

Urodziłem się w Lublinie i od dziecka nasiąkłem zapachem cebularzy i samej cebuli, którą w mojej dzielnicy spożywano w przesadnej ilości. Poznałem uliczki Starówki i brud Podzamcza. Jednocześnie zakosztowałem śniadań w Wiktorii i obiadów w Polonii. Choć mam niewiele lat, doskonale pamiętam wozy rozbryzgujące kałuże krwi pod jatkami, nim nakazano kontrolowanie uboju. Pewnie nic o tym nie wiesz, ale nie będę cię zadręczał szczegółami. Moja historia mogłaby być komedią i horrorem. Dramatem, romanssem i tragedią. Akurat to powtarzam za ojcem.

Miałem biedaczkę siostrę, ale pozwól, że nie będę ci o niej opowiadał, bo na każde jej wspomnienie ściska mnie w gardle i w żołądku. To była wspaniała dziewczyna. Kochałem ją najbardziej na świecie i nawet teraz, po kilku latach, nie mogę pogodzić się z tym, że Bóg w swej łaskawości obdarował ją tyfusem. Albo cholera. Już nie pamiętam.

Po jej śmierci mama zamknęła się w sobie i oznajmiła, że nigdy więcej nie tknie jedzenia. Potem nie powiedziała już ani słowa. Mimo błagań ojca sumiennie trzymała się swojego postanowienia. W tym czasie tata, który wcale nie nazywał się jeszcze Dante, pracował jako buchalter dla pana Baumtargena. Pan Baumtargen miał fabrykę papieru, nielegalny zamtuz oraz całkiem dobrze prosperujący zakład jubilerski. Oficjalnie, ze względów sprzedażowych, działał pod zupełnie innym nazwiskiem, ale to już całkiem odmienna historia.

Pasją taty jest matematyka. Każdą wolną chwilę poświęcał mierzeniu się z kwadraturą koła, twierdzeniem Fermata oraz trójkami pitagorejskimi. Kilka razy był bliski naprawdę epokowych odkryć, lecz, jak twierdził, zawsze mu w nich przeszkadzałem. Wpadałem do jego gabinetu w najmniej spodziewanym momencie i siałem zamęt. Geniuszowi matematyki pozostawało rwać sobie włosy z głowy.

Tak, tak, gdyby nie ja, świat być może byłby całkiem inny, a każde dziecko uczyłoby się, jak za pomocą cyrkla oraz linijki podzielić kąt na trzy równe części. Wyobrażasz to sobie?

W momencie, gdy tata był na tropie największego z przełomów różniczkowych, zachorowała moja siostra. Od tamtego momentu nie sięgnął do swoich notatek i chyba całkiem zarzucił badania. Gdy biedaczka umarła, a moja mama osunęła się w świat szaleństwa, ojciec również zaczął odchodzić od zmysłów. Skorzystał nawet z ostatniej deski ratunku i udał się najpierw do rzymskokatolickiej katedry, a potem do cerkwi. Zahaczył też o jakąś muzułmańską bożnicę oraz kościół ewangelicki. W żadnym z nich nie znalazł tego, czego szukał.

Wreszcie zdobył się na krok całkowicie szalony. Za radą starego przyjaciela, cuchnącego czosnkiem Izaaka Loizmana, udał się do słynnego doktora, którego specjalizacją było leczenie ludzkich umysłów. Ten zjawił się u nas w domu parę godzin później. Zapalił duszące kadziła i odbył krótką pogawędkę z mamą. To znaczy: on mówił, a ona rytmicznie kiwała głową.

– Nie ma rady – orzekł wreszcie kategorycznym tonem osób, które się nigdy nie myślą. – Pozostają tylko Stumiłowice.

Po tej diagnozie nastąpiło kilka znaczących chrząknięć stanowiących mnożnik znanej mojemu ojcu mnożnej. Iloczyn ucieleśnił się nie w postaci chleba i wina, ale pokażnej sumki zapłaconej w złotych rublach. Ojciec po raz pierwszy naruszył niepisaną zasadę, która zakazywała tykania carskich oszczędności.

Cóż. W kolejnych latach okazało się, że tak jak car, tak ruble z jego upiękzoną facjatą mają bardzo względną wartość. Czasem nie miały jej wcale.

Ale do rzeczy.

Ani ja, ani ojciec nie mieliśmy zielonego pojęcia, czym są Stumiłowice, więc wyjaśnienia należą się również tobie. Stumiłowice to maleńka miejscowość, właściwie duża wioska, ale – jak utrzymywał doktor leczący ludzkie umysły – z wyjątkowym mikroklimatem oraz właściwościami magnetycznymi potrafiącymi wyrwać z najgłębszej melancholii. Mają jeszcze jedną istotną cechę. Na stumiłowickich przedmieściach znajduje się willa należąca do doktora, w której za pewną symboliczną opłatą można się zakwaterować.



Pewnie domyślasz się, że już kolejnego dnia tam trafiliśmy. Mama była przeraźliwie chuda, tak chuda jak większość kobiet tutaj, ale w tamtym świecie „przeraźliwie” znaczyło – naprawdę przeraźliwie. W Stumiłowicach jakiś odległy kuzyn i podwładny doktora zaserwował jej koktajle o tajemnym składzie. Dwa pierwsze mama wymiotowała, lecz później coś drgnęło. Za kolejne złote rublówki hochsztaplerzy doprowadzili ją do stanu, w którym nie tylko obojętne było jej życie, lecz także jedzenie i śmierć głodowa. Jeżeli mówiło się do niej, by jadła, robiła to bez mrugnięcia okiem. Bez mrugnięcia okiem robiła również pod siebie tym, co zjadła. Mimo to ogłoszono przezwycięzenie melancholii i rekomendowano przejście do kolejnego etapu.

Monotonna kuracja trwała wiele miesięcy i kosztowała ojca wszystkie oszczędności. Niechybnie utonęlibyśmy w długach, gdyby nie szczęśliwy obrót spraw i to, że Niemcy zafundowali nam bezpłatny pobyt w tym luksusowym ośrodku. Tyle że mama została w Stumiłowicach, a my, jak widzisz, wróciliśmy do Lublina. Oto całe skurwysyństwo losu, jak podsumował to tata.

Ach. Zainteresuje cię pewnie jeszcze jedno. Nie wiem, dlaczego pan Rott zlitował się nad nami i sprowadził do swojego ogródka, ale podejrzewam, że ojciec został z kimś pomyłony. Ot, zwykły zbieg okoliczności, z jakich składa się ten padół łez. Do tej pory stara się odgrywać swoją rolę. To trudne, jeżeli nazywa się go Dantem, a mnie – Rafaelem, lecz Hauptsturmführer jest ogromnym miłośnikiem sztuki. Dlatego mógłbym być nawet Klimtem, którego osobiście nie znoszę, a ojciec – Nietzschem lub Wagnerem. Ważne, że nadal żyjemy.

W ten sposób znaleźliśmy się tutaj i nasze losy spleły się z losem twoim i twojej mamy.

No i losami tych tysięcy gnijących ciał, o których zdołałem zapomnieć ledwie na kilka minut.

## GRETA

Otwieram oczy. Razi mnie światło słońca. Zasłony są rozsunięte, a wokół przesuwają się cienie. Mrugam, by wyostrzyć wzrok.

– Moja droga...

Podrywam się i kulę przy ścianie. Kulę się tak samo jak Anna pod oknem willi Hauptsturmführera Martina Rotta. Sen wciąż zlepia mi powieki i nie jestem pewna, czy się obudziłam. Może nadal śnię. Tylko o czym śniłam przed chwilą?

– Nie bój się, to ja.

Ojciec? Mój ojciec? A może ojciec Anny? Skołowana przetykam ślinę. Jak małe dziecko zasłaniam twarz dłońmi. Serce łaskocze mi w piersi, a po kręgosłupie spływa lodowaty dreszcz.

Powoli rozczapierzam palce. Jeden po drugim, by to, co zobaczę, nie ukazało mi się w pełni swojej potworności. Boję się. Za plecami czuję zimną ścianę, o którą opierały się pewnie dziesiątki osób. Ja mogę być ostatnią z nich. Cała willa, cały ten dom powinien być zrównany z ziemią jako siedlisko zła.

– Już, możesz otworzyć oczy.

Powoli odsuwam dłonie od twarzy i patrzę na Stanisława. Pamiętam go. Pamiętam te głęboko osadzone, smutne oczy i zmarszczone czoło. Pamiętam siwe włosy oraz laskę ze srebrną rękojeścią.

– Co ty tu robisz? – pytam. – Czy ja...

Stanisław przykłada palec do ust. Uśmiecha się czule i siada na przysuniętym do łóżka krześle.

– Czuwałem przy tobie. Zadzwoiłaś do mnie w środku nocy i chciałaś koniecznie dziś jechać.

– Jechać? Gdzie?

– Do pani Lisak. A właściwie Dunajewskiej-Lisak. Nic nie pamiętasz?

Stanisław splata ręce i na moment przymyka oczy. Gdy je otwiera, patrzy na mnie z jeszcze większą czułością. Jednak już się nie uśmiecha. Na jego twarzy goszczą zakłopotanie i żal.

– Cieszyłem się, bo chciałaś jechać tylko ze mną. Nie z Alicją ani z Krzysztofem. Pomyślałem, że to szalony pomysł, żeby dwójka osiemdziesięciolatków wybrała się w podróż, ale w końcu co mamy robić? Do odważnych świat należy i takie tam...

No tak. Wszystko zaczęło mi się przypominać. Mieliśmy spotkać się z kuzynką albo nawet córką Anny. To już dzisiaj? Podciągam kołdrę wyżej i opieram głowę o ścianę. Staram się zebrać myśli.

– Weź to. – Stanisław podaje mi na spodeczku kilka kolorowych tabletek. W drugiej drżącej dłoni trzyma szklanekę wody. – Twoja poranna porcja.

– Pamiętam – kłamię. – Sporo tego.

– Lekarz prosił mnie, abym wszystkiego dopilnował.

– A jeśli odmówię?

– Mam cię zmusić wszelkimi sposobami. – Stanisław puszcza do mnie oko. – Dwadzieścia lat temu potrafiłbym zdziałać cuda samą siłą perswazji. Teraz, niestety, prezencja już nie ta i sił trochę brak...

Łykam po kolei tabletki i zapijam je wodą. Odkasłuję.

– Powolutku...

– A mamy dość czasu? – pytam, trzymając na języku ostatnią.

– Żeby wybrać się na wycieczkę? Oczywiście.

– Doskonale. – Podnoszę się z łóżka i poprawiam koszulę nocną. Stanisław taktownie odwraca się do okna. Stoję bosymi stopami na nagrzanym przez słońce podłodze. Mam ochotę biec jak Anna po mokrej od rosy trawie.

Pamiętam, że ojciec uczył mnie tańczyć. Płasaliśmy po salonie w tę i w tę. Puszczał z gramofonu walce, prosił, żebym stanęła na jego stopach, i zaczynał tańczyć. Miał doskonałą prezencję. Sunął, delikatnie ściskając moje dłonie. Zaśmiewałam się wtedy do łez.

Raz-dwa-trzy-cztery.

Raz-dwa-trzy-cztery.

Co jakiś czas brał mnie na rękę, podrzucał i ostrożnie stawiał na ziemię. Był dobrym ojcem.

Uświadamiam sobie, że poruszam się w rytmie jego kroków. Tańczę. Stanisław przygląda się mi z zachwytem. Przechyla głowę i bezgłośnie bije brawo.

Zaraz. Jak go nazwałam?

Nie powinnam mówić do ojca po imieniu. Spogląda na mnie z uznaniem, zadowolony z efektów nauki. Jestem pewna, że gdyby w pomieszczeniu było pianino, zacząłby na nim przygrywać. Zawsze tak pięknie grał.

Dość. Dość.

Łapię zadyszkę i zaczynam kaszleć. Wciąż się śmiejąc, pijackim krokiem podchodzę do okna. Opieram się o parapet i nabieram świeżego powietrza. Uwielbiam poranki.

– Chodź, zobacz! – krzyczę i wskazuję na podwórze.

Słyszę za sobą kroki, więc przesuwam się, by zrobić miejsce przy oknie.

– Znów dymią – szepczę. – Widzisz? – Przytykam palec do szyby. – Kominy krematoriów znów dymią. Znów, znów, znów...

Wzruszam ramionami i odwracam się do stojącego za mną mężczyzny. Jego starcza twarz jest bardzo ponura. Tak ponura, jak twarze grabarzy najweselszych pomysłów. Dostrzegam na niej także zmęczenie. Mną? Życiem? To nieistotne.

Mężczyzna chwyta mnie za dłoń i delikatnie prowadzi do łóżka.

– Odpocznij – szepcze, a następnie sięga po leżący na szafce nocnej brulion. – Poczytam ci. To cię uspokoi, więc o nic się nie martw. Obiecuję, że wszystko będzie dobrze.

Skoro wszystko ma być dobrze, to dlaczego ten poczciwy starzec w oczach ma łzy?

## ANNA

Atmosfera paniki narastała z godziny na godzinę. Wróciliśmy z Rafaelem do willi tą samą drogą, którą wymknęliśmy się z niej przed niespełną godziną. Po tym, jak opowiedział mi swoją historię, większość czasu już milczeliśmy.

Z każdym krokiem powracały dawne problemy. Nakazałam sobie, by nigdy nie poruszać z mamą tematu jej rozmowy z panem Rottem. Nigdy, przenigdy jej tego nie zrobię.

Gdy wróciliśmy do willi, przy pomieszczeniu dla służby spotkaliśmy Dantego. Podszedł do syna i uważnie mu się przyjrzał. Następnie badawczo spojrzął na mnie.

– Coście tacy ponurzy? Jeśli kłopotczecie się szczepieniem tej zieleniny, głowy do góry. Mama panienki powiedziała, że wszystko załatwi na bum cyk cyk.

– My tylko... – Rafael po raz pierwszy nie wiedział, co powiedzieć. Wzruszył jedynie ramionami.

– Macie swoje sekrety? To świetnie! Sekrety są zwierciadłem duszy dwojga ludzi, którzy z lekkością Noego wyrzucającego nawóz... – Zamilkł. Nie było mu do śmiechu i zobaczył, że nie jest też w stanie nas rozbawić. – Wkrótce uciekniemy – szepnął nagle. Rozejrzał się konspiracyjnie po korytarzu i szeroko uśmiechnął. – Mam wszystko opracowane co do detalu. – Popukał się w łysą czaszkę. – Wszystkie plany przechowuję w najbezpieczniejszym miejscu.

W głębi domu rozległy się kroki i ponownie umilkł. Spłoszona, jakbym usłyszała coś bardzo niewłaściwego, pobiegłam do kuchni. Tam spotkałam mamę. Robiła wszystko, żeby nie pokazać mi swojego zdenerwowania. Śniadanie było już gotowe, w przygotowanych potrawach widziałam rękę Dantego.

Przez kilka minut udawałyśmy, że obie jesteśmy w dobrym humorze. Nagle mama wybuchła płaczem. Przyciągnęła mnie do siebie i objęła. Poglądziła mnie po włosach tak jak Ty, Tato.

A potem powiedziała mi o naszym rodzinnym skarbie. Obiecałam, że zapamiętam wszystko do końca życia i gdy to szaleństwo się skończy...

W tym momencie do kuchni wszedł pan Rott.

Zapadła cisza.

## GRETA

Ranek.

Kolejny dzień.

Taki sam jak wczoraj i przedwczoraj. A jednak czuję się całkiem dobrze. Wiem, gdzie jestem i kim jestem. Wiem, co mi dolega i z łatwością mogłabym omówić kartę własnej choroby. A to naprawdę wiele. Świadomość moich słabości stanowi element tych coraz rzadszych momentów pełnego rozbudzenia. Owszem, potrafię teraz rozgraniczyć jawę codzienności od wieczności snu.

Pamiętam o Annie i o mojej wczorajszej rozmowie ze Stanisławem. Pamiętam, że zasnęłam ululana jego monotonnym, nieco chrapliwym głosem. Spałam wiele godzin, lecz dzisiaj naprawdę jest lepiej.

Przekartkowuję pamiętnik i ślizgam się wzrokiem po zdjęciach Anny oraz Lusi. To twarze, które odeszły, tak samo jak odeszła moja twarz sprzed wielu lat. Patrzą na zmieniające się pismo. W ciągu tych kilkudziesięciu stron dłoń litery nabrały harmonii, a zarazem niedbałości. Bazgrane w wagonach, pod gołym niebem czy w cuchnącym baraku. Zatrważające było to, że wszystkie wskazywały, jak bardzo Anna zaczęła akceptować swój los. Pogodziła się z nim i zdała się na niego. To właśnie była tajemnica, która stała za coraz równiejszym pismem.

Przeciągam palcem po blacie komody i rozcieram pył. Przez te wszystkie lata moje wspomnienia osiadły na meblach jak kurz. Strzepując go, przywołuję niechciane obrazy i narażam się na kichanie. Tak mógłby to ująć Rafael lub jego ojciec. Teraz obaj tkwią głęboko we mnie, więc bez względu na to, co zesłał im los, nadal żyją.

Dzisiejszy ranek ma zapach kawy i dymu papierosowego, który wlatuje przez okno. Nie interesuje mnie, kto ani gdzie pali. Skoro sprawia mu to przyjemność, niech pali do woli.

Robię kilka kroków, żeby rozruszać mięśnie. Po wstaniu z łóżka czasem czuję się sztywna i muszę uważać, żeby nie zwalić się na podłogę jak kłoda. Szuram stopami o nagrzane deski. Powoli zbliżam się do stolika i sięgam po słuchawkę telefonu. Obok aparatu leży notes, lecz w lepsze dni, takie jak ten, nie potrzebuję go.

Wybieram numer z pamięci. Mam nadzieję, że niczego nie pomyliłam i nie przeceniłam swoich możliwości. Mam nadzieję, że nie wykręciłam przez omyłkę numeru na straż pożarną lub do centrali, przez którą łączyłam się z ojcem. W centrali SS rozmawiają dziś już tylko duchy.

– Halo?

Nie pomyliłam się. Stanisław odkasłuje i wypuszcza powietrze prosto do mikrofonu.

– To ja... – przedstawiam się powitaniem większości bezimiennych.

– O, Greta, jak dobrze cię słyszeć! Jak się czujesz? Czy...

Pytanie zamiera mu na ustach, lecz pojmuję, czego miało dotyczyć.

– Wszystko pamiętam – stwierdzam. – I wiem, że wczoraj zawaliłam. Przepraszam.

– Przestań.

– Wiesz, że nie potrafię.

Stanisław wzdycha. Czeką, aż ja coś powiem, więc nie pozostaje mi nic innego jak przejść do sedna.

– Posłuchaj... Czy dziś dalibyśmy radę spotkać się z panią Dunajewską?

Jest wyraźnie rozradowany. Słyszę ulgę przepływającą przez drut telefoniczny.

– Oczywiście – mówi szybko i pewnie. – Pani Maria obiecała, że zawsze będzie gotowa. Chyba rozumie, jak bardzo jest to dla ciebie istotne.

– W takim razie...

– Będę po ciebie za pół godziny. No, może, jeśli moje starcze kości postanowią się po drodze rozsypać, za trzy kwadransy.

– Dziękuję – szepczę i odkładam słuchawkę.

W tym samym momencie nachodzą mnie odwieczne wątpliwości. Jeśli Maria jest córką Anny, to znaczyłoby, że ta przeżyła wojnę. Jednak Krzysztof wspomniał, że może to być również jej kuzynka. Albo nawet przyrodnia siostra.



Powinam była doczytać te zapiski do końca. Lepiej poznać prawdę z martwych kart niż ze spojrzenia żywych oczu.

Czy zasługuję na wysłuchanie? Nie interesuje mnie wybaczenie ani mnie, ani mojemu ojcu. Nie potrzebuję tego. To jedyny wniosek, do którego doszłam przez ostatnie dni. Nawet jeżeli pokrętnie zapewniałam Alicję, że doznałam jakiejś iluminacji, to jest to zwykła bujda. Czuję się tak samo zagubiona jak rok i jak pięćdziesiąt lat temu.

Pośpiesznie zajmuję się toaletą, co w moim wieku bywa ryzykowne. Ubieram się, przeglądam w lustrze i, jak zawsze rozczarowana, akceptuję swój wygląd. Siadam w fotelu i czekam. Dziennik leży na stoliku obok, lecz powstrzymuję się od sięgnięcia po niego. Boję się, że podczas lektury znów osunę się w świat mroku.

Mam dość okłamywania samej siebie.

Boję się czegoś zupełnie innego.

Czy Maria zna prawdziwą historię Anny? Jeśli nie: czy w ogóle powinna ją poznać? Opowiadanie losów rodziny to nieudolne zabawianie się w Boga. Czasem pewnych pustek lepiej nie uzupełniać. Lekarze, pytani, czy nasz bliski cierpiał, umierając, powinni kłamać. Pytamy, a jednak nie chcemy znać prawdy.

Ale ona przecież musi znać tę historię. Skoro należy do tych wszystkich fundacji i stowarzyszeń, o których wspominał Krzysztof, musi ją coś z nimi wiązać.

Ja również przekazywałam na nie datki.

Ta myśl sprawia mi przykrość. Nie zasługuję na to, by cokolwiek łączyło mnie z tymi ludźmi, i nie powinnam czyścić swojego sumienia pustą ofiarą.

Słyszę pukanie, a potem zgrzyt klucza wkładanego do zamka. Nie pamiętam, kiedy dałam Stanisławowi jeden z kompletów. Kiedy drzwi się otwierają i widzę go w progu, czuję się lepiej. Wątpliwości się rozwiewają. Pojedziemy tam razem, a on nie będzie mnie oceniał. Dla niego zawsze będę staruszką z alzheimerem i dziwnymi pomysłami.

– Moja droga. – Kłania się szarmancko. – Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Niespodziankę, która powinna cię naprawdę mocno zaskoczyć.

Podnoszę się z fotela i podpieram o blat stolika. Muszę pamiętać, aby wziąć ze sobą pamiętnik.

– Jesteś gotowa?

Kiwam potakująco głową.

– Zdradzę ci ją, gdy wsiądziemy do pociągu.

Od kilkunastu lat nie jechałam pociągiem. Zbliżając się do dworca, odczuwam narastające podekscytowanie, niczym dziecko podchodzące do Świętego Mikołaja, który trzyma worek prezentów. Nie mam pojęcia, co mi się zaraz przytrafi. Chcę wreszcie wylosować od losu szczęśliwy numer.

Tak niewinnie nie czułam się już bardzo długo, a niedawne wątpliwości całkowicie się rozwiały. Wyrwana ze świata codziennych rytuałów, nie jestem skrępowana. Nie tęsknię za łóżkiem ani za własnym kącikiem. Cieszę się i kuśtykam, wspierając na ramieniu Stanisława. Musimy wyglądać pokracznie, lecz co z tego? Wiem, że chwila szczęścia może oznaczać rychłe nadejście burzy, ale jestem na to gotowa.

Zostawiamy za sobą szmer zlanych upałem autobusów i zanurzamy się w chłodzie poczekalni. Okrągły zegar wskazuje jedenaście po dziesiątej. Mamy jeszcze nieco czasu.

– Napijesz się czegoś? – Stanisław zatrzymuje się i unosi laskę. Mierzy nią w stronę automatów.

– Umiesz obsłużyć to cholerstwo?

– W sześćdziesiątym piątym lub szóstym ustrzeliłem na jarmarku dziesiątkę. W nagrodę dostałem lemoniadę.

– Obawiam się, że gdybyś zaczął strzelać do tych automatów, nasza podróż skończyłaby się na komisariacie.

– Szczegóły!

Stanisław ostrożnie wywija się z mojego uścisku i niezdarnymi dłońmi przetrząsa kieszenie. Z jednej z nich wyciąga garść drobniaków, po czym staje przed automatem. Szuka otworu, do którego powinien je wrzucić.

– Tutaj... – Ochroniarz zatrzymuje się i wskazuje właściwe miejsce. – Na co państwo mają ochotę?

– Dla mnie kubek wrzątku. Muszę wziąć leki.

– Ja wezmę herbatę. – Stanisław uśmiecha się zawadiacko. – Co mi tam, podobno w pociągach są wygodne toalety.

Ochroniarz spogląda na nas rozbawiony i wybiera właściwe cyfry. Po chwili podaje mi kubek.

– Proszę uważać, jest gorący.

– Dziękuję.

*Pociąg relacji Szczecin–Warszawa wjedzie na tor trzeci przy peronie drugim. Uwaga, uwaga...*

To nie nasz.

Mocuję się z torebką i wyciągam opakowanie lekarstw. W odpowiednich przegródkach mam medykamenty na każdą godzinę. Dopiero gdy są wszystkie razem, widzę, że mogłabym poza nimi nic nie jeść, a pewnie i tak bym nie schudła.

Stanisław przechadza się w pobliżu. Jest równie podekscytowany jak ja i co chwilę zerka na tablicę przyjazdów. Wystukuje laską jakiś tajemniczy rytm. Stoimy na uboczu, aby tłum, który ruszył w stronę peronu, nie porwał nas ze sobą.

– Mamy jeszcze jedenaście minut – mówi nagle. – A o ile pociągi są tak punktualne, jak myślę, to pewnie co najmniej kwadrans.

– Co proponujesz?

Zamiast odpowiedzi podsuwa mi rękę. Skoro oszaleliśmy na tyle, by znaleźć się w tym miejscu, nie dopytuję. Jestem ciekawa niespodzianki, o której wspominał, lecz mimo tego, że w pewnym wieku człowiek ma już naprawdę niewiele czasu, staje się cierpliwy. Wszystkiego dowiem się we właściwej porze.

Człapiemy do wyjścia. Ochroniarz obrzuca nas zdziwionym spojrzeniem, a ja jedynie się do niego uśmiecham. Musi mieć nas za zdemenciałych wariatów. Nagle Stanisław się zatrzymuje i nachyla do okienka kiosku.

– Marlboro, czerwone – prosi i podaje sprzedawczyni banknot. – Oraz zapalniczkę.

Chwilę później wraz z grupką studentów stoimy przed wejściem na dworzec. Stanisław rozpakowuje papierosy i mnie częstuje.

– Nie paliłem dwadzieścia siedem lat – wyznaje. – Dziś jest ten dzień, kiedy mogę sobie na to pozwolić.

– Nigdy nie miałam papierosa w ustach.

– Może najwyższy czas spróbować? To najlepsze remedium na stresi, wątpliwości i przepustka na każdy kibelek w przypadku najgorszego

zatwardzenia. Jednocześnie fundusz gwarancyjny przyjemnego zawrotu głowy.

Biorę papieros i obracam go w dłoni.

– A co mi tam. Jeżeli umrę na raka płuc, możesz oficjalnie uznać Boga za naczelnego kpiarza wszechświata.

– Jak dla mnie nosi ten tytuł od zawsze.

Przysuwa się i osłania mnie od wiatru. Pstryka zapalniczką.

– Musisz się zaciągać.

– Ach...

Wciągam kłęb dymu i natychmiast zaczynam kaszleć.

– Jezus Maria!

Studenci patrzą na nas i szeptem wymieniają komentarze. Stanisław bierze ode mnie papieros, zaciąga się i również kaszle. Teraz młodzi ludzie wybuchają głośnym śmiechem.

– Pieprzyć to. – Stanisław gniewnie wyrzuca papieros do metalowej popielniczki. – Teraz nawet tytoń nie smakuje jak dawniej.

– Tak, to z pewnością wina tytoniu.

Chichoczemy do siebie jak nastolatki. Nie zważamy na otaczający nas świat. Znajdujemy się w dziwnej rzeczywistości, do której nigdy wcześniej nie udało mi się wstąpić. Przez moment zastanawiam się nawet, czy to wszystko nie jest wytworem choroby. Nie. Na pewno nie.

Upał jest prawdziwy, prawdziwy jest też pot ściekający po mojej skroni i posmak spalenizny w ustach.

*Pociąg relacji Poznań–Lublin przez...*

– Chodź! – Stanisław bierze mnie pod rękę i ciągnie z powrotem w stronę peronów. – Czas na nas.

Momentalnie rozwiewa się mój dobry nastrój. Zastępuje go przenikliwe poczucie realizującego się przeznaczenia. Przeznaczenia, któremu nie mogłam się oprzeć ani ja, ani mój ojciec. Dopada mnie apatia.

– A teraz niespodzianka – przypominam sobie, gdy wreszcie odnajdujemy nasz wagon.

Stanisław gwałtownie poważnieje. Zerka przez okno. Pociąg z drugiego peronu powoli rusza, co daje wrażenie, jakbyśmy my również byli w ruchu.

– Nie spotkamy się z Marią – szepcze.

– Co takiego?

Nagle zaczynam drżeć. Dlaczego mówi mi o tym dopiero teraz? Wobec tego dokąd jedziemy?

Podnoszę się, gotowa wybiec z pociągu.

– Spotkamy się z Anną – obwieszcza. – Ona wciąż żyje.

Koła stukoczą miarowo i usypiająco, a jednak jestem pobudzona. Wątpliwości, których zdawało się przed chwilą nie być, uderzyły we mnie ze zdwojoną siłą.

Stanisław siedzi obok mnie. Międlę paczkę papierosów, jakby w zdjęciu szerniałych płuc kryła się tajemnica wszechświata. Odkąd obwieścił mi, że spotkamy się z Anną, jestem niemal sparaliżowana.

Kątem oka obserwuję przesuający się za oknem krajobraz. Płaskie pola, nieużytki, rzadkie lasy, w których kryją się nieodnalezione mogiły.

Muszę zrobić jeszcze tylko jedno.

Z ociąganiem wyjmuję z torebki poźółkły brulion i otwieram na stronie, na której skończyłam.

Pociąg stukocze tak samo, jak stukotały pociągi wiozące ludzi do Bełzca, Majdanka i Oświęcimia.

Miarowo i usypiająco.

A jednak jestem pobudzona.

## ANNA

– Patrz! To raporty doktorów Kahlmanna i Gartnera! – Pan Rott rzucał na ziemię kolejne papiery. Wyciągał je ze skórzanej teczki, pokazywał mamie i zmiął. – Znienawidziłaś mnie za prawdę? Chcesz zdjęć? Jak mam ci to udowodnić? Nie wystarczają ci badanie porównawcze i fotografia, którą wyciągnięto z jego kieszeni, a której istnienie sama zgłosiłaś do raportów?

Mama była blada i skamieniała. Stała z opuszczonymi ramionami, patrząc na pana Rotta, a jednocześnie jakby go wcale nie widząc. Nie rozumiałam tego, o czym przed chwilą rozmawiali. Wiedziałam, że o ojcu, ale starałam się nie dopuszczać tego do świadomości.

Nagle pan Rott odwrócił się w moją stronę. Od rana usiłowałam go unikać, lecz w końcu wezwał mnie i mamę do gabinetu. Nie mogłyśmy mu przecież odmówić.

Z podwórza dobiegały odgłosy gorączkowej krzątaniny. Przed bramą stało kilka ciężarówek, a Sebastian z paroma innymi żołnierzami pakował walizki do kabrioletu. Ognisko z mebli i dokumentów wciąż płonęło. W niebo strzelały płomienie. Strzępy spalonych kartek okleiły okno i wpadały do pomieszczenia. Usłane były nimi meble oraz podłoga.

– Spójrz! – Pan Rott przyklęknął przy mnie i wyciągnął jakieś pismo.

– Zostaw ją!

– Niech patrzy, jest mądrzejsza od ciebie.

Mama poruszyła się, chcąc zabrać mu dokument, lecz brutalnie ją odtrącił. Spojrzał mi prosto w oczy i zastukał palcem w kartkę. Zerknęłam na zdjęcie, które pokazywał. Była to fotografia mnie i mamy sprzed jakichś sześciu lat. Pamiętam dzień, gdy ją zrobiliśmy. Był wtedy mróz, padał śnieg i fotograf prosił abysmy, co najmniej kwadrans rozgrzały się w jego atelier, nim zaczniemy pozować.

„Zaczerwienienia nie współgrają z czernią i bielą fotografii, *mes chères dames*. Proszę spocząć, proszę, *s'il vous plaît*, tutaj, tutaj, rozgośćcie się w tym skromnym przybytku. Rozgrzejdzie się. *Chocolat chaud? Café?*” Był to pan Perthier, który naprawdę nazywał się chyba całkiem inaczej, ale mówiłeś, Tato, że zwariował i zaczął myśleć, że jest Francuzem. Pamiętasz go? Pamiętasz ten jego śmieszny wąsik i nieszkodliwą, natrętną kurtuazję? Lubiliśmy go. Kiedy dowiedziałeś się, że ma chorego synka, zamówiłeś u niego zdjęcia nas wszystkich, z każdym dostępnym rekwizytem. Wydałeś na to fortunę, a potem okazało się, że ten chłopczyk i tak umarł. Byłeś na pogrzebie, ale zabroniłeś mamie i mnie iść ze sobą. To przynosi pecha... Tak właśnie powiedziałaś.

To było to zdjęcie. Zbyt dobrze je pamiętałam, żeby zaprzeczyć.

– Kocham twoją matkę – wyznał nieoczekiwanie pan Rott. Nie wiem, czy tylko mi się zdawało, ale w jego oczach dostrzegłam łzy wściekłości. – A ona wynajduje kolejne problemy. „Mój mąż żyje, mój mąż żyje” – powtarza w kółko. Tylko wiesz co?

– Nie słuchaj go! – Mama rzuciła się na niego i zaczęła okładać go pięściami. Jednak on nie zamierzał zamilknąć. Odsunął ją na odległość ramienia.

– To zdjęcie znaleziono przy zwłokach wyciągniętych z dołu, do którego bolszewickie bydło wrzuciło ofiary egzekucji. Rozumiesz? Twojego ojca Rosjanie rozwalili strzałem w tył głowy. – Pan Rott wygiął się i przyłożył palce do potylicy, po czym udał, że pociąga za spust. – Pif-paf. Był człowiek, nie ma człowieka. Przepadł.

– To nieprawda! – zaszlochała mama.

– Ależ oczywiście, że prawda. Musicie się z tym pogodzić.

Jeszcze raz zerknęłam na zdjęcie i świat wokół mnie zawirował. Na fotografii mama była taka szczęśliwa. Powstrzymywała uśmiech, ale w jej oczach widać było radość. Nosiłeś ją przy sercu, Tato. Kartonik był wytarty i podniszczony. Pewnie zerkałeś na niego wiele razy.

Przeraża mnie jedna myśl. Siedząc gdzieś tam, samotny, gładziłeś nasze twarze na fotografii i myślałeś, że jesteśmy tuż obok. Mówiłeś do nas tak samo, jak ja teraz piszę do Ciebie. Liczyłeś na to, że nasze myśli się połączą, a one nigdy, przenigdy nie miały na to szansy. Może wszyscy jesteśmy samodzielnymi bytami, dla których istotny jest jedynie czubek własnego nosa, własne cierpienie i chęć pocieszenia samych siebie?

Rozmowa z nami samymi, w której zadajemy trudne pytania, by po chwili udzielić najwygodniejszych odpowiedzi?

Mama już nie powstrzymywała szlochu. Opadła na kolana. Ledwo widząc przez zasłonę łez, podeszłam do niej. Przytuliłyśmy się, żałosne i osamotnione. Zostawiłeś nas, Tato.

Świat momentalnie stał się pusty i pozbawiony sensu. Po co miałabym pisać, po co miałabym wykonać najmniejszy ruch, jeżeli wszystko znika? Jeśli na końcu nas wszystkich czeka jedynie pustka? Po co w ogóle płaczę, skoro nikogo nie interesuje mój ból ani niczego nie mogę nim zmienić?

Mama jakby pomyślała o tym samym i nagle się uspokoiła. Przytuliła mnie jeszcze mocniej i pogłaskała po plecach. Powoli się podniosła, po czym otarła dłońmi twarz. Spojrzała panu Rottowi prosto w oczy.

– Nie wierzę – wycedziła. – Czuję, że on gdzieś tam jest. A nawet więcej, wiem o tym. Tak samo jak wierzę w kominy, bo je widzę. Wierzę w krematoria, bo je również widziałam i czułam dobywający się z nich smród. Wiem, że z transportu, którym tu dotarliśmy, nie przeżył praktycznie nikt. Tylko my i tych dwóch, którzy zajmują się twoim ogrodem.

Pan Rott założył ręce na plecy i nerwowo zerknął przez okno. W oddali słychać było kanonadę.

– To prawda – przyznał. – Wasz transport był przeznaczony do eliminacji.

– Dlaczego więc nas uratowałeś?

– Już o tym mówiłem.

Mama z niedowierzaniem pokręciła głową. Roześmiała się histerycznie.

– O nie, nie. Interesują cię pewnie tylko te cholerne obrazy i grafiki. Myślisz, że dzięki nim się urządzisz, ale gówno dostaniesz!

Wymierzyła panu Rottowi policzek. SS-man złapał jej dłoń i z całej siły zacisnął na niej palce. Mama pisnęła.

– Naprawdę źle mnie oceniasz.

– Wszyscy jesteście zerami. – Mama splunęła mu w twarz. – Usatysfakcjonuje cię zamordowanie bezbronnej kobiety czy będziesz się chełpił jej uratowaniem? Mój mąż nie mógł się zadawać z kimś takim jak ty.



– Ty suko!

Hauptsturmführer pchnął mamę tak mocno, że upadła na podłogę.  
Chciałam do niej podbiec, lecz odtrącił również mnie.

– Nawet nie próbuj! – wrzasnął.

## GRETA

Mrugam.

Wyprostowuję się i zerkam przez okno. Patrzę na bale siana porozrzucane na ogołconych polach, słupy elektryczne i pojedyncze domy. Czasem w oddali przemyka auto. Przez te wszystkie lata świat się niewiele zmienił. Gdy byłam dzieckiem, myślałam, że w pewnym wieku wszystko staje się zrozumiałe. Że znajduje się odpowiedź na każde pytanie i pozbywa się dylematów. Jakby wiek usprawiedliwiał zamianę wiary w przekonanie.

Bóg istnieje.

Boga nigdy nie było.

Nadal tkwię w tym samym, niezmiennie martwym punkcie. Czy istnieje coś takiego jak człowieczeństwo?

Stanisław oparł głowę o szybę i śpi. Ma rozluźnioną twarz, ale w dłoni wciąż ściska rękojeść laski. Cicho pochrapuje. Może śmierć, niczym sen, przynosi przede wszystkim ukojenie? A może ktoś już o tym wszystkim pomyślał i uznał, że piekło należy się tym, którzy miewają koszmary?

Ja często śnię koszmary.

Pociąg zwalnia. W moim umyśle pojawia się fragment, który przeczytałam kilka dni temu. Mogę go zacytować z pamięci, a gdybym chciała, nie miałabym problemu z odtworzeniem tego, jak go napisano. Pamiętam każdą literę i kropkę. Każdy zawijas i niedociągnięcie.

*W tym samym momencie rozległ się kolejny gwizd lokomotywy i pociąg zaczął zwalniać. Stukot kół stawał się coraz bardziej miarowy, aż w końcu przemienił w pisk hamulców.*

*Dotarliśmy do celu.*

*Tym razem rozplakałam się wraz z wieloma innymi.*

Ja też mam ochotę płakać. Pot oblepia mi kark i przykleja się do kołnierzyka.

To niczym podróż w czasie, a jednocześnie wiem, że dotarłam do punktu wyjścia. Czy przeznaczenie naprawdę wygląda w ten sposób? Ale ja nie zasłużyłam na wygodne miejsce w wagonie, klimatyzację i w miarę czystą toaletę na korytarzu. Życie to nie jest kwestia zasług.

Przykro mi, że w historii Anny stanowią zaledwie tło. Przewijam się jako dziesięćrzędna postać, która nie ma żadnego znaczenia. Nie zaprzyjaźniła się ze mną i nie potrzebowała mnie. Trzymała się na dystans, choć wspomnienia podpowiadały mi, że było inaczej. Dla niej zapewne byłam córką hitlerowskiego bydlęcia. Wrogiem zasługującym na śmierć lub potępienie milczeniem. Na zapomnienie. Pogardę.

Poza tym wiem, że ojciec trzymał mnie od nich z daleka. Mimo że kilkakrotnie go prosiłam, nie pozwolił mi zjeść z Anną i jej mamą posiłku ani dołączyć do nich podczas popołudniowego czasu wolnego. Miałam zakaz bawienia się z nimi, a zakazy ojca były świętością. Nigdy nie odważyłabym się mu przeciwstawić. W trakcie wydarzeń z ostatnich stron pamiętnika siedziałam w kabriolecie, kompletnie nieświadoma tego, co się dzieje. Cieszyłam się, że szykujemy się do dłuższej drogi. Sebastian dorzucał kolejne bagaże, a Karl grzebał przy silniku. Pamiętam to całkiem wyraźnie. Pamiętam żar ogniska płonącego na podwórzu i zamieć niesionych wiatrem nadpalonych dokumentów.

Od jakiegoś czasu czuję na sobie spojrzenie Stanisława. Obudził się i, wciąż oparty o szybę, uważnie mi się przygląda. Przez chwilę udaję, że tego nie widzę. Wdzięczność do niego gwałtownie wypełnia mi serce. Chciałabym się do niego przytulić i poczuć, jak krew wędruje meandrami jego żył. Przywrzeć i stać się jednością. To gówniarskie uczucie, które małolaty nazywają przyływem miłości. Na jego opisie poległy dziesiątki romantycznych poetów. A mimo to naprawdę czuję się tak, jak te wiele, wiele lat temu, gdy przebywałam w internacie.

Stanisław delikatnie się uśmiecha. W przedziale jesteście tylko we dwójkę i moglibyśmy siedzieć obok siebie, lecz z jakiegoś powodu znajdujemy się naprzeciw. Być może wymagają tego względy pruderyjności, a może siedząc w ten sposób, więcej widzimy.

Stanisław cichutko wystukuje laską jakąś melodię. Stukot ledwie przebija się ponad szum wlokącego się pociągu.

– Wiesz już, co jej powiesz? – pyta. – Namyśliłaś się nad tym?

Kręcę głową.

– Nie. Zastanawiam się nawet, czy będę miała odwagę w ogóle się odezwać. Może w gardle urośnie mi gęsia łuska i uda mi się jedynie coś wybełkotać.

– Nie martw się. To potoczy się samo.

– Być może. – Wzruszam ramionami. – Przede wszystkim chcę jej spojrzeć w oczy, a potem...

– A potem co?

– Pozostanie mi tylko umrzeć. Jak wszystkim wokół.

Stanisław się nie odzywa. Cicho wzdycha i wspiera obie dłonie na srebrnej rękojeści laski. Tymczasem pociąg ponownie nabiera prędkości.

To nadal nie nasza stacja. Dzięki Bogu, mam jeszcze chwilę.

Ponownie spoglądam w karty pamiętnika i zaczynam czytać.

## ANNA

W tym momencie ktoś zapukał do uchylonych drzwi gabinetu. Pan Rott zaczerpnął mocno powietrza i się wyprostował. Jego twarz była zaczerwieniona, a przy nosie zebrały się kropelki potu. Zacisnął zęby, po czym odruchowo wygładził bluzę mundurową.

– Wejść!

Do środka wkroczył dwudziestokilkuletni podoficer w zapyłonym mundurze i butach. Było widać, że jest zdenerwowany. Pan Rott obrzucił go niechętnym spojrzeniem i niedbale machnął ręką.

– Czego? – warknął.

– Ma się pan natychmiast ewakuować – wyrzucił żołnierz z prędkością karabinu. Chwilę później dodał tonem usprawiedliwienia: – To rozkaz Obersturmbannführera.

– A on?

– Widziałem, jak kolumna wyjeżdżała na zachód.

– Przez miasto?

– Tak. Na razie ulice są bezpieczne. – Podoficer podał panu Rottowi aktówkę. – Tu ma pan rozkazy oraz informacje o punktach zbiorczych.

– Co z więźniami, którzy pozostali w obozie?

– Ci, którzy pozostali, w niczym nie zaszkodzą Rzeszy.

Pan Rott skinął głową. Wyprostował się i dał znać podoficerowi, że może odejść.

– Panie Hauptsturmführer... – wycedził młodzieniec. – Rosjanie są kilkanaście kilometrów stąd.

– Nie jestem głuchy. Od pół godziny słyszę strzelaninę.

– Rozkaz ewakuacji ma zostać wykonany natychmiast.

Pan Rott zaśmiał się sarkastycznie. Zerknął na mnie, a potem na mamę.

– Coś jeszcze? – zapytał. – Jeśli nie, proszę się samemu natychmiast ewakuować. To rozkaz.

Podoficer stuknął obcasami i pośpiesznie wyszedł. Po chwili na dworze rozległy się nerwowe pokrzykiwania. Zarządził silnik którejs z ciężarówek.

– Musimy coś sobie wyjaśnić.

Nim dotarło do mnie znaczenie tych słów, pan Rott wyciągnął coś z jedynej pozostałej szafki. Błyskawicznie dopadł do mamy i założył jej kajdanki. Przykuł ją do metalowego grzejnika.

– Niech pan przestanie! – krzyknęłam. – Proszę, błagam!

Przyciągnął mnie do siebie i klęknął. Przez moment patrzył mi prosto w oczy. Byłam przekonana, że mnie posłucha i nie zrobi mamie krzywdy. W jego spojrzeniu tkwiło autentyczne uczucie. Tego nie da się zagrać.

– Tak trzeba – wyszeptał. – Tak trzeba, moja droga.

– Zostaw moją córkę. Zostaw ją! – Mama krzyczała i się szarpała, lecz kajdanki trzymały mocno. – Zostaw ją, do cholery!

– Nic jej nie zrobię.

– Zostaw nas... Błagam!

– Ciii... – Pan Rott przytknął palec do ust. Niedaleko rozległ się potężny huk eksplozji i wszyscy się odruchowo skuliliśmy. Świat się zatrzęsł, a z sufitu poleciał tynk. Niemiec oprzytomniał jako pierwszy. Wyprostował się i odkaszlnął. – Chcesz mieć lepsze życie? – zwrócił się do mnie. – Musisz pokazać, że na to zasługujesz. Masz jeszcze szansę na przetrwanie tego gówna. Pani Dunajewska właśnie ją zaprzepaściła swoim uporem i brakiem wiary.

– Ja...

Mama dławiła się płaczem, lecz już się nie szarpała. Usiadła na podłodze i patrzyła na mnie tępo. Do jej pokrytej mezbrem czaszki przywarło kilka białych płatków. Pył osiadł na jej długich rzęsach.

Pan Rott otrzepał mundur i sięgnął do kabury. Wyciągnął z niej pistolet. Obrócił go w dłoni, po czym ponownie przy mnie kucnął.

– Przeciwności należy zwalczać – odezwał się szorstko. – Doskonale zdaję sobie sprawę, że wiesz tyle samo, co Frau Dunajewska. Spiskowałyście i dzieliłyście się sekretami. Wiesz, gdzie ukryto wasz majątek, prawda? Wiesz. Widzę to, więc nie próbuj mnie okłamywać. W tej zasranej Polsce nauczyłem się wyczuwać kłamstwo na kilometr.

– Niech pan nie robi nam krzywdy. Proszę!

– Ja? – Pan Rott się zaśmiał. – Przed chwilą proponowałem wspólną wyprawę do mojego bawarskiego majątku. W ostatnich latach nieco podupadł – to fakt, ale w ostateczności mam kilku całkiem niezłych przyjaciół w Ameryce Południowej. Wiem też, skąd można by wydobyć nieco gotówki i sfinansować podróż nas wszystkich. Ale nie... – Hauptsturmführer obrócił pistolet i podał mi go, rękojeścią w moją stronę. – Proszę. Śmiało. – Poglądził mnie po włosach i pocałował w czoło. – Weź go.

– Nie mogę.

– Ależ możesz. Powiedziałem, weź go.

Mama coś szepnęła, lecz nie dosłyszałam co. Zerknęłam w jej stronę, a wtedy gwałtownie pokręciła głową. Jej oczy były przekrwione, ale już nie płakała. Pociągnęła nosem.

– Bierz go! – huknął pan Rott. – Pokaż, że jesteś coś warta, albo zastrzelę was obie!

– Ja...

– Bierz!

– Posłuchaj pana Rotta. – Usłyszałam głos mamy. – Bądź grzeczna.

– Dobrze. Już dobrze!

Wzięłam pistolet i od razu niemal go wypuściłam. Był znacznie cięższy, niż mi się wydawało.

– Tu jest spust. – Hauptsturmführer wskazał palcem na metalową wypustkę. – Jeżeli go naciśniesz, pistolet wystrzeli. To bardzo proste.

Broń drżała mi w dłoni, czułam zólc zbierającą się w gardle. Było mi słabo. Słowa pana Rotta docierały do mnie jak przez grubą ścianę. Jakbym leżała zanurzona w balii wody, a on mówił do mnie gdzieś nad jej powierzchnią.

– Wystarczy wycelować i nacisnąć spust. Wtedy poczujesz delikatny odrzut, więc dobrze mieć usztywniony nadgarstek. Lepiej, żeby pistolet ci nie wyleciał z dłoni. Poza tym nie ma w tym żadnej filozofii. Cel, spust, wystrzał. Konsekwencje cię nie interesują.

Monotonny, niemal znudzony ton jego głosu przyprawiał mnie o jeszcze większe mdłości. Pot ściekał mi po skroniach, a krew rozsadzała serce. Zaczęłam się trząść.

– Pani Dunajewska nas zdradziła – wyszeptał pan Rott. – Zastrzel ją, a potem stąd uciekniemy. Pani Dunajewska! – SS-man zwrócił się do mamy. – Proszę powiedzieć Annie, że to najlepsze wyjście. Że w ten sposób się uratuje.

Mama spuściła głowę. Wybełkotała coś niezrozumiale. Wreszcie nabrała powietrza i ponownie na mnie spojrzała.

– Zrób to – szepnęła. – Zrób.

Odwróciła wzrok, gotowa na strzał.

Rękojeść pistoletu ślizgała mi się w zlanych potem dłoniach. Z trudem powstrzymywałam torsje. Poprawiłam chwyt i przesunęłam palce. Uniosłam pistolet.

Spust przemieścił się z oporem.



## GRETA

Pociąg wyhamowuje i delikatnie szarpie. Pisk cichnie, a chwilę potem trzaskają drzwi. Na korytarzu odzywają się kroki i głosy. Ktoś śmieje się do rozpuku.

My również opuszczamy przedział i dołączamy do kolejki do wyjścia. Krok za krokiem suniemy za ludźmi wypakowującymi z pociągu całe swoje życia. Kilka waliz, toreb oraz wózek z rozdartym oseskiem. Jakbyśmy znaleźli się na Ziemiach Odzyskanych.

Niedługo później przemierzamy pełną podróżnych halę. Nad naszymi głowami zwisają sześcioramienne żyrandole, a metalowa kula umyka wystającej z podłogi iglicy wspartej o różę wiatrów. Spikerka wyczytuje kolejne komunikaty. Nie słucham ich. Pozwalam się prowadzić Stanisławowi, który doskonale rozumiejąc mój stan, maszeruje szybko i pewnie. Jakby odmłodził o dwadzieścia czy trzydzieści lat. Może rzeczywiście przez ostatnie kilkaset kilometrów właśnie o tyle cofnęliśmy się w czasie. Jednak moje nogi są nadal tak samo niezdarne, a dłonie wciąż obrzęknięte i obolałe. To nic.

Drzwi rozsuwają się i oto przed nami staje Lublin. Zakryta reklamą fasada pudełkowatej kamienicy, trolejbusy kurczowo trzymające się pajęczyny drutów rozpiętej nad placem i ulicami, rząd taksówek wyprężonych jak flota limuzyn czekających na przybycie kogoś ważnego. Za linią drzew po drugiej stronie pochylają się kamienice z nadszarpniętymi zębem czasu elewacjami. Na pewno przemalowywano je skuteczniej niż mnie faszerowano lekami.

Ostrożnie schodzimy po kilku stopniach. Znajdujemy się w cieniu, a w twarze dmie nam ciepły, suchy wiatr. Nie ma żadnego zapachu. Choćbym chciała, nie wyczuwam w nim wspomnień ani historii. Odwracam się i spoglądam na przysadzisty budynek dworca. Tędy nie jechały żadne transporty. Więźniów wysadzano kilka kilometrów dalej,

by nie niepokoić mieszkańców miasta. Nocami, jak Annę i jej matkę. Potem prowadzono ich opłotkami lub wymarłymi ulicami, których strzegła godzina policyjna.

Ponad okrągłym zegarem orzeł rozpościera skrzydła w formie zniczy. Nie wiem, czy to tylko mój wymysł, czy zamiar artysty.

– Chodźmy. – Stanisław łagodnie ciągnie mnie za rękę.

Wsiadamy do taksówki i owiewa nas przyjemny chłód klimatyzacji.

– Dokąd?

Podajemy zapisany na kartce adres, ale po chwili przychodzi mi do głowy jeszcze jedna myśl.

– Jak długo zajmie nam dojazd? – pytam.

– Teraz nie ma ruchu, więc najwyżej kwadrans.

– W takim razie proszę nas przewieźć przez centrum. Chciałabym zobaczyć Lublin chociaż przez szybę.

– Pierwszy raz w naszym mieście? – Taksówkarz uśmiecha się i uruchamia silnik. Motor pracuje znacznie ciszej niż tamten w kabriolecie.

Wymieniam ze Stanisławem znaczące spojrzenia.

– Tak, pierwszy raz – odpowiadamy równocześnie.

Chwilę później taksówka wspina się ulicą wiodącą pod górę. Po obu stronach kamienice i inne zabudowania są nieco niżej jej poziomu. Widzę dachy pałaców i jakiegoś rozległego kompleksu. Na ścianie jednego z domów ciemniejsze cegły są ułożone w masonski cyrkiel oraz datę: 1937. Spoglądam przez przednią szybę. Patrzę na zwalisty barokowy kościół oraz dominującą nad okolicą wieżę. Kierowca zauważa moje spojrzenie.

– To katedra oraz Brama Trynitarzka. Dawniej stanowiły kompleks jezuicki – mówi. – Za chwilę miniemy Bramę Krakowską, za którą rozciąga się Stare Miasto. Nie wiem, czy państwo wiecie, ale w Lublinie działał jeden z dwóch trybunałów koronnych dla Rzeczypospolitej. Na Starówce leży kamień katowski, na którym wykonywano wyroki śmierci przez ścięcie. Rzadka rzecz, podobno jego dotknięcie przynosi pecha, dlatego nazywamy go kamieniem nieszczęścia. Poza tym – taksówkarz rozgadał się na dobre – działały tu sądy świeckie i kościelne. Mielśmy inkwizycję. Choć mówi się, że Polska to kraj bez stosów, te gdzieniegdzie płonęły. A tam... – Mężczyzna wychyla się i wskazuje na ulicę schodzącą

mocno w dół, pomiędzy rzędami łukowato wygiętych kamienic. – Tam znajdowała się dzielnica żydowska. W czasie wojny – getto. Do tej pory pod Zamkiem Lubelskim na znak pamięci nieustannie pali się jedna z latarni. To ładny symbol. Niedługo przejedziemy obok dawnego przytułku i po prawej zobaczycie państwo wieżyczkę. To tak zwany domek kata. Jeden z nielicznych zachowanych w tej części Europy. Wiecie, że kaci, jako ludzie nieczyści i przeklęci, musieli mieszkać poza obrębem murów miejskich? Naprzeciw rozciąga się park Saski, założony w...

Przestaję słuchać. Wszystkie wspomnienia mieszają się i zalewają mój umysł, pozostawiając ślady jak fale muskające piaszczysty brzeg.

Chciałam przejechać się po mieście, by zobaczyć coś więcej niż obóz. Chciałam się przekonać, że nie cały świat jest zły. Ale to nieprawda. Zło jest odwieczne i obecne pod każdym kamieniem. Czasem ściera się z dobrem, a niekiedy dobro nawet nie podejmuje próby walki.

Przeklęci kaci wymierzali sprawiedliwość. Duchowni palili na stosach niewinne kobiety, których jedynymi grzechami były uroda i niechęć do oddania się przygodnemu szlachcicowi. Słyszałam, że nawet diabeł odwrócił wzrok, nie chcąc patrzeć na niegodziwość tego świata.

Może wszyscy jesteśmy przeklęci już od chwili narodzin? A może nie ma rozróżnienia między „tobą” a „mną”?

Ponownie sięgam po pamiętnik i przyglądam stronie. Została mi już tylko końcówka. To z niej poznam historię Anny. A potem...

A potem dowiem się, czym tak naprawdę było zło.

## ANNA

Rozległo się puste, metaliczne szczęknięcie. Wymierzony w pana Rotta pistolet nie wystrzelił.

Byłam gotowa na potężny odrzut, lecz broń nawet nie drgnęła.

Boże.

Serce podeszło mi do gardła i momentalnie opuściły mnie siły. Pistolet upadł na podłogę. Nie potrafiłam się nawet poruszyć.

– Moja droga... – wyszeptał pan Rott. Na jego twarzy wypisane było rozczarowanie. Wydawał się autentycznie zawiedziony tym, co zrobiłam. Ukląkł przy mnie i podniósł pistolet. – Dlaczego mnie nie posłuchałaś? Dlaczego nie posłuchałaś pani Dunajewskiej?

Nie odpowiedziałam. Stałam jak zamurowana, nie mogłam nawet się rozplakać. Oblekłam się w całun bezgranicznej apatii. Nie zwracałam uwagi na łzy mamy, na jej łkanie ani na kolejne nieodległe eksplozje.

Pan Rott również działał jak w transie. Choć z sufitu sypał się tynk, a kanonada wprawiała dom w drzenie niczym w trakcie trzęsienia ziemi, nie dbał o to wcale. Wyciągnął z kieszeni magazynkę i wsunął go do pistoletu. Wciąż miał ten sam rozczarowany wyraz twarzy, ale jednocześnie ponuro się uśmiechał.

– Wydałaś wyrok – oznajmił. – Wiesz, że właśnie tak to działa? Nasze zachowania pociągają za sobą konsekwencje. Każdy skutek ma swoją przyczynę. Chyba nie zamierzasz tego kwestionować? – Spojrzał na mnie uważnie i przekrzywił głowę. W jego oczach błyszczało szaleństwo. – Musimy ponosić odpowiedzialność za własne decyzje – ciągnął. – Wiesz... Kazano mi spalić wiele dokumentów i rozkazów, pod którymi się podpisałem. Nie zrobiłem tego. Wierzyłem, że wszystko, co robię, robię słusznie. Żałuję tylko, że nie udało mi się was przekonać.

– Proszę...

– O co prosisz, maleńka?

Pan Rott podniósł się i odwrócił. Zerknął na mamę, która całkowicie opadła z sił. Pustym wzrokiem przypatrywała się temu, co się działo. Wydawało mi się, że jej spojrzenie jest utkwione w jednej z leżących na podłodze fotografii.

Kolejny wybuch wstrząsnął domem. Pan Rott otarł pył z twarzy i intensywnie zamrugał. Za oknem rozległ się krzyk. Następny dołączył do niego jeszcze bliżej.

– Herr Hauptsturmführer!

Pan Rott zaśmiał się nerwowo.

– *Fünf Minuten!* – krzyknął, a do mnie powróciły okropne wspomnienia. Następnie zwrócił się do mamy. Gdybyś tam był, Tato, nigdy nie pozwoliłbyś mu tak mówić. – A więc wszystko skończone. Nie mam tylko pojęcia, kto wygrał, ty czy ja. W każdym razie zabiorę Annę ze sobą i gwarantuję ci, że na tym historia się skończy.

– Zostaw ją!

– Ktoś powiedział, że historię piszą zwycięzcy, ale nie miał racji. Historię piszą ocalali. I musisz wiedzieć, że ty nie będziesz się do nich zaliczać. – Pan Rott przeładował pistolet i wymierzył w mamę. Skamieniałam. Patrzyłam na to wszystko jak zza zasłony. – Żegnaj, droga...

Kolejne jego słowa zagłuszyła eksplozja. Pistolet wystrzelił, lecz kula utkwiała w podłodze, kilkadziesiąt centymetrów od mamy. Pan Rott ponownie uniósł broń. W tym samym momencie drzwi z hukiem rąbnęły o ścianę i do wypełnionego pyłem gabinetu wpadli Rafael i Dante.

– Szybciej, na niego! – wrzasnął Dante. – Tu, tu!

Zrozumiałam, że wrzeszczy, aby odciągnąć uwagę pana Rotta. Jednocześnie Rafael biegł ku niemu wzdłuż ściany. To był prosty plan, ale nie mógł się udać. Odległość dzieląca ich od Niemca była zbyt duża.

Zobaczyłam krople potu na twarzy Dantego. Jego wychudzone ciało poruszało się w całkowicie nieskoordynowany sposób, jakby każdy mięsień i każda kość żyły własnym życiem. Jakby biegnąc, miał się rozpaść.

W pierwszym momencie pan Rott wyglądał na zaskoczonego. Odwrócił się i cofnął o krok w głąb gabinetu. Rafael rzucił w niego wielką książką, lecz Hauptsturmführer zdołał się uchylić. Tomiszcze uderzyło o ścianę.

Po chwilowym zaskoczeniu Niemiec oprzytomniał. Jego pokryta pyłem twarz stężała, a mięśnie się napięły. Błyskawicznie ocenił sytuację.

Wymierzył w Dantego i wystrzelił. Dwa albo trzy razy. Zobaczyłam, że ojciec Rafaela wygina się jak do skoku, a chwilę później pada. Z jego piersi trysnęła krew.

– Uciekajcie! – krzyknął, charkocząc. – Szy...

Nim ktokolwiek zdołał go posłuchać, gruchnęły kolejne strzały. Kula świsnęła obok mnie i wzbija obłoczek pyłu ze ściany po drugiej stronie pokoju. Rafael upadł, ale miałam nadzieję, że jest cały.

– Tato... – załkał i zmarł w pół ruchu.

W tym samym momencie pan Rott wystrzelił ponownie. Z tak bliska nie mógł chybić, jednak gwałtownie się zachwiał. To mama pchnęła w jego stronę krzesło. Oparcie rąbnęło go w biodro, co jeszcze bardziej go rozwścieczyło. Mimo to Rafael zyskał kilka sekund. Dopadł do okna i wyskoczył na podwórze. Momentalnie zniknął za ścianą.

Kolejne strzały strzaskały framugę i parapet. Hauptsturmführer zaniechał pościgu. Jego złość skupiła się na mamie. Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem, a ja, skulona, nie mogłam choćby się poruszyć. Łkałam, tępo gapiąc się przed siebie. Kątem oka widziałam rosnącą kałużę krwi i przebierającego nogami Dantego. Starał się wybełkotać ostatni bon mot, lecz nie był w stanie. Świat nie pozwolił mu na pożegnanie, a ja miałam nigdy nie poznać jego prawdziwego imienia.

– Żegnaj.

Kula trafiła mamę prosto w głowę. Widziałam, jak przez moment zamiera w bezruchu, a jej wzrok kieruje się w moją stronę. Otworzyła usta i wtedy zdałam sobie sprawę, że jej mózg wytrysnął na ścianę. Poruszyła wargami, lecz nie mogła już wypowiedzieć nawet słowa. Bezwładnie zwała się na podłogę.

Domem wstrząsnęła kolejna eksplozja.

Osunęłam się w nicość.

## GRETA

– Jesteśmy na miejscu.

Głos taksówkarza przywołuje mnie do rzeczywistości. Przez chwilę nie wiem, gdzie miałabym być. W uszach dudnią mi strzały oraz eksplozje. W oczach mam łzy. Nie potrafię wyrwać się ze świata Anny. Mam zaciśnięte gardło, a przed oczami stoi mi obraz jej zamordowanej matki.

Stanisław płaci i wysiada z auta. Po chwili otwiera drzwi po mojej stronie.

– Moja droga...

Nie mogę się poruszyć. Taksówkarz zerka na mnie z niepokojem.

– Dobrze się pani czuje?

– Nie – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Przepraszam.

Powoli wytaczam się z samochodu i zaciskając w dłoni dziennik, stoję na chodniku. Promienie słońca padają mi prosto w twarz. Oszołomiona mrużę oczy. Stanisław momentalnie pojawia się przy mnie i z reflekssem, którego się po nim nie spodziewałam, podtrzymuje mnie.

– To przez nerwy?

Kręcę głową.

– Przez to, co wyczytałaś w tym pamiętniku? – dopytuje. – Powiedz mi, proszę. Możemy się jeszcze wycofać i zapomnieć o sprawie. Uznamy, że zrobiliśmy sobie wycieczkę, i tyle.

– T... tak. Może tak właśnie powinniśmy zrobić.

– Zrobimy, jak zechcesz. Ty decydujesz.

Nagle drżę i sływa na mnie świadomość mojego ciała. Czuję każdy mięsień, każde ścięgno i każdy staw. Obracam się i z całej siły przytulam się do Stanisława. Chciałabym cała schować się w jego ramionach. Opuszczam głowę i wtulam się w jego marynarkę. Czuję ciepło jego skóry i delikatny aromat korzennych perfum.

Płacę.

On czule mnie obejmuje. Jedną dłonią głaszcze moje plecy, a drugą chwyta za dłoń. Jego laska łąduje gdzieś na chodniku. Srebrna rękojeść brzęka o betonową płytę.

– Cii... – uspokaja mnie jak dziecko. – Już dobrze, moja droga. Już dobrze.

– Przepraszam... – Łkam. – Wybacz mi...

– Nie ma czego, najdroższa.

– Muszę to zrobić.

Prostuję się i ocieram oczy. Stanisław wciąż mnie podtrzymuje, ale widząc, że nie upadnę, schyla się po laskę. Podaje mi ramię.

Chwytam się go i powoli kroczymy w stronę żelaznej bramy. Po obu jej stronach ciągnie się szpaler tui. Furtka jest otwarta. Gdy Stanisław ją popycha, zawiasy piszczą jak we wszystkich bajkach.

Wchodzimy na niewielkie podwórze, na którym pręży się kilka starych, pogiełych sosen. Przed nami wznosi się niewielka willa. Staję jak wryta. Wspomnienia ożywają ze zdwojoną siłą.

Stanisław podpira mnie i utrzymuje w pionie. Robi mi się ciemno przed oczami. Nogi się pode mną uginają, ale udaje mi się nie upaść.

Mrugam, starając się jednocześnie uspokoić oddech.

– Byłam tu – szepczę, gdy kontury willi ponownie się wyostrzają.

*Zbudowano ją w stylu typowym dla końcówki ubiegłego wieku. Miała dwukolumnowy portyk, nad którym znajdował się balkon z niską barierką w formie kolumnady. Do głównych, dwuskrzydłowych drzwi prowadziło kilka stopni. Po obu stronach domu umieszczono po trzy okna. Całość budowli krył łamany dach. Nad portykiem znajdowały się balkon oraz wykusz. Willa miała smutny, gołębi kolor, który ożywiały białe okna i drzwi.*

Co prawda, teraz gołębi kolor zamienił się w brudną szarość, dach pokryły wykwity rdzy, a portyk popękał, a do tego schody przypominały rumowisko, ale nie mam żadnych wątpliwości.

To ta willa. To tu spędziłam wiele miesięcy swojego życia. Mimowolnie zerkam w stronę zrujnowanego budynku gospodarczego, przy którym Anna i Rafael przekradli się na niefortunną wyprawę do lasu. Zerkam w kierunku poletka, na którym uprawiali rośliny. Wypatruję szklarni,



ale nie został już po niej nawet ślad. Na podjeździe nie ma także czarnego kabrioletu, a dwuskrzydłowych drzwi nie strzegą strażnicy. Zniknęli Sebastian i Karl. Nie ma Rafaela, Dantego ani pani Dunajewskiej. Nie ma mojego ojca.

– Co to ma znaczyć? – pytam ledwie słyszalnym głosem.

– Anna czeka na ciebie w środku – odpowiada Stanisław, jakby o niczym nie miał pojęcia. Jakby nie wiedział, że to właśnie tu mieszkałam, a niespełna kilometr stąd dymiły kominy Majdanka.

Powłóczę nogami. Czuję ból całego ciała, jednak działam jak maszyna. Kieruję się w stronę uchylonych drzwi. Wydaje mi się, że za jednym z trzech okien po lewej poruszyła się firanka. Właśnie tam kiedyś znajdował się gabinet mojego ojca. Właśnie przez to okno wyskoczył Rafael. Może po tych wszystkich latach cień któregoś z nich przesunął się na mój widok.

– Ja... – Zatrzymuję się na pierwszym schodku. – Nie wiem, czy dam radę.

– Dasz. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Stanisław delikatnie mnie podtrzymuje. Zmierzamy ku drzwiom jak młoda para wspinająca się ku wejściu do katedry.

– Ale...

Splatam palce z jego palcami. Oddycham coraz szybciej i płycej. Pamiętam każdy z tych siedmiu stopni. Wreszcie stajemy w progu. Rozglądam się po tonącym w półmroku holu. Story w dwóch oknach są zaciągnięte. W środku nie pali się żadne światło i nie ma ani jednego mebla.

Na miejscu zegara stojącego jest rozpadająca się skrzynka na ziemniaki. Wszędzie wokół poniewierają się śmieci oraz papiery. Przy wejściu do jadalni stoi rząd puszek po piwie, a o ścianę opiera się przegniłe opakowanie z logo pizzerii. Drzwi prowadzące na korytarz do bocznego wejścia, te, przez które Anna weszła tu po raz pierwszy, obluzowały się i wiszą na zawiasach jak wspierająca się na dłoniach partnera łyżwiarka. Wydaje się, że lada moment gruchną o podłogę. Wnętrze willi cuchnie stęchlizną. Wszystko pokrywa warstwa kurzu, który jest jednak znacznie młodszy niż ja.

Robię krok naprzód i jeszcze mocniej przywieram do Stanisława. Cofam się w przeszłość. Mam sztywne, wręcz zdrtwiałe nogi,

a niewidzialne dłonie zaciskają się na moim gardle. Staram się odchrząknąć, by przerwać ciszę, lecz nie potrafię.

Stanisław prowadzi mnie ku gabinetowi mojego ojca. Wystukuje laską nieznany mi rytm. Być może to tylko przypadkowe podobieństwo do przyjemnej melodii. Mój umysł szuka ucieczki od prawdy.

Ściągnięto mnie właśnie tutaj, by Anna mogła mnie osądzić raz na zawsze. By mogła mnie skazać i pchnąć prosto w otchłań piekielną. Nietrudno sobie wyobrazić, że za którymiś z tych pozal się Boże drzwi znajduje się przejście do upiornej krainy potępionych. Że gdzieś tam buzuje ogień, unosi się smród siarki, a wychudzone dłonie wyciągają się z mrocznych odmetów, by pochwycić swoją ofiarę.

– To chyba tu...

Stanisław popycha drzwi i przepuszcza mnie przodem. Gabinet mojego ojca jest niemal zupełnie pusty. Pozostał tylko jeden z regałów bibliotecznych, ale zniknęły wszystkie półki. Spróchniały stelaż chyli się ku upadkowi. Nie ma żyrandola, zegarów ani papierośnicy. Na podłodze nie leżą zdjęcia. To tu zginęli matka Anny i Dante. To tutaj ich kruche światy rozsypały się na kawałki.

– O co w tym wszystkim chodzi? – dopytuję.

Gdzieś z głębi domu dobiegają kroki. Słyszę je coraz wyraźniej. Są dość szybkie i pewne, jakby ktoś dobrze znał drogę.

– To Anna?

Stanisław nie odpowiada. Przygryza usta i pochyla się, mocniej mnie podpierając. Rozgląda się, jakby szukał czegoś, na czym mogłabym usiąść.

Boże.

Anna lada moment po tylu latach ponownie pojawi się w moim życiu. Pokornie opuszczam głowę i pociągam nosem. Wydaje mi się, że podłoga pode mną się osuwa. Tracę równowagę, lecz Stanisław pewnie mnie trzyma.

Ktoś jest coraz bliżej.

Zaczynam się trząść, jak dziecko, na które nawrzeszczano i któremu zagrożono pasem.

Zdaje mi się, że pełne brudnych wykwitów ściany zbliżają się do mnie. Lada moment zacisną się, miażdżąc wszystkie moje wspomnienia. Zniknę.

Kroki słycać już naprawdę blisko. Nagle otwierają się boczne drzwi, a mosiężna klamka uderza o ścianę. W półmroku pojawia się jakaś postać. Wiem, że spogląda wprost na mnie. Uginają się pode mną nogi i zataczam się. Może to ten ksiądz proboszcz, który z półmroku obserwował moje umizgi do Jakuba. Może to on jest upiorem, a żar z jego fajki to w rzeczywistości żar piekielny.

Postać rusza w moją stronę. Kształty powoli nabierają ostrości i rozpoznaję znajomą sylwetkę. To Alicja. Nic nie rozumiem. Chyba płacze mi się w głowie...

– Gdzie jest Anna? – pytam zdezorientowana.

Stanisław porusza się i wciąż podtrzymując mnie za łokieć, spogląda mi prosto w oczy. Terapeutka staje tuż obok niego.

– Jest tutaj – odpowiada. – Ty jesteś Anną.

## ANNA

– To nie twoja wina, ale zasługa – przekonywał mnie pan Rott. – Zrobiłaś coś dobrego. Przetrwałaś wtedy, gdy inni zginęli. Właśnie na tym polega świat.

Byłam całkowicie skołowana. Miałam wrażenie, jakbym zapadła się w sobie i schowała w jakimś zakątku własnego ciała. Nie płakałam. Nie myślałam już ani o mamie, ani o Rafaelu czy Dantem. Przeszłość była nieprawdziwa.

Prawdziwi byli Karl, pan Rott i szum wiatru załamującego się we wnętrzu kabrioletu. Jechaliśmy powoli w tłumie maszerujących żołnierzy. Na poboczu stały uszkodzone lub zepsute ciężarówki. Na polu dymił wielki czołg, a obok niego pasło się stado wychudłych krów.

Pan Rott obejmował mnie ramieniem i wystawiał twarz do słońca. Niedawna wściekłość całkowicie z niego uleciała. Nie było już w nim szaleństwa, które tak zdeformowało jego szlachetne rysy. Delikatnie rozchylił wargi. Głęboka bruzda znikła z jego czoła.

Widziałam to wszystko jak przez mgłę. Nie opierałam się, gdy umieszczał mnie w kabrioletcie, ani nie kwestionowałam żadnego z jego słów. Może właśnie tak miało być? Może wszystko tylko mi się śniło, a rzeczywiste jest jego ojcowskie uczucie do mnie?

Tato...

Gdybym mogła wtedy otworzyć pamiętnik, który trzymałam na kolanach! Jednak moje dłonie były zbyt zgrabiałe, a poza tym nie zrozumiałabym nawet słowa. Wtedy po raz pierwszy zbliżyłam się do granicy między tym, co realne, a tym, co nie. Do granicy między ucieczką od cierpienia i cierpieniem. Do fikcyjnego świata, w którym za wszystkie błędy można obwinić ojca.

Tato...

Powtarzałam w myślach to jedno słowo, jednak wtedy nie miało już dla mnie żadnego znaczenia. Po raz pierwszy stało się puste. Wiatr rozwiewał włosy pana Rotta i muskał mi twarz. Gdybym przestała pamiętać, byłoby przecież tak przyjemnie. Mogłabym być taka szczęśliwa.

– Ale pięknie... – wyszeptałam, chcąc usłyszeć, jak brzmią te słowa w moich ustach. Nie wiem, skąd przyszedł mi do głowy ten pomysł, ale nie mogłam się powstrzymać.

Pan Rott uśmiechnął się i pogładził mnie po policzku.

– Prawda?

Na horyzoncie przesuwały się wieżyczki strażnicze i kominy obozu, lecz nie zwracałam na nie uwagi. Przywykłam do nich tak samo, jak przywyka się do szpetnej kamienicy za oknem, do obłupanej fasady lub kreta maniakalnie ryjącego równe podwórko.

W oddali znów rozległo się dudnienie. Maszerujący przy drodze żołnierze odwracali się i przysłaniali dłońmi oczy. Patrzyli w stronę, z której dochodziły odgłosy walki.

Hauptsturmführer puścił do mnie oko i nachylił się do kierowcy.

– Karl, przyśpiesz, do cholery – ponaglił go. – A ty, moja droga – zwrócił się do mnie – przytrzymuj kapelusz. Osłaniaj oczy przed pyłem.

Po wielu miesiącach maskowania łysiny chustą zapomniałam, że można mieć na głowie coś innego. Nie zwracałam uwagi na kapelusz. Zresztą nie miałam pojęcia, dlaczego Hauptsturmführer kazał mi go założyć. Przypuszczam jednak, że w ten sposób chciał mnie ukryć.

– Ślicznie ci w nim – odezwał się, przekrzykując wiatr. Z uznaniem pokiwał głową i uszczypnął mnie w policzek.

Uśmiechnęłam się. To było tak naturalne, że wydawało mi się całkowicie prawdziwe. Pan Rott to jesteś Ty, Tato. Przecież musiałeś gdzieś tam być. Mama wciąż czeka na nas w domu. Razem z Lusią i tym parszywym kocurem, Gapą.

Nagle kierowca gwałtownie zahamował i rzuciło nas na przednie siedzenia. Pan Rott w ostatniej chwili przytrzymał mnie, bym nie rozkwaśła sobie nosa. Zachręściło żwirowe podłoże.

– Co, do cholery...

Wzdłuż drogi maszerowała kolumna więźniów. Zataczali się i potykali, skupieni na tym, by zrobić kolejny krok. Tylko niektórzy patrzyli na nas

z nienawiścią. Większość spojrzeń była pusta i wbita w ziemię. Jeden z mężczyzn zatoczył się i o mało nie wpadł pod auto.

– Co tu się dzieje? – Hauptsturmführer zagadnął zmęczonego, zlanego potem podoficera.

– Więźniowie nie dają rady utrzymać tempa.

– Maszerują jak bydło. Zajmujecie całą cholerną drogę.

– Proszę wybaczyć, panie Ha...

Pan Rott nie pozwolił mu skończyć.

– Jazda, ruszać się! – krzyknął wściekle na więźniów. – Won na pobocze! Cholerne bydło! – Jego twarz znów przybrała gniewny wyraz. Jego czoło szpeciła już głęboka bruzda, na skroniach pojawiły się nabrzmiałe żyły. W oczach ponownie zagościło szaleństwo. – Z drogi! – wrzeszczał.

W tym momencie wysoki, potwornie chudy więzień upadał tuż przed autem. Wychyliłam się, aby lepiej zobaczyć. Podpierał się na łokciach, a jego ciało drżało. Nie miał siły się podnieść.

– Jedź, Karl – nakazał pan Rott.

– Ale...

– Jedź, mówię.

Karl odwrócił się i powoli dodał gazu. Hauptsturmführer gniewnie nasunął na głowę czapkę. Na jego oczy padł cień.

– Szybciej!

Więźniowie po naszej prawej odwracali głowy albo spuszczaali oczy. Podoficer zatrzymał się i rozejrzał zaniepokojony.

Nagle auto delikatnie podskoczyło, a następnie rozległo się ciche plaśnięcie. Coś zaplątało się w koła i zatłukło o błotniki. Wydawało mi się, że słyszałam stłumiony krzyk. Silnik rzeził na wysokich obrotach.

Ojciec wyciągnął z kabury pistolet i wychylił się ponad drzwiami. Zacisnął usta. Wychylił się jeszcze mocniej, po czym strzelił. Dwukrotnie. Samochód zeskoczył z przeszkody i toczył się dalej.

Ojciec, tato, tatuś...

## GRETA

Wszystko wokół mnie kręci się i pulsuje. Siedzę na drewnianym krześle, a Stanisław i Alicja stoją przy mnie. Dołączył do nich Krzysztof. Okna w pomieszczeniu są otwarte i czuję delikatny przeciąg.

– Wypij to... – Ktoś podaje mi butelkę z napojem.

Biorę kilka łyków i odkasłuję. W gardle wciąż czuję suchość. Mam wrażenie, że jakaś siła rozszarpuje od środka mój mózg na strzępy.

– Próbowaliśmy wszystkiego – mówi Alicja. – Profesor Knecht proponował, abyśmy zakończyli terapię. Nic nie przynosiło efektu, alzheimer utwierdza cię w przekonaniu o prawdziwości fikcyjnego świata. Mimo to... – Terapeutka delikatnie dotyka mojej dłoni. – Krzysztof chciał, abyśmy spróbowali w ten sposób. Zależało nam, żebyś za wszelką cenę poczuła się wreszcie sobą i zaznała spokoju.

– Nic nie rozumiem...

– Nie masz się o co obwiniać. Historia Anny to twoja historia.

– Ale...

To jakiś absurd. Myśli i domysły kotłują mi się w głowie. Usiłuję wstać, lecz zaraz z powrotem opadam na krzesło. Szklanka wymyka mi się z dłoni i rozbija o podłogę. Nie zwracam na to uwagi. Ktoś butem przesuwając szklane odłamki.

Stanisław przypatruje mi się ze łzami w oczach. Jego usta drżą, jakby miał się zaraz rozplakać. Krzysztof stoi z rękoma splecionymi na piersi i głęboko oddycha. Kątem oka widzę, że Alicja trzyma pamiętnik Anny.

Teraz znam imiona ich wszystkich. Wiem, że mam alzheimera i że czasem myśli mi się płaczą. Nie wypieram się tego. Jednak to, o czym mówią, to czyste szaleństwo.

Alicja przekłada strony pamiętnika, a ja czuję, jakby grzebała mi w mózgu. Z bólu przymykam oczy.

– „Teraz byłoby najbezpieczniej o nim zapomnieć, prawda? Najbezpieczniej dla nas wszystkich” – czyta. – Pamiętasz ten fragment? Schowanie się za własnymi wspomnieniami i uciezka to normalny mechanizm. U ciebie zaszedł w wyniku tego, co cię spotkało. To nic dziwnego. Przeżyłaś okropny szok. Przez lata funkcjonowałaś całkowicie normalnie, przekonana o tym, że rzeczywiście jesteś córką Martina Rotta, ale to nieprawda. W trakcie terapii kilkakrotnie zwróciłam uwagę na twoje problemy z narracją historyczną i wspomnieniami z dzieciństwa. Jednak dopiero Krzysztof...

Alicja przerywa i słyszę chrząknięcie. Krzysztof klęka tuż przy mnie.

– Pamiętnik znalazłem przez przypadek, ale to teraz nieważne. Istotne, że...

– Dość, dość, dość – skomlę. Pragnę zatkać uszy, a jednocześnie nie potrafię. Ich słowa naprawdę mnie ranią. – Chcecie, żebym przed śmiercią poczuła się lepiej, oszukując samą siebie? Wymyślacie taką historię tylko po to, żebym umarła w spokoju?

– Ale...

– To podłe.

Wstaję z krzesła i opieram się na nim. Krzysztof natychmiast próbuje mi pomóc, lecz uchylam się, aby mnie nie dotykał.

– Zostawcie mnie – cedzę. – Pragniecie oczyścić własne sumienia czy sprawić sobie przyjemność? Oszukujecie mnie. Myślicie, że robicie dobry uczynek, a mieszacie w głowie komuś, kto jedną nogą jest w grobie i lada moment stanie przed Bogiem, a choćbyście chcieli, Boga nie oszukacie.

– Mówiłem, że tak będzie... – stwierdza Stanisław z rezygnacją. – Dokładnie to wam powiedziałem. Znam ją zbyt dobrze.

– Tak bardzo mieszacie mi w głowie...

Nie wiem już nawet, jak się nazywam. Niczego nie jestem pewna. Co robiłam rok, a co dziesięć lat temu? Niczego nie pamiętam.

Niczego.

Niczego.

Mam ochotę wyrwać sobie wszystkie włosy i okładać się dłońmi po twarzy. Gdybym się tylko mogła ocucić... Tkwię w jakimś nierealnym świecie. Czuję się, jakbym była w koszmarze, a jednocześnie mam



świadomość, że to wszystko dzieje się naprawdę. Jest mi potwornie gorąco i ubranie przykleja mi się do ciała. Ciężko mi oddychać.

Alicja nie zamierza mi odpuścić. Jej słowa wbijają się w mój umysł jak szpilki.

– Czytałaś fragment, w którym Anna obserwowała stos dokumentów płonących na podwórzu przed tą willą. Była wtedy schowana za krzakami i obserwowała wszystko z bezpiecznej odległości. Pamiętasz? – Kiwam głową. O ironio, ten fragment utkwiał mi w pamięci całkiem wyraźnie. – To była twoja pierwsza ucieczka. Przypuszczam, że w rzeczywistości zostałaś zmuszona do wyrzucania papierów razem ze wszystkimi, ale wtedy zadziałał mechanizm wyparcia.

– Bzdury...

Nabieram powietrza i odwracam się do wyjścia. Tak dobrze pamiętam rozkład tych pokoi. Mogłabym poruszać się między nimi z zamkniętymi oczami. A jednak uczucie niepokoju paraliżuje mi mięśnie i boję się, że po kilku krokach upadnę.

Niech to diabli.

Alicja odruchowo zakłada włosy za uszy i wymienia z Krzysztofem porozumiewawcze spojrzenia. Już dawno ich rozszyfrowałam.

– Usiądź, proszę – mówi błagalnym tonem. – Wysłuchaj nas jeszcze przez chwilę, a potem zrobisz, co zechcesz. Pomyśl tylko, że akurat teraz jesteś w pełni świadoma i że to nie może być zbieg okoliczności. Twój umysł pracuje i weryfikuje wspomnienia. Pamiętnik odpowiednio je pobudził i uporządkował...

Rzeczywiście, czuję się dziwnie. Kiedy myślę o dzieciństwie, pojawiają się białe plamy. Nagle ojciec nie wydaje mi się tak bliski jak zwykle. To ostatnie lata są skryte za zasłoną mroku i poszarpane.

Nogi się pode mną uginają i Stanisław w ostatniej chwili mnie podtrzymuje. Zrezygnowana ponownie opadam na krzesło.

– Spójrz. – Alicja kładzie dziennik na moich kolanach. Ostrożnie obraca stronę i wskazuje palcem ostatnie linijki. Nie zdążyłam ich jeszcze przeczytać. – To powinno ci wszystko wyjaśnić. Nie bój się. Wiem, że podświadomie wzbraniałaś się przed dotarciem do tego fragmentu...

## ~~AN~~ GRETA

Nazwy wsi i miejscowości niewiele mi mówiły. Każdej nocy spaliśmy gdzie indziej. Tata każe mi zapisać ostatnią stronę, a potem mamy się rozstać. Tak powiedział.

Powiedział też, że ostatnie dni były najlepszym, co mu się przytrafiło. Jednak wciąż nie mogę sobie przypomnieć, co działo się ze mną wcześniej. Pamiętam, że kilka lat temu wyjechał na front. Wszedł z domu i cudownie odnalazłam go dopiero w tej willi, z której musieliśmy nagle uciekać.

Nie mam żadnych jego zdjęć. Nie wiem, dlaczego zabrał mi ten pamiętnik i nie pozwolił go czytać. Mogę jedynie dopisać tę stronę.

– Przeszłość nie ma znaczenia... – powiedział przed kilkoma minutami.

Palił cygaretkę i nerwowo spoglądał w niebo. Jesteśmy we wsi, której nazwy nie znam. Wokół nas kręci się mnóstwo żołnierzy. Błotnistą drogą przejeżdżają niekończące się kolumny ciężarówek. Gdzieś w oddali niedawno było słyhać pomruk bombardowania. Podobno zginęło kilkuset naszych.

Nie mogę sobie przypomnieć mamy. Ojciec rozmawia o niej bardzo niechętnie, ale wiem, że umarła podczas bombardowania. Wyjechała z naszego domu w Bawarii do przyjaciół i tam...

Nie potrafię o tym pisać. Czuję dziwny ucisk w głowie i przypływ niepokoju. Podobno to minie. Doktor Stauff zapewniał, że to tylko kwestia czasu i wspomnienia się odblokują. Tyle że ja nie wiem nawet, co je zablokowało. Nie wiem, kim jest doktor Stauff.

To nieistotne. Tata powtarza, że najważniejszym jest pamiętać, że nazywam się Gretchen Rott, mam prawie piętnaście lat i pochodzę z Bawarii. Kiedy się rozstaniemy, muszę wiedzieć tylko to. Reszta to nieistotny dodatek.

Nie chcę się rozstawać. Choć ponoć to konieczne i wkrótce mamy spotkać się ponownie, jest mi przykro. Bardzo, bardzo przykro.

Nigdy nie lubiłam rozstawać się z Tatą.

Nie wiem, co więcej mogłabym napisać. Mam nadzieję, że wkrótce sobie Ciebie przypomnę, Mamo. Mam wrażenie, że cały ten pamiętnik pisałam tylko dla Ciebie.

Tata właśnie prosi, żebym mu go oddała...

Ledwie rozumiem, co czytam. Pojedyncze wspomnienia ożywają i wskakują do mojej historii. Znajdują właściwe miejsca. Podświadomie wiem, że to wszystko prawda, choć chciałabym się przed tym wzbraniać.

Powinno mi ulżyć, a odczuwam jedynie bezgraniczną pustkę. Kim jestem? Wszyscy jesteśmy niczym i nic nie znaczymy. Wydaje się nam, że odgrywamy na świecie jakąś rolę, że ważne są nasze pokuty, rozgrzeszenia i dobre uczynki. Ich istota trwa tyle co mrugnięcie okiem. W perspektywie wszechświata oraz nieskończonego czasu nie mają żadnego znaczenia. Nachodzi mnie fala potwornego smutku.

Patrzę na skupione, poważne twarze Alicji, Krzysztofa i Stanisława. Każde z nich chciało zrobić dobry uczynek, ale żadne nie wie, jak bardzo to nieistotne. Każda śmierć jest potworną pustką. Nieważne, czy ma się czyste sumienie. Nieważne, czy umierając, będę przekonana, że jestem Anną, Gretą, czy bezimienną ofiarą Wielkiego Głodu.

– Nie masz w sobie genu zła – mówi Stanisław. – To ty byłaś ofiarą i córką ofiary, a nie córką kata.

Może. Zastanawiam się, czy to naprawdę robi jakąkolwiek różnicę. Mam poczucie, że jestem na tym świecie sama z własnymi myślami. Czy bagaż grzechów mógłby mnie w ogóle zmienić? Czy nagłe rozgrzeszenie czyni mnie innym człowiekiem? Nie tylko nie pamiętam swojej matki, lecz także, jak widać, zapomniałam o ojcu. Co mi po starych fotografiach? Jeśli nic się nie zmieni, bez znaczenia jest, czy trafię do nieba, czy piekła, bo będę od nich o jakieś pół wieku starsza. Co za żalosna perspektywa.

A jednak czuję też wdzięczność.

Pociągam nosem i zmuszam się do uśmiechu. Zerkam na pogrążonego w zadumie Stanisława, a następnie przenoszę wzrok na równie napięte

twarze Alicji i Krzysztofa. Dla nich wszystkich jestem teraz istotna. Nawet jeśli dla wieczności jestem nikim, w tym wąskim wycinku rzeczywistości naprawdę coś znaczę.

– Dziękuję – szepczę, a głos mi się łamie. – Dziękuję wam...

Chcę zamknąć pamiętnik, lecz rzuca mi się w oczy jeszcze kilka wyblakłych zdań nabazgranych na okładce. Wcześniej nie zwróciłam na nie uwagi.

Poprawiam okulary i mrużę oczy.

*Te zdania dopisuję w pamiętniku Anny D., który trzymasz w dłoniach, gdy już nie ma jej przy mnie. Może nie ma jej nawet wśród żywych. Ta myśl nie pozwala mi zasnąć.*

*Zostawiłem ją przy polskiej rodzinie we wsi O., czternaście kilometrów na południe od Posen vel Poznania. Przekazałem, że jest moją córką i nazywa się Greta Rott Nie mogła mi towarzyszyć. Nie tylko dlatego, że nie mieliśmy właściwych dokumentów, lecz także dlatego, że czuję, że popełniłem błąd. Od samego początku nie chciałem wyrzucić jej krzywdy. Pokochałem ją, tak samo jak pokochałem jej matkę. Zapragnąłem, by pozostało po mnie na świecie coś innego niż zło. Wychowywałem ją i przez ostatnie tygodnie traktowałem jak własne dziecko. Przeszła się odzywać, pogrążyła we własnym świecie. Nie wiedziałem już, który z tych światów będzie dla niej lepszy. Mam nadzieję, że dojdzie do siebie i gdy to szaleństwo dobiegnie końca, sama dokona wyboru.*

*Znalazcę i czytelnika proszę o krótką modlitwę za nasze dusze.*

*Teraz sam błagam Boga o wybaczenie.*

*Jestem przeklęty.*

*Ale wiem, że prócz zła tkwi we mnie również dobro.*

*Nawet jeśli o nim zapomniałem.*

*MARTIN ROTT, SS-Hauptsturmführer,  
mąż i niedoszły ojciec, grzesznik*

Ostatnie słowa czytam kilkakrotnie. Litery mieniają mi się przed oczami i nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam.

Bzdura.

Doskonale wszystko rozumiem.

Rozprostowuję ostatnią kartkę i widzę na niej ślad po zawilgoceniu. W tym miejscu papier jest nieco naderwany, a zza zszycia wypadają szklane okruszki.

– To... – szepczę sama do siebie.

– Najprawdopodobniej to ślad po ampułce z cyjankiem, który połknął Martin Rott – wyjaśnia Krzysztof. – Znaleźliśmy informacje o tym, że drugiego maja czterdziestego piątego roku popełnił samobójstwo w Rothenburgu w Bawarii. Swoją drogą to miasteczko, które nadaje się na scenerię dla baśni braci Grimm, a nie takiego nędznego dramatu, ale mniejsza z tym.

– Mimo że miał przy sobie dokumenty sierżanta Wehrmachtu na nazwisko Artur Traupig, został rozpoznany, zidentyfikowany i, już jako trup, odpowiednio przeszkolony przez tłum niemieckich komunistów – dodaje Alicja. – To ironia, że zabrał ci tożsamość, lecz sam zmarł jako ktoś inny.

– Tyle że on miał się czego wstydzić.

Tercet głosów i trzy pary oczu robią wszystko, by pokazać swoją szczerłość. Dopiero teraz zaczyna na mnie spływać ulga. Z oczu ciurkiem płyną mi łzy. Po raz pierwszy od lat towarzyszy temu głębokie odprężenie. Rozluźniają mi się mięśnie, serce spowalnia, a w ciało wstępują nowe siły. Pociągam nosem i z niedowierzaniem kręcę głową.

– To wszystko prawda? – Spoglądam tylko na Stanisława, jakby był wyrocznią. W jego smutnym, pełnym oddania spojrzeniu widzę płomień nadziei.

– Tak – zapewnia gorliwie. – Rozmawialiśmy o tym wiele razy, lecz ani jednego nie pamiętasz.

– Boże...

– Teraz może będzie inaczej.

– Już jest inaczej. – Zbieram się w sobie i staram się opanować wzruszenie. – Poza tym...

Głos mi drży, bo wspomnienia ponownie się mieszają. Odżywają obrazy zaledwie sprzed kilku, może kilkunastu lat. Również na nich obok mnie

jest Stanisław. Wydaje mi się, że znam także Krzysztofa. To niemożliwe, ale...

– Czy my... – Patrzę to na jednego, to na drugiego.

Twarze mężczyzn gwałtownie się rozprężają. Wymieniają między sobą spojrzenia i zaczynają się śmiać. Opętańczo i całkowicie niekontrolowanie, jak dzieci, które dopadła głupawka. Po pomarszczonych policzkach Stanisława spływają łzy. Wierzchem dłoni ociera zaczerwienione oczy.

– Tak... – szepcze.

– Jesteś moją mamą – mówi Krzysztof. – I żoną taty, oczywiście.

– A przy okazji żoną Arona, którego spotkałaś w pociągu śmierci – wtrąca Stanisław. – Nie ty jedna przez te wszystkie lata zmieniałaś imię, Anno.

Tego już zbyt wiele. Wspomnienia mkną z prędkością światła. Czy tamten chłopiec, którego list Anna, to znaczy ja, wyrzuciła przez okno pociągu, to Stanisław? Czy w rysach tego starca widzę rysy chłopca, który przed siedemdziesięciu laty wpadł do dołu pełnego trupów? Zaczynam je powoli dostrzegać. To samo ponure spojrzenie, nieco wydatny, garbaty nos, zaciśnięte usta i emanująca od całej postaci żywotność. Do tego skłonność do dowcipkowania...

A Krzysztof?

Spoglądam na niego i dławię się płaczem. Przytykam pięść do ust. Jaka matka zapomina o swoim dziecku? Zawsze w jego obecności czułam się dobrze, ale jak mogłam zapomnieć, kim jest? Jak mogłam tego nie wyczuwać?

Krzysztof uśmiecha się i jakby rozumiejąc targające mną wątpliwości, dotyka mojej dłoni. Opiera na niej czoło. Śmieje się, spuszcza głowę, a ja wiem, że i on teraz płacze.

– Wmówiłaś sobie, że twój syn nie żyje, żeby nie przedłużyć rodu grzeszników – wyjaśnia Alicja. – Nie chciałaś przekazywać genu zła. Dlatego czasem opowiadałaś, że sama go zamordowałaś, czasem przekonywałaś, że popełnił samobójstwo, a kiedy indziej, że to wcale nie jest twój syn. W ten sposób oczyszczałaś sumienie. Choć, prawdę mówiąc, po prostu przenosiłaś swoją traumę... Kazałaś utrzymywać to złudzenie Stanisławowi i wszystkim innym, a gdy to robili, i tak wpadałaś w gniew.

Moja ręka zawisa w powietrzu. Przez chwilę nie mogę się ruszyć, a wątpliwości po raz ostatni rozsadzają mi czaszkę. Jednak momentalnie wszystko wskakuje na właściwe miejsca. Uświadamiam sobie, że wybudziłam się ze świata iluzji, i muszę tę świadomość utrzymać jak najdłużej.

Kładę dłoń na włosach Krzysztofa i delikatnie przepuszczam gładkie pukle między palcami.

– Przepraszam – szepczę, a głoski grzęzną mi w gardle. – Przepraszam, synu...

Mrugam.

Przed chwilą byłam w willi, którą pamiętam z dzieciństwa. Opuszczonej, cuchnącej starością i wspomnieniami. Nagle znikają pokryte pleśnią ściany, ulatują zbutwiałe meble oraz poniewierające się na podłodze śmieci.

Znajduję się w swoim pokoju. Do środka wpada światło popołudniowego słońca. Obok mnie stoją zastawiona bibelotami komódka oraz eklektyczny masywny stół. Po lewej widzę korytarz. Przechodzi nim wysoka kobieta w pielęgniarskim fartuchu. Przed sobą pcha wózek z metalowymi pojemnikami na jedzenie. Brzęczą upchnięte w przegródkach sztucce oraz naczynia.

Przy oknie siedzą dwie zgarbione staruszki. Jedna z nich wpatruje się we mnie pustym wzrokiem, a druga grzebie paznokciem w bezzębnych ustach. Uśmiecha się przy tym do jakiegoś przyjemnego wspomnienia.

Kilka spasionych much tłucze się o okno. Na podwórzu jest kilkanaście osób. Większość z nich to niedołęzni starcy, podtrzymywani przez pielęgniarzy lub usadowieni na wózkach. Niektórzy bezmyślnie spoglądają w pogodne niebo, inni drżą z zimna, otulając się grubymi kocami. Krępa, pokrzywiona przez czas kobieta głaszcze niewidzialnego kota. Rozmawia z nim, choć nie słyszę, co mówi.

Korytarzem przechodzi dwóch mężczyzn. Na zmianę czkają i zaśmiewają się jak kilkulatkowie.

Ktoś dotyka mojego ramienia. Przebiega mnie nieprzyjemny dreszcz i szybko się odwracam. Łupie mnie w ramieniu. Czuję się, jakbym wypila solidny drink.

Obok mnie staje starzec. Wspiera się na lasce ze srebrną, zdobioną rękojeścią. Jest przygarbiony i zrezygnowany. Wygląda, jakby miał ze sto pięćdziesiąt lat. Pewnie sporo młodziej niż ja.

– Odpreż się – mówi ciepłym głosem. – Odpocznij...

W jego spojrzeniu widzę śmierć. Jakby dosłownie przed chwilą coś w nim umarło. A może to ja jestem martwa? Myśli płaczą mi się i rwą jak strzępy wełny.

– Zaraz podadzą obiad.

– Nie jestem głodna – stwierdzam, choć dolatuje mnie całkiem apetyczny zapach.

– Musisz jeść. Mam nadzieję, że dziś nie będziesz się buntowała tak mocno, jak wczoraj. Dajesz słowo?

– Nie chcę nic jeść.

– Aniu...

Co? Ten człowiek z kimś mnie myli. Nie jestem żadną Anią.

Nie zamierzam go jednak uświadamiać. Jeżeli przestanę się odzywać, powinien dać mi spokój. W przeciwnym razie wezwę kogoś z personelu.

Ciężko wstaję i wlekę się do metalowego łóżka. Operacja położenia się przypomina akrobacje cyrkowca. Nie mam ochoty patrzeć za okno ani jeść. Nie mam ochoty rozmawiać z tym dziwnym starcem.

Staram się sobie przypomnieć, co robiłam dziś przed południem. Chyba oglądałam jakiś film albo czytałam książkę. Tak, to musiała być książka. Szkoda, że z pamięci uleciała mi jej fabuła.

Gdzie ona jest?

Na szafce przy łóżku leży jakiś poźółkły, poplamiony brulion. Jednak teraz nie mam ochoty na czytanie. Co mi po nim?

Wiem tylko, że tkwi we mnie gen zła.

I że nigdy tego nie odpokutuję.



## KRZYSZTOF

Przeczesałem palcami włosy i wzdycham. Upijam łyk mocnej kawy. Siedzimy z Alicją w tej samej cukierni na tyłach ośrodka, w której rozmawialiśmy przed kilkoma tygodniami. Terapeutka, tak jak tamtego dnia, pije kawę z syropem waniliowym, a ja podwójne espresso. Od paru minut zerkamy na siebie, lecz nie rozmawiamy. Wreszcie łapię Alicję za dłoń i splatam palce z jej palcami.

Powoli wypuszczam powietrze. Uśmiecham się z zakłopotaniem.

– To było szaleństwo – stwierdzam. – Ale rzeczywiście odniosło skutek. Choć jedynie na chwilę...

Alicja przygryza usta. Kiwa potwierdzająco głową.

– Twój ojciec jest zadowolony, że dał jej chociaż tę chwilę. Czasem ułamki sekund trwają tak długo jak wieczność...

– Oczywiście. Szczególnie jeśli kilka tygodni czeka się na to, by ktoś podrobił dziennik sprzed parudziesięciu lat.

– To była świetna robota. Sądzę, że niejedno muzeum miałoby problem z połapaniem się, że to fałszywka.

– I tak czuję się jak oszust.

Alicja gładzi moją dłoń i marszczy brwi. Nachyla się nad stolikiem.

– O nie, nie. Nie mów tak. Zrobiłeś to dla jej dobra.

– Zrobiłem to, bo miałem nadzieję, że umrze spokojniejsza. Nie mogłem już wytrzymać jej płaczów i modlitw o swoją duszę...

– Czyli to szlachetne oszustwo. Drobne kłamstewko kochającego syna.

Wzruszam ramionami. To, jak to nazwiemy, nie ma żadnego znaczenia. Ciągle mam wątpliwości, czy postąpiłem słusznie. Czy człowiek nie powinien umrzeć bez poplątanych myśli? Czy dając mu złudzenia albo obiecując życie wieczne, postępujemy właściwie? Czy w ogóle mamy do tego prawo?

Alicja zaczesuje włosy za uszy i poważnieje. Upija łyk kawy, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Wiesz, ilekroć mam z nią terapię, zawsze utwierdzam ją w iluzji, że mnie odwiedza. Że przyjeżdża do mojego gabinetu, a nie jest po prostu transportowana do drugiego skrzydła ośrodka. To też oszustwo, a jednak sprawia, że wszyscy czujemy się lepiej. Choć mogłoby być uznane za nieetyczne, wierzę, że niesie coś dobrego.

Nie odpowiadam. Może Alicja ma rację, a może tkwi w głębokim błędzie. Wiem, że żadne z nas nie ma prawa tego osądzać.

– To dlatego mówimy dzieciom o drugiej stronie tęczy i psim rajcu – ciągnie terapeutka. – Karmimy je złudzeniami, a potem pozwalamy dorosnąć.

Ocieram dłońmi twarz. Jest mi gorąco i duszno.

– Tyle że mam wątpliwości, czy świat dziecięcych złudzeń jest w ogóle coś wart. Czy nie powinniśmy od razu...

Milknę, a Alicja natychmiast podejmuje temat.

– Chciałbyś kopnąć swojego paroletniego potomka w tylną część ciała i powiedzieć mu: This is Sparta? Idź i walcz, bo świat jest brutalny, więc jeśli dasz sobie radę, masz prawo żyć?

– Byli tacy, co mówili w ten sposób wiele lat po upadku Sparty.

Uśmiechamy się do siebie, nieco zakłopotani. Nie chcieliśmy, by rozmowa skręciła w tę stronę. Nadal wolimy nie przerzucać się kontrargumentami.

Alicja odsuwa filizankę i się prostuje. Spogląda na mnie wzrokiem, którym zapewne przeszywa większość pacjentów. Analizuje mnie. Nie lubię tego i wymownie kręcę głową.

– Mów, co ci ciąży – wzdycham. – Nie wstrzymuj się, bo zaraz eksplodujesz jak „Hindenburg”.

Terapeutka kładzie dłoń na dłoni i wciąż mnie lustruje. Kąciki jej ust drżą.

– Wiesz, co? Jest w tobie coś z Arona vel Stanisława.

– Wiem, że nie to zaprzęta ci głowę.

Wzdycha.

– Udało ci się dowiedzieć, gdzie schowano te rodzinne pamiątki? – pyta już bez cienia uśmiechu. – Dopytywałeś ją o to w chwili przebłysku jej świadomości, gdy poszłam po coś do picia.

– Być może.

– Teraz mówisz „być może”? Gdy przestałam być potrzebna, zaczynasz być tajemniczy?

– Nie, nie... – Kręcę głową. – Wiesz, jeśli będziesz chciała, możesz pojechać ze mną.

Taka perspektywa całkiem mi się podoba.

– Zrobimy sobie wycieczkę?

– Możesz nawet nazwać ją randką.

Pochylamy się nad stolikiem i nagle nasze wargi stykają się w delikatnym, niewinnym pocałunku.

## ROK PÓŹNIEJ

Nigdy nie pojechaliśmy do dworu moich dziadków. Nie chciałem oglądać popękanych ścian, zawalonego portyku i zapadniętego dachu. Pielęgnuję wspomnienia przekazane mi w opowieściach. Boję się, że z prawdziwej przeszłości mógłbym wygrzebać jedynie ból. To, co trafiło do ziemi, niech w niej zostanie.

Rodzinne pamiątki tkwią w mojej głowie. Mam nadzieję, że kiedyś przekażę je małej Annie, którą właśnie trzymam na kolanach. Dwumiesięczna dziewczynka wije się i gaworzy. Uśmiecha się do mnie.

– Maleńka moja. – Cmokam i pstrykam palcami. – Tatuś tak bardzo cię kocha.

Nie sądziłem, że w wieku trzydziestu ośmiu lat zostanę ojcem. Ostatnie dwanaście miesięcy to było istne szaleństwo. Piękne chwile przeplatały się z tymi najgorszymi.

Moja mama odeszła dzień po tym, gdy okazało się, że Alicja jest w ciąży. W ostatnich godzinach ponoć była całkowicie świadoma. Tata towarzyszył jej do samego końca. Rozmawiali o swoich najlepszych momentach. Nie bała się śmierci i czuła się naprawdę szczęśliwa. Tata zdążył jej powiedzieć, że będzie miała wnuka, na co zareagowała anielskim uśmiechem.

„Zawsze będę przy niej lub przy nim” – to miały być jej ostatnie słowa.

Nie wiem, czy wciskając mi tę ckliwą historię, ojciec mnie nie okłamał. Nawet jeśli – to nie mam mu tego za złe. Kocham go.

Kocham też maleńką Anię, która ma dokładnie takie same oczy jak jej babcia. To jest prawdziwa spuścizna genów. Nie dobro czy zło. Oczy, usta, delikatnie zadarty nosek.

– Daj mi ją. – Alicja kładzie dłoń na moim ramieniu. – Spędzam z nią za mało czasu.

To nieprawda. Wprost nie możemy oderwać się od naszej córki i przekazujemy ją sobie z rąk do rąk. Mój ojciec twierdzi, że nie dajemy biednemu dziecku spać.

Pół roku temu Alicja przekazała wszystkich pacjentów innym specjalistom. Sesje terapeutyczne ją wypaliły i nie chciała, by odbiło się to na macierzyństwie. Wydaje mi się, że podświadomie bała się, że wysłuchane przez nią problemy jakimś szatańskim sposobem wpłyną na zdrowie dziecka.

Może miała rację.

Ania jest najpogodniejszym z niemowlaków. Co prawda, nie mam w tej mierze specjalnego doświadczenia, lecz niemal nie zdarza się, by płakała. Poza tym widzę w niej odbicie obojga moich rodziców. Jestem pewny, że niedługo będzie dowcipkowała jak mój ojciec. Będzie miała wielkie serce jak moja mama.

Podaję ją Alicji i wstaję z fotela. Całuję żonę w czoło, a następnie delikatnie ściskam kruchą dłoń córeczki.

– Kocham was – szepczę.

Gen zła nie istnieje.

Mam co do tego całkowitą pewność.

—=FADE TO BLACK=—



# SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytaty

GRETA

KRZYSZTOF

GRETA

ANNA

GRETA

ANNA

KRZYSZTOF

ANNA

GRETA

ANNA

GRETA

ANNA

GRETA

ANNA

GRETA

ANNA

GRETA

ANNA

GRETA

ANNA

GRETA

KRZYSZTOF

GRETA

ANNA

GRETA

ANNA

GRETA

ANNA

RAFAEL

GRETA

ANNA

GRETA

ANNA

GRETA

ANNA

GRETA

ANNA

GRETA

ANNA

GRETA

~~AN~~ GRETA

KRZYSZTOF

ROK PÓŹNIEJ

Spis treści

Karta redakcyjna



Copyright © by Max Czornyj, 2020  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2020

Zdjęcia na okładce:

© CollaborationJS/Trevillion Images

© Maria Petkova/Trevillion Images

© goldnetz/Shutterstock

Redakcja: Agnieszka Zygmunt/Słowne Babki

Korekta: Lena Marciniak-Cąkała, Ewelina Pawlak/Słowne Babki

Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-251-4

# FILIA

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.